

Williams Bronwyn

Zapísane w gwiazdach

Karolina Północna, 1898 rok,

Jedyną miłością kapitana Matta Powersa był „Czarny Łabędź”, jego piękny statek, a on sam czuł się dobrze tylko wtedy, gdy pod stopami miał rozkołysany pokład, a spojrzeniem mógł objąć bezmiar oceanu. Tymczasem został skazany na życie na łódzie przynajmniej do czasu, aż znajdzie opiekunkę dla małej Annie. Czy obiecywałby jej umierającemu ojcu, że zaopiekuje się sierotą, gdyby wiedział, że wywoła to rewolucję w jego życiu? Że tak dalece odmieni jego marzenia i plany?

PROLOG

27 lutego 1898 roku

Wyspy Outer Banks w Karolinie Północnej

Ulewny deszcz bębniący w dach niemal całkowicie zagłuszał żalosne łkanie niemowlęcia. Wielka szkoda, że nie zdołał zagłuszyć wspomnienia tego haniebnego dnia. Całkiem wymazać go z pamięci ich wszystkich. Wciąż zachowywali się jak ogłuszeni; porozumiewali się szeptem, wlepiali przerażony wzrok w zawinięte w koc, wrzeszczące maleństwo leżące na środku łóżka.

Billy był martwy. Przystojny Billy znany z tego, że w każdym porcie czekał na niego rój narzeczonych. Billy, który potrafił tak wygrywać w karty, że przeciwnicy przyjmowali przegraną ze śmiechem. Billy, który wyruszył na morze jako chłopiec okrętowy, gdy jego rodzice zmarli podczas epidemii grypy, a z czasem dosłużył się funkcji pierwszego oficera.

Jako kapitan, Matt poczuwał się do odpowiedzialności za załogę, zarówno na lądzie, jak i na morzu. Nie raz i nie dwa zalecał Billy'emu ostrożność, ale przecież nie śledził go za każdym razem, gdy ten udawał się do wioski, skąd więc miał wiedzieć, że chłopak wda się w romans z mężatką, którego owocem będzie dziecko?

Czyż nie tłumaczył Billy'emu i Lutherowi, że do kobiet z wioski należy odnosić się z szacunkiem? Powinien był postarać się o następny statek natychmiast po stracie „Czarnego Łabędzia”. Na morzu czy w jakimkolwiek porcie na świecie często ktoś ginął od ciosu nożem podczas bójki, jednak dotąd nie słyszano o nikim, kto poniósł śmierć z ręki rozwścieczonego marynarza, który jedenaście miesięcy był poza domem, a po powrocie zobaczył, że jego żona właśnie wydała na świat córkę.

- Kapitanie, jak tylko przestanie padać, będziemy musieli dosypać piachu na grób Billy'ego. Cały nasiąknął wodą. - Luther, po śmierci Billy'ego najmłodszy z załogi, był blady jak płótno, a w jego oczach wciąż widniało przerażenie, skutek doznanego szoku.

Matt skinął głową. Każdy z nich, nawet stary Crank, który z powodu reumatyzmu w taką pogodę jak dziś nie powinien opuszczać łóżka, raz po raz wychodził na deszcz i wpatrywał się w świeży grób. Zupełnie jakby chcieli się upewnić, że to wszystko stało się naprawdę. Że jakiś nieszczęsny, żalony łajdak zastrzelił niewierną żonę, po czym, zaślepiony wściekłością, przybył tu w poszukiwaniu Billy'ego i wpakował mu kulę w pierś, a wreszcie, zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, skierował broń ku sobie, pozostawiając przeraźliwie krzyczące niemowlę, leżące na ziemi między martwymi ciałami.

Na odgłos strzału Matt pospiesznie wybiegł z domu, na tyle szybko, że uchwycił moment, gdy Billy upadł. Zawołał Cranka, zeskoczył z werandy i dotarł na miejsce, gdy rozczochrany nieznajomy rzucił na ziemię jakieś zawiniątko i skierował broń ku sobie.

Billy bezskutecznie próbował unieść głowę.

- Do diabła, chłopcze, leż spokojnie! Crank, daj mi kawałek płótna i sprowadź pomoc z wioski!

Nie czekając na odpowiedź, rozerwał Billy'emu koszulę na piersiach, mamrocząc przy tym na przemian przekleństwa i modlitwy.

- Sprowadźcie akuszerkę, do diabła! Luther, ruszaj! Na wyspie nie było lekarza. Opieka akuszerki to najlepsze, na co mogli liczyć.

- Trzymaj się, synu, pomoc jest już w drodze - zapewniał rannego, sam chcąc wierzyć, że to prawda. A nade wszystko pragnął, by uwierzył w to Billy.

- Kapitanie, niech mi pan obieca...

- Cicho, wszystko będzie dobrze. Leż tylko spokojnie.

- Musi mi pan obiecać... moje dziecko... ono...

- Cii, dziecku nic nie będzie, teraz musimy zatroszczyć się o ciebie.

Mówiąc to, zdawał sobie sprawę, że jest już za późno. Wiedzieli o tym obaj, a jednak Billy wciąż próbował wyrzucać z siebie pojedyncze słowa, a z jego błękitnych oczu wyzierało rozpaczliwe błaganie.

- Moje dziecko... Musi mi pan obiecać, kapitanie...

- Wszystko, chłopcze, tylko się trzymaj.

- Nie chciałem nikogo krzywdzić... jej mąż nie mógł... on nie... był...

- Billy, nie umieraj na moich rękach, do diabła. Nie rób tego, synu! - Matt zaklął, ponieważ nie potrafił płakać.

Po chwili wstał i odwrócił głowę. Kiedy odzyskał panowanie nad sobą, ukląkł ponownie, obejrzał uważnie obydwa ciała i upewnił się, że mężczyźni nie żyją.

To Crank podniósł płaczące dziecko z ziemi, zawinał w jedną ze swoich koszul i wniósł do domu tak ostrożnie, jakby miał do czynienia z koszem jaj. Luther tymczasem sprowadził akuszerkę, która zajęła się niemowlęciem, umyła je i owinęła kocem, ze złością mrużąc przy tym oczy i zaciskając wargi z dezaprobatą.

- Prawdopodobnie nie przeżyje nocy. Jeśli o wschodzie słońca będzie jeszcze żyła, możecie namoczyć szmatkę w wodzie i dać jej do ssania.

Udzielwszy tej rady, stara kobieta wspięła się na wóz i powróciła do wioski. Pozostawieni samym sobie czterej mężczyźni stali bezradnie, patrząc w ślad za nią. Matt zaklął. Crank zacytował, niezbyt dokładnie, werset z Biblii, coś o grzechach ojców. Peg, stolarz okrętowy, zabrał się do pracy nad trumną, a Luther ponownie pojechał konno do wioski, tym razem po przedstawiciela prawa.

Reszta dnia zeszła im na porządkowaniu wszystkich spraw po tej tragedii. Zawieźli ciało nieznanego do wioski, pochowali biednego Billy'ego i dowiedzieli się, że niewierna żona była „obca” - którym to określeniem miejscowi posługiwali się wobec każdego, kto nie urodził się na wyspie.

- Szczerze mówiąc - oświadczył wezwany urzędnik, Dick Dixon - nie była jedną z nas, nie liczcie więc na pomoc z tej strony.

- A co z rodziną jej męża? Z pewnością ktoś z nich...

- Biedny bękart nie był jego dzieckiem. Nie wezmą go do siebie, to pewne.

- Proszę nie mówić o niej w ten sposób, to nie jej wina. - Jeszcze przed przyjazdem akuszerki odkryli, że bezradne

maleństwo zawinięte w koszulę Cranka to dziewczynka.

- Na pana miejscu, kapitanie, napisałbym do rodziny tego chłopaka. Może ktoś z nich uwolni was od niej.

- Nie mam na co liczyć. Billy jest... był sierotą.

- Cóż, nie wiem, skąd pochodzi kobieta. Jak już mówiłem, nie była stąd, mieszkała tu około dwóch lat, zdaje się. - Urzędnik wstał, nasunął kapelusz na łysą głowę i odwrócił się do wyjścia. - Wygląda na to, że właśnie zostałeś ojcem, Powers.

- Nie, proszę pana. Nie zostałem - odparł szybko Matt. ^

. Co prawda, obiecał Billy'emu, że zaopiekuje się dzieckiem, ale przecież nie było mowy o tym, że zrobi to osobiście... a może?

Z drugiej strony, zanim znajdzie kogoś, kto przejmie opiekę nad dzieckiem, odpowiada za jego - za jej dobro. Była córką Billy'ego, a on był członkiem jego załogi.

Przed odjazdem urzędnik wyraził współczucie i ponownie zaznaczył, żeby nie liczyli na pomoc z wioski.

- Nie chodzi tu o brak szacunku, Powers, ale po tym, co się stało, żadna z naszych kobiet nie zbliży się do twoich chłopaków.

Matt uznał to za wyjątkowo niesprawiedliwe, ale czy życie jest sprawiedliwe? Przy silnym wietrze inteligentny mężczyzna zwija żagle i stawia czoło burzy.

Zrobił jedyną rzecz, która mu przyszła do głowy; z ociąganiem zasiadł do pisania listu do ostatniej pozostałej przy życiu krewnej. Bess Powers była wprawdzie wścibską intrygantką, która nigdy nie mówiła prawdy wte-

dy, kiedy równie dobrze można było posłużyć się kłamstwem, ale w stosunku do niego zawsze postępowała uczciwie.

Przynajmniej o ile było mu wiadomo, poprawił się w myślach.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

3 marca 1898 roku

Norfolk, Wirginia

Większość żałobników już udała się do domu. Zimny i mokry wiatr z północnego wschodu smagał czarną spódnicę kobiety, która tkwiła samotnie, z pochyloną głową, przy otwartym grobie. Twarz zasłaniała jej woalka. Pastor stojący w pobliżu mierzył wzrokiem zwisające nisko chmury, czekając cierpliwie, aż Rose Magruder złoży ostatni hołd doczesnym szczątkom babki. W pewnej chwili wyjął z kieszeni zegarek, zerknął na niego szybko, po czym uniósł głowę i ponownie spojrzął w niebo, a następnie przeniósł wzrok na grabarzy, którzy stali w gotowości, czekając, kiedy będą mogli zakończyć pracę.

W pewnej odległości od grobu skupiła się garstka służących, którzy przestępowali z nogi na nogę, licząc na to, że deszcz zaczeka jeszcze parę minut. Mieli też nadzieję, że panna Rose da sobie radę, bo biedna dziewczyna zasługiwała na coś lepszego niż to, co przeszła przez te ostatnie parę lat.

A przede wszystkim liczyli na to, że zmarła pani Littlefield zostawiła pieniądze na wypłatę zaległych wynagrodzeń.

Naprzeciwko, pod parasolem utworzonym z liści potężnej magnolii, tkwiła para starszych ludzi, którzy rozmawiali ze sobą półgłosem, głowa przy głowie. Bess Powers przyjaźniła się z Augustą Littlefield przez ponad czterdzieści lat. Horace Bagby co najmniej tak długo był jej prawnikiem.

- Gussy powiedziałyby nam wszystkim, żebyśmy poszli do domu, zanim dostaniemy zapalenia płuc i pomrzemy - odezwała się pulchna kobieta z podejrzenie czerwonymi włosami. - Biedna Gussy, była dokuczliwa niczym bolący ząb, ale kochałam ją jak siostrę.

- Gussy była dumna z tego, czego dokonałaś. Miała zwyczaj czytać mi na głos listy, które przysyłałaś jej z podróży. - Para długoletnich przyjaciół należała do tych nielicznych, którym było wolno mówić do zmarłej pani Littlefield „Gussy”.

- Cóż, będę w domu przez parę tygodni. Horace, co zrobimy z tym biednym dzieckiem? - Skinieniem głowy wskazała jedyną krewną zmarłej. - Myślę, że mogłabym zaprosić ją, by zamieszkała u mnie, w charakterze sekretarki i osoby do towarzystwa, ale sam wiesz, jak mały jest mój domek.

Horace zdjął melonik, wygładził nieliczne pasma włosów starannie zaczesane w poprzek czaszki i ostrożnie nałożył kapelusz ponownie. Obydwoje przyglądali się uważnie samotnej postaci w czerni. Wysokiej jak tyczka fasoli, pomyślała Bess.

Smukłej jak gałązka wierzby, orzekł w duchu Horace, romantyk pomimo starokawalerstwa.

- Nie mam pojęcia, Bess. Teraz jestem w stanie myśleć

tylko o tym, w jaki sposób przekazać jej informacje o spadku. Mówiąc szczerze, wolałbym raczej dostać baty.

- Biedne dziecko, można by sądzić, że zasłużyła na trochę spokoju po tym wszystkim, co musiała znieść. Nigdy w życiu nie miała starającego, w każdym razie nikomu nic o tym nie wiadomo. Gussy mówiła, że wnuczka wkrótce po śmierci rodziców wyszła za mąż za pierwszego, który się nawinął.

Nikt nawet o nim nie słyszał. No

i nie minęły dwa lata, jak gość opuścił ten padół.

- Gussy mówiła, zdaje się, że się utopił. - Zamilkli, ogarnięci współczuciem dla wysokiej, niezbyt urodziwej kobiety, stojącej przy grofye.

Garstka znajomych, którzy, nie zważając na pogodę, stawili się na pogrzeb, już się rozeszła. Chętnie zamienili to posępne miejsce na ciepły, pełen jedzenia salon, gdzie można było przekąsić coś smacznego i snuć rozważania o tym, ile też staruszka zostawiła jedynej wnuczce.

Gdy tylko pastor wyprowadził Rose z cmentarza, Horace wsunął sobie rękę Bess pod ramię i oboje udali się w kierunku jedyne go oczekującego powoziku, starannie omijając kałuże.

- Nieustanne usługiwanie Gussy na pewno nie należało do przyjemności - zauważyła Bess po drodze.

- Kiedy Rose z nią zamieszkała, Gussy już mąciło się w głowie. Prawdę mówiąc, pod tym względem nigdy nie miała się czym chwalić, biedaczka.

Horace przytaknął.

- Choroba postępowała stopniowo, wciąż więc sobie wmawiałem, że Gussy znów przeżywa zły okres, ale masz słuszość. Nigdy nie dało się o niej powiedzieć, że jest

bystra. Próbowałem ją ostrzec w sprawie tych funduszy, tyle że kiedy odkryłem, co zamierza zrobić, było już za późno. - Westchnął ciężko. - A teraz ta biedna dziewczyna...-Urwał.

- Rozumiem cię. Ja też nie chciałam w to wierzyć. Ruszyli za powozem, w którym jechał pastor i Augusta

Rose Littlefield Magruder, wnuczka i jedyna spadkobierczyni zmarłej Augusty Littlefield, i wraz z pozostałymi udali się na powrót do rodzinnej posiadłości Littlefieldów.

Bess poklepała Horace'a po dłoni obleczonej w czarną rękawiczkę.

- Nie martw się, na pewno coś wymyślimy.

W domu było stanowczo za gorąco. W powietrzu wyczuwało się zapach wilgotnej wełny. Rose czekało zapłacenie gigantycznego rachunku za węgiel. Najpierw jednak musiała znaleźć czas na uporządkowanie licznych papierów, które zalegały biurko babki. Gussy do samego końca upierała się, że sama będzie prowadzić rozliczenia. Nie wpuszczała nikogo do pomieszczenia przerobionego z saloniku obok głównej sypialni, które nazywała biurem. Zawsze trzymała je zamknięte na klucz, a klucz chowała w nocnym pantoflu.

Rose naturalnie wiedziała, gdzie jest klucz, ale ani ona, . ani nikt z nielicznej służby nie śmiałyby nawet pomyśleć o tym, by go wziąć. Spokojna i zadowolona Gussy była wystarczająco uciążliwa; rozgniewana stałaby się nie do zniesienia.

Rose siedziała bez ruchu, pogrążona w odrętwieniu, częściowo skryta za chińskim parawanem, czekając, aż

ten wlokący się dzień dobiegnie końca. Dałaby wszystko, co miała, choć, prawdę mówiąc, nie było tego zbyt wiele, byle móc zamknąć oczy i spać przez cały tydzień.

Niestety, nawet gdyby istniała taka możliwość, myśli kłębiące się pod czaszką nie pozwoliłyby jej zasnąć. Dorastała w domu niemal tak wspaniałym jak ten, a jednak przytłaczała ją świadomość, że sama jedna jest odpowiedzialna za całą posiadłość babki.

Stopniowo dotarło do niej, że po drugiej stronie parawanu toczy się szeptem jakaś rozmowa.

Naprawdę nie zamierzała podsłuchiwać, ale bez ujawnienia swojej obecności nie mogła tego uniknąć.

- .. wreszcie odeszła. Myślę, że jej wnuczka jest urządzona na całe życie, ma szczęście kobieta.

- Ma szczęście? Moim zdaniem biedactwo zarobiło na każdego dolara, którego ta stara hazardzistka zgromadziła przez te wszystkie lata. Od dawna nie płaciła służącym. Jej pokojówka zaczęła u mnie pracować ubiegłej jesieni i powiedziała...

- To prawda, i mówią, że wnuczka miała ciężkie życie. Podobno jej rodzice zginęli w katastrofie pociągu w pobliżu Suffolk, a kilka lat później jej mąż został zamordowany.

- Nie został zamordowany, tylko utonął. Słyszałam, że on...

- Fatalnie wygląda w czerni, prawda? Na jej miejscu użyłabym odrobiny różu.

- Wstydz się, Ido Lee, to przyzwoita kobieta, choć, prawdę mówiąc, brzydka jak nieszczęście.

- Biedactwo, podobno wciąż oplakuje męża.

Jak brzmi stare powiedzenie o tych, co wścibiają nos w nie swoje sprawy? - zamyśliła się Rose, którą ta rozmowa, o dziwo, rozbawiła. Faktycznie, na tle czerni jej cera przybrała ziemisty odcień, lecz we wszystkim wyglądała podobnie. Jakaś dobra dusza określiła kiedyś jej cerę mianem „oliwkowej”. Spodobało jej się to, ponieważ brzmiało o niebo lepiej niż ziemista - może nawet egzotycznie - ale miłe słówka nie zdołały przesłonić rzeczywistości.

Prawdą było też, że cierpiała. Będzie cierpiała przez resztę życia, ale na pewno nie z powodu tego prostaka, za którego wyszła za mąż.

Rose Magruder nie należała do osób okazujących emocje. Przybyła do domu babki jako wdowa bez grosza przy duszy. Od tego momentu była stanowczo zbyt zajęta, usiłując sprostać bezustannym, zawikłanym i często sprzecznym żądaniom jedynej krewnej, żeby zdobyć się na coś więcej. I bez tego każdego wieczoru padała na łóżko kompletnie wyczerpana.

Z gromady służących, niezbędnych do utrzymania w należytych porządku osiemnastopokojowej rezydencji i otaczającego ją ogrodu, tylko troje dotrwało do końca.

Rose zamierzała dopilnować, by wszyscy troje zostali hojnie wynagrodzeni za swoje oddanie.

Przede wszystkim musiała znaleźć czas na przejrzanie stosów papierów, które babka pozostawiła wciśnięte w pudełka po butach, kapeluszach i Bóg wie gdzie jeszcze. Zdawała sobie sprawę z zaległości w rachunkach, ponieważ już wcześniej poinformowali ją o tym dostawcy, którzy ich zaopatrywali.

Dzięki Bogu za Horace'a Bagby'ego. Nie znała go zbyt dobrze, ale robił wrażenie sympatycznego i kompetentnego. Z pomocą księgowego, którego pan Bagby prawdopodobnie będzie mógł jej polecić, powinni wszystko uporządkować. Zawsze miała głowę do rachunków.

Po odejściu ostatnich żałobników Rose odkryła, że mogła sobie oszczędzić zmartwienia. Horace Bagby zaczekał, aż wszyscy wyjdą. Poniewczasie żałował, że nie poprosił Bess, by została i pomogła mu wybrnąć z tego kłopotliwego zadania. Nie znosił kobiecych łez i dotąd nie nauczył się, jak sobie z nimi radzić.

- Co do... testamentu, obawiam się, że nie mam dla pani dobrych wieści, moja droga. Posiadłość pani babki jest... cóż, prawdę mówiąc, jest w całości obciążona hipoteką i będzie musiała zostać natychmiast sprzedana na spłatę wierzycieli.

Zebrał się w sobie, gotów zmierzyć się z tym, co miało nastąpić, nie wyłączając wybuchu hysterii.

Tymczasem Rose Magruder sprawiła mu niespodziankę. Nie uroniła nawet jednej łzy. Siedziała spokojnie w ponurym wielkim salonie, w którym w dowód szacunku dla zmarłej szczelnie pozasłaniano okna, z rękami złożonymi na kolanach, a jej oczy były wprawdzie trochę zapuchnięte i zaczerwienione, ale całkiem suche.

- Spokojnie, poradzimy sobie z tym, moja droga - powiedział, choć nie miał najmniejszego pojęcia, w jaki sposób miałby dokonać takiego cudu. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że biedna dziewczyna nie zamierza za-

dawać mu żadnych pytań, pospieszył wypełnić ciszę tym, co wiedział.

Rose siedziała w milczeniu, a słowa płynęły, płynęły, płynęły. Od czasu do czasu jej uwagę przykuwało jakieś zdanie.

Nic nie zostało?

- .. hazard... ryzykowne inwestycje... ostrzegałem ją, ale zna pani Gussy, do samego końca była uparta jak muł.

Natychmiast sprzedana?

...wszystko bez wyjątku, przykro mi. Jestem przekonany, że coś wymyślimy. To znaczy, musi być jakiś sposób...

Rose wzięła głęboki oddech.

- Czy mogłabym sprzedać kilka sztuk biżuterii? - spytała po chwili nienaturalnie spokojnym głosem - Dostałam ją wprawdzie od babki, sądzę jednak, że z prawnego punktu widzenia należy do mnie i mogę z nią zrobić, co zechcę.

- Naturalnie, naturalnie, moja droga, ma pani całkowitą rację. Zajmę się tym jeszcze dziś, jeśli pani sobie życzy.

Ściśle biorąc, biżuteria, zwłaszcza jeśli w grę wchodziły klejnoty rodzinne, mogła być potraktowana jako część masy spadkowej, lecz Horace nie zamierzał dopuścić do tego, żeby młoda dama cierpiała z powodu jednej słabej na umyśle starej kobiety. Spytawszy Rose jeszcze raz, czy na pewno nie woli zamieszkać u przyjaciół, z ociąganiem zabrał się do wyjścia. Odprowadziła go do drzwi. W głowie miała pustkę. Fizycznie była zbyt wyczerpana, żeby ściągnąć kufer ze strychu i rozpocząć żmudną pracę pakowania.

Może po dobrze przespanej nocy uda jej się zebrać myśli.

Horace pojechał prosto na ulicę Granby, gdzie sprzedał biżuterię Rose, wszystkie pięć sztuk, z których żadna nie przedstawiała szczególnej wartości.

- Powinno jej starczyć przynajmniej na miesiąc pod warunkiem, że będzie żyć oszczędnie - zwierzył się Bess tego wieczora nad szklaneczką dobrej, starej brandy. -Robi wrażenie rozsądnej, ale nigdy nie wiadomo. Teraz przynajmniej będzie mogła zainstalować się w jakimś przyzwoitym pensjonacie^ póki nie znajdzie męża. Mimo żałoby nie powinno jej to zabrać zbyt dużo czasu. Jest wprawdzie trochę za wysoka, ale wdowiec obarczony dziećmi nie powinien być zbyt wymagający.

- Gdyby właściwą odpowiedzią na modły każdej panny było małżeństwo - zauważyła oschle towarzysząca mu kobieta - my obydwójce nie siedzielibyśmy tu teraz, popijając brandy i paląc cygara. Horace uniósł szklanekę na znak zgody.

Po paru godzinach przewracania się na łóżku Rose ostatecznie ściągnęła kufer ze strychu i przystąpiła do opróżniania szafy. Składała i układała warstwa na warstwie rzeczy, których nie zdążyła nawet rozpakować. Większość była czarna, z wyjątkiem paru letnich strojów i ślubnej sukni, którą zachowała jako gorzkie przypomnienie tego, co może się stać, kiedy kobieta dokona złego wyboru. Była w żałobie od tak długiego czasu, że prawie zapomniała, jak to jest ubierać się w kolorowe suknie.

Następnego popołudnia rozdzieliła pieniądze ze sprzedaży biżuterii między trójkę służących, którzy dotrwali do samego końca, i ponownie podziękowała im za wsparcie w trudnych chwilach.

- Przykro mi, że dysponuję tylko taką kwotą. Bogu wiadomo, że zasługujecie na znacznie więcej, ale to wszystko, co mogę dla was zrobić.

Wydawało się, że ją rozumieją, doceniają jej uznanie. Na pożegnanie życzyli sobie wzajemnie pomyślności.

Dopiero po wyjściu ostatniego z nich Rose pozwoliła sobie na odprężenie. I wtedy zebrało jej się na płacz. Szlochała, aż oczy jej zapuchły, w gardle dusiło, a chusteczka do nosa zmieniła się w moką szmatkę.

- Och, Boże, to strata czasu - mruknęła, po czym popłakała jeszcze trochę. W tych rzadkich momentach, kiedy pozwalała sobie na luksus płaczu, robiła to z prawdziwym zapalem, szlochając głośno dotąd, aż wzruszenie ustępowało miejsca wyczerpaniu.

Opłakiwała rodziców - czarującego i nic niewartego ojca, którego uwielbiała, delikatną, piękną matkę, która nie wiedziała, co począć z niezdarną, odbijającą od otoczenia córką, i babkę, tak bardzo różniącą się od kobiety, którą mgliście pamiętała z dzieciństwa.

A przede wszystkim opłakiwała swoje dziecko, któremu nie dano szansy na życie.

W końcu wytarła twarz, przygładziła spódnice i stanęła przed masywnym lustrem w holu, przywołując na pamięć to, co powiedziała jej gospodyni babki, gdy już schowała otrzymane pieniądze do woreczka.

- Poradzi sobie pani, panno Rose, na pewno. Może nie jest pani pięknością, ale ma pani aż nadto silny charakter.

To prawda, nie jestem pięknością, pomyślała ze smutkiem. Nigdy nią nie była. I nigdy nie będzie. Za to przynajmniej nie będzie musiała martwić się o to, że z wiekiem straci urodę, czego tak bardzo lękała się jej matka.

Mając trzynaście lat, Rose była wysoka i nieprawdopodobnie nieśmiała. Kiedy dobiegała osiemnastu, wciąż była nieśmiała i jeszcze wyższa, ale potrafiła chodzić bez potykania się d własne nogi. Nauczyła się nawet tańczyć, aby przy tych nielicznych okazjach, kiedy jakiś biedny chłopak był zmuszony spełnić swój obowiązek, nie przynosić wstydu rodzinie.

- Rzeczywiście nie jesteś pięknością - powiedziała do swego odbicia w lustrze. Gdyby dano jej wybór między urodą a charakterem, wybrałaby urodę, co tylko dowodziło, że wciąż niczego się nie nauczyła. Na szczęście nie pozostawiono jej wyboru. Na pociechę miała silny charakter. I dobrze, bo właśnie charakteru będzie potrzebowała, póki nie znajdzie sobie jakiejś posady i nie zamieszka w przyzwoitej okolicy.

Rose zniosła bagaże na dół, usiadła na krześle, jednym z tych, które otaczały inkrustowany stół stojący w holu opustoszałego domu, i czekała na przyjaciółkę babki, Bess Powers. Bess znalazła jakiś przyzwoity pensjonat i zaoferowała się, że ją tam odwiezie, bo koń i powóz babki zostały już zabrane przez jednego z wierzycieli.

Choć Rose ledwie trzymała się na nogach, nie pozwalała sobie na odprężenie w obawie, że mogłaby zasnąć.

Lękała się też, że te kilka dolarów, które ma w woreczku, to zbyt mało. Może powinna była zatrzymać część pieniędzy ze sprzedaży biżuterii na wypadek, gdyby właścicielka pensjonatu nalegała na zapłatę z góry?

Co się stanie, jeśli nie zdoła znaleźć pracy od razu?

A nawet jeśli się uda, mogą minąć tygodnie lub miesiące, zanim otrzyma jakiegokolwiek wynagrodzenie.

Wszystko sprowadzało się do dokonania właściwego wyboru. Niestety, kobiety rzadko miały okazję uczenia się, jak to robić. Wyborów z reguły dokonywano za nich, najpierw czynili to rodzice, później mężowie. Kiedy ona sama po raz pierwszy stanęła przed taką koniecznością, wybrała tak, że gorzej już nie było można. Poniosła bolesne konsekwencje i nie pozostawało jej nic innego poza poszukianiem pomocy u babki.

Tym razem nie miała krewnych, do których mogłaby się zwrócić. To wielki wstyd, że dobrze urodzonych młodych kobiet nie uczy się samodzielności, powiedziała sobie w duchu.

Bess pojawiła się punktualnie o czwartej.

- Tu jesteś - skonstatowała, zupełnie jakby szukała jej od dawna. Umieściwszy parasolkę w stojaku, stanęła przed lustrem i poprawiła kapelusz na świeżo ufarbowanych henną włosach, po czym umocowała go szpilką, która śmiało mogłaby posłużyć za narzędzie zbrodni. - Wstyd, że tak wyszło z domem. Od lat mówiłam Gussy, że jest o wiele za duży dla samotnej kobiety. Nie wolno pozwolić, by rządziły tobą rzeczy, wciąż to powtarzam.

Wszystko to bardzo pięknie, pomyślała Rose, tak długo

jak ma się dach nad głową. Lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu.
Jesteś lekkomyślna, ot co. Dobrze, że masz tak duże stopy, moja droga, bo od teraz będziesz musiała stać na własnych nogach.

- Gospodyni babki dała mi adres wiarygodnej agencji pośrednictwa pracy. Zamierzam się tam udać.

- Co potrafisz robić? - Bess nie zawracała sobie głowy mówieniem ogródkami. Jako kobieta utrzymująca się ze słów, zbyt wysoko je ceniła. - Umiesz stenografować? Potrafisz gotować? Nie myśl, że to zalecam, ale lepiej rządzić w kuchni, niż obsługiwać każdego niezdarę za cenę posiłku. Wprawdzie Rose nie brała pod uwagę pracy kucharki ani kelnerki, jednak równie dobrze mogło do tego dojść.

- Nigdy nie próbowałam, ale jestem pewna, że mogłabym się nauczyć. Potrafię też opiekować się chorymi.

- Chcesz być wycieraczką przez całe życie? Nie znam cię za dobrze, dziecko, bo przez ostatnie lata sporo podróżowałam, ale obydwie wiemy, że Gussy nie była chora. Była po prostu, niech jej ziemia lekką będzie, dokuczliwa jak pluskwa, nie ma powodu się oszukiwać. Tylko mi nie mów, że zamierzasz ubiegać się o pracę w jakimś przytułku. Nie wytrzymałabyś tam jednego dnia. Rose wiedziała, że starsza pani ma dobre intencje. A poza tym była jednym z niezwykle rzadkich okazji, prawdziwie niezależną kobietą.

- Dobrze, co w takim razie pani mi radzi? Guwernantka? Osoba do towarzystwa? Z pewnością mogłabym ubiegać się o którąś z posad tego rodzaju.

- Myślałam o zatrudnieniu cię jako sekretarki, a zarazem osoby do towarzystwa. Rose czekała na dalszy ciąg. Była pewna, że za tymi słowami musi kryć się jakiś podstęp.
- Kłopot w tym, że nie mogłabym płacić ci tyle, by starczyło ci na utrzymanie. Wydawca pokrywa wprawdzie koszty moich podróży, wątpię jednak, czy opłacałby mi sekretarkę. Kiedy babka była w dobrym humorze, opowiadała jej o swojej przyjaciółce, Bess Powers, która zdobyła spory rozgłos po opublikowaniu wspomnień z dzieciństwa spędzonego na pokładzie ojcowskiego statku. Rose zazdrościła pannie Powers swobody i niezależności, lecz mimo sławy otaczającej starszą panią, nie była wcale pewna, czy potrafiłaby przebywać z nią pod jednym dachem.
- Nie potrafię stenografować, przykro mi. Jestem jednak przekonana, że mogłabym się nauczyć, no i mam bardzo ładny charakter pisma.
- Nic by z tego nie wyszło. Za długo dawałam sobie radę całkiem sama. Tak się jednak składa, że mam pewien problem. Mogłabyś być osobą, która pomogłaby mi go rozwiązać. Pewnie nie masz w domu brandy, prawda? Ta fatalna pogoda wchodzi mi w kolana.
- Niestety, nie. Wiedząc, że dziś opuszczam ten dom, powiedziałam służącemu, żeby wzięli sobie całą żywność i alkohol, zdaje się jednak, że w puszcze zostało trochę herbaty.
- Nie rób sobie kłopotu. Zaraz, o czym to mówiłam? A, tak. Matt. Mój bratanek. Biedny chłopak, musi być zrozpaczony, skoro napisał do mnie z prośbą o pomoc.

Najpewniej jest u kresu wytrzymałości. Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, nazwał mnie wścibską starą intrygantką. - Zaśmiała się cicho. - Zresztą nie zamierzam oponować przeciwko takiemu określeniu.

Rose wymamrotała coś, co można byłoby uznać za uprzejme zaprzeczenie. Właściwie ledwie знаła tę kobietę, ale jeśli starsza pani naprawdę spędziła dzieciństwo na statku, wśród samych mężczyzn, jak twierdziła, nic dziwnego, że jest taka bezpośrednia.

Rose doceniała szczerłość. Na dalszą metę oszczędzało to czas, nawet jeśli prawda miała okazać się bolesna.

- Cóż, w każdym razie, jesteś chuda i koścista, ale Gussy też była wątła. Niemniej jednak opieka nad dzieckiem wymaga siły.

- Nad dzieckiem? - powtórzyła Rose, marszcząc czoło. Może jest bardziej podobna do babki, niż sądziła, bo najwyraźniej miała kłopoty ze śledzeniem toku rozmowy. - Przepraszam... czy coś uszło mojej uwagi?

- Dziecko, mała dziewczynka. Nie jestem pewna, w jakim wieku, ale jedno wiem na pewno. Jestem za stara, żeby się tego podjąć, nawet gdybym znalazła czas. Tak czy inaczej, sądzę, że jesteś silniejsza, niż na to wyglądasz, bo w przeciwnym razie nie potrafiłabyś poradzić sobie z Gussy. Wiem, wiem, była moją najlepszą przyjaciółką, choć nie widywałyśmy się zbyt często, odkąd zaczęłam podróżować zawodowo, że tak powiem. Niemniej jednak Gussy była zawsze trochę słaba na umyśle, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. U mnie starość zaatakowała kolana. U Gussy zaatakowała głowę. Jak się zdaje, zawsze bierze na cel nasze najsłabsze organy.

Rose nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć. Jeśli ta opowieść prowadziła do logicznego zakończenia, trudno było sobie wyobrazić, co to może być takiego.

- Tak czy inaczej, w ten sposób można by upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, prawda?

Wieczorem, swoim zwyczajem, Bess i Horace popijali herbatę i brandy, palili cygara i wymieniali uwagi na temat wydarzeń minionego dnia. Od lat mieszkali w sąsiedztwie, trzy przecznice od siebie.

- A więc widzisz - mówiła Bess - jeśli Rose wyrazi zgodę, Matt nie będzie miał wielkiego wyboru, i musi na to przystać. Do tego czasu będzie zbyt zdesperowany, żeby stanąć okoniem.

- A jeśli już znalazł kogoś z wioski, kto zajął się dzieckiem?

- Gdyby to było możliwe, dawno by to zrobił.

- Wracając do Rose. Jak ona sobie radzi?

- Umieściłam ją w pensjonacie dla pań, tuż przy granicy z Wirginią. Pokoje są małe, ale jest czysto, przyzwoicie i tanio.

- Jutro z samego rana wyrusza na poszukiwanie pracy - przypomniał Horace. - Jeśli ją znajdzie, co z planem skojarzenia jej z twoim bratankiem?

- Znalezienie pracy nie przyjdzie jej łatwo. Rose teraz jest w rozpaczliwym położeniu, ale ma dumę i charakter. Kobietom szukającym pokojówki albo guwernantki to się nie spodoba, bo przewraca naturalny porządek rzeczy.

- Dlaczego przypuszczasz, że twój bratanek ją zatrudni?

- Jak już mówiłam, chłopak nie ma wyboru. Gdyby miał, nigdy nie prosiłby mnie o pomoc. -
Zachichotała. Oparłszy lewą stopę na otomanie, delikatnie masowała kolano przez warstwę halek z
szarszy, tafty i muślinu. - Potrafisz mnie sobie wyobrazić z sikającym, rozwrzeszcza-
nym niemowlęciem na kolanach? Dobry Pan wiedział, co robi, dając dzieci młodym ludziom. My, starzy,
nie mamy wystarczająco dużo cierpliwości, a tym bardziej siły.
Horace ścisnął szklaneczkę z brandy i wpatrywał się w ogień płonący na kominku.
- Ciekawe - zadumał się - dlaczego odnoszę wrażenie, że chodzi ci o coś więcej niż o znalezienie
opiekunki do dziecka dla młodego kapitana Powersa?

ROZDZIAŁ DRUGI

Dali jej na imię Annie, po matce Billy'ego. W tej chwili wrzeszczała, śmierdziała i kopała. Matt przez całe dziesięć sekund stał w drzwiach i zmagał się z chęcią pójścia, gdzie oczy poniosą. Szedłby dotąd, aż nie czułby dłużej smrodu i nie słyszałby płaczu, rozdzierającego mu uszy.

- Napisze pan do swojej ciotki jeszcze raz? - Crank-shaw Higgins, najstarszy mieszkaniec tego niekonwencjonalnego gospodarstwa, odstawił do połowy opróżnioną butelkę z mlekiem i z udręczoną miną podał dziecko wraz z czystym, włochatym ręcznikiem kapitanowi.

- W zeszłym tygodniu wysłałem trzeci list - odparł Matt.

- Czy ona zamierza nam pomóc w opiece nad małą?

- Jeszcze nie odpowiedziała.

Crank zaklął. Był z zawodu kucharzem okrętowym i miał całe mnóstwo obowiązków, lecz, tak samo jak pozostali domownicy, dzielnie pełnił służbę przy dziecku.

Czy kapitan mógł okazać się gorszy od załogi?

Matt poddał się losowi. Nalał do miski wody z kociołka, zanurzył w niej kostkę ługowego mydła i przystąpił do pracy.

Po jakichś trzydziestu minutach, z przemoczonymi rękawami i przodem koszuli, cofnął się o krok i z podziwem przyjrzał się swemu dziełu.

- No proszę, teraz wyglądasz jak należy, mała. Wiesz, jesteś całkiem niebrzydka, pod warunkiem, że trzymasz buzię na kłódkę.

Dziecko przyglądało się mu nieco rozbieganymi, dużymi niebieskimi oczami. Choć wciąż była łyśa jak jajo, przynajmniej zaczęła nabierać ciała. Kiedy dostał ją w spadku, była to sama skóra i kości, ale przez ostatnie parę tygodni, w dużej mierze dzięki wysiłkom Cranka, trochę się zaokrągliła.

- Tak, dobrze mnie słyszałaś - rzekł łagodnym głosem, którego nie rozpoznałby żaden z jego ludzi. Napięcie, które ostatnimi czasy nie opuszczało jego ciała i kumulowało się w karku, sprawiając, że z ledwością mógł obrócić głowę z zachodu na wschód, teraz, gdy nawykł do zajmowania się tak delikatnym stworzeniem, powoli zaczynało ustępować.

Do pokoju wsunął głowę Luther. Gładkie policzki miał zaczerwienione od zimnego wiatru z północnego zachodu. Wracał z przystani, gdzie opróżnił sieć, sprawił ryby i nasolił te, których nie potrzebowali na dzisiejsze posiłki.

- Zaraz przejmę wachtę. Tylko się umyję. Jak pan myśli, zaśnie do tego czasu?

- Bardziej prawdopodobnie, że znów będzie się darła.

Matt, wraz z dwoma najmłodszymi i dwoma najstarszymi członkami załogi powrócił do Powers Point, posiadłości, w której jego dziadek osiedlił się wkrótce po tym, jak sprzedał statek i wycofał się z interesów. Ponieważ przez całe lata nikt tu nie mieszkał, większość zabudowań uszkodziły sztormy, kilka z nich woda zniszczyła całkowicie, ale budynek mieszkalny okazał się nad podziw so-

lidny. Z pomocą stolarza okrętowego o imieniu Peg i kilku miejscowych majstrów Matt doprowadził dom do stanu używalności, dobudowując w miarę potrzeby kolejne pomieszczenia.

Jego zdaniem było to całkiem przyzwoite miejsce, w sam raz takie, jakiego mógłby sobie życzyć każdy mężczyzna, a jednak liczył dni do wyjazdu. Niech tylko odzyska statek. Crank i Peg zostaną tu pilnować dobytku. Żaden z nich nie był na tyle młody czy żwawy, by wrócić na morze.

Pięciu mężczyzn szybko weszło w spokojny rytm codziennych zajęć - łowienie ryb, naprawy budynków, ujeżdżanie na wpół dzikich koni, które kupili na kontynencie i przetransportowali przez cieśninę, konne wyprawy do wioski po artykuły potrzebne w gospodarstwie albo po listy w te dni, kiedy przypląwał statek pocztowy.

Billy i Luther od razu nawiązali przyjaźnię, zwłaszcza wśród młodych kobiet. Kiedy tylko zaczęli jeździć na południe, Matt, rzecz prosta, ostrzegł ich, żeby nie pili, nie grali w karty, nie bili się i nie cudzołożyli.

- Pamiętajcie o tym, że wioska to nie portowe miasto. Jeśli któryś z was przekroczy granice, wszyscy za to zapłacimy.

- Nie słyszałem żadnych skarg, a ty, Lute? - Billy wyszczerzył zęby w tym swoim zaraźliwym uśmiechu, który zjednywał mu wszystkich dookoła, mężczyzn i kobiety, młodych i starych.

Teraz Billy leżał półtora metra pod ziemią. Żaden z nich nie wątpił, że Billy dopuścił się tego, o co go oskarżono. Luther przyznał, że podejrzewał, co się święci.

Najwidoczniej to samo podejrzewała połowa wioski, ale ponieważ kobieta zamieszana w tę historię pochodziła z daleka, a o wiele od niej starszy mąż był znany z paskudnego charakteru, wszyscy jednomyślnie postanowili nie wtrącać się w nie swoje sprawy.

Do uszu Matta dobiegł odgłos młotka. Peg właśnie mocował kolejną krokiew. Matt powoli pokiwał głową. Staruszek, który pieczołowicie gromadził deski wyrzucone przez morze, wymusił na nim zgodę na dobudowę kolejnego pokoju, dla Annie. Zupełnie jakby w jednopiętrowym drewnianym domu nie było wolnych pomieszczeń.

Miało to tyle samo sensu co pomysł Luthera. Chłopak zasugerował, żeby kupić i wyszkolić dla niej kucyka, mimo że nie miała nawet roku. Crank wspomniął o kupnie pieska.

Matt z rozbawieniem obserwował, jak załoga rywalizuje o względy Annie. Jeśli nawet któregoś z nich wyróżniała, nie dawała tego po sobie poznać. Bess poradziłyby sobie z tym wszystkim, naturalnie o ile kiedykolwiek się tu zjawi. Wprawdzie ostatnim razem, gdy wsadziła nos w jego osobiste sprawy, stracił panowanie nad sobą i nazwał ją wścibską starą intrygantką, ale wcześniej czy później powinna przyjechać. Chociażby z ciekawości, jeśli nie z innego powodu. A gdy tylko przybędzie, on będzie mógł skupić całą energię na odzyskaniu statku.

Swego statku...

Spoglądając wstecz, zdumiewał się ogromem głupoty, którym inteligentny skądinąd człowiek mógł się wykazać. Cztery lata temu uległ naleganiom dawnego przyjaciela ojca i, aczkolwiek niechętnie, zgodził się na udział w balu

wydawanym z myślą o zebraniu funduszy na dom opieki dla starych marynarzy.

Tam właśnie poznał Głorię Timmons, córkę jednego ze sponsorów. Stała w szpalerze osób witających gości, podobna do anioła z bożonarodzeniowego drzewka, cała biała, złota i błyszcząca.

Matt był potężnie zbudowanym mężczyzną, nawykłym do tego, że góruje wzrostem nad wszystkimi kobietami i większością mężczyzn, ale kiedy umieściła małą, miękką rączkę w jego dłoni, uniosła głowę i spojrzała na niego oczami koloru letniego nieba, trzepocząc przy tym rzęsami, zdjęło go przerażenie. Wolną ręką rozluźnił kołnierzyk. Musiał kilka razy odchrząknąć i na pewno zrobiło jej się go żal, bo obdarzyła go uśmiechem, który mógłby rozpuścić kulę armatnią.

Matt świetnie się czuł w towarzystwie mężczyzn, lecz kiedy przychodziło do kobiet, był niczym ryba wyjęta z wody. Prawdę mówiąc, nie zaufał żadnej od czasu, gdy jego matka doszła do wniosku, iż woli mieszkać na łądzie niż na pokładzie męzowskiego statku, mimo że oznaczało to zostawienie ośmioletniego syna pod opieką ojca.

Oczywiście nie należy przez to rozumieć, że nie miał kochanek, ale kobiety z towarzystwa - zwłaszcza młode, piękne, delikatne, godne szacunku kobiety o miękkich głosach, łagodnych twarzach i delikatnych dłoniach - te były dla niego zgubą.

Wszystko zaczęło się tamtego wieczoru. Matt nigdy nie zawracał sobie głowy nauką tańca. W towarzystwie Głorii z ledwością był w stanie wykrztusić dwa słowa bez zacinania się, lecz ona sobie tylko znanym sposobem potrafiła

sprawić, że przy niej czuł się jak księżę z bajki. Zanim wieczór dobiegł końca, został ugodzony w samo serce, i to w sposób najgorszy z możliwych.

Spędzali razem każdy dzień, podczas gdy jego statek stał zacumowany w porcie. Zaniedbał spotkania z celnikami, przedstawicielami portu, pośrednikami i kupcami, za to przez te siedem dni nasłuchiwał się więcej muzyki, wypił więcej herbaty i wysłuchiwał więcej nudnych odczytów, niż przeciętny mężczyzna musi znieść przez całe życie.

Nie wyrzekł ani słowa skargi. Gdyby Gloria wyraziła takie życzenie, przeczołgałby się po rozżarzonych węglach.

Podczas ostatniego wieczoru przed jego odjazdem pozwoliła mu się pocałować. Zdrętwiały ze strachu, że zrobi jej krzywdę, a co najmniej ją przerazi swoją posturą lub z trudem powstrzymanym wybuchem namiętności, nie zrobił tego jak należy.

- Szkoda, że musisz odpłynąć - szepnęła po krótkim, suchym pocałunku. - Nie mogłabym poślubić mężczyzny, który zostawiałby mnie samą na całe miesiące. Po prostu umarłabym z żalu.

Wtedy nie zdawał sobie z tego sprawy, ale trafiła go w wyjątkowo czułe miejsce. Minęło wiele lat, odkąd po raz ostatni widział się z matką. Jako dorosły mężczyzna nie zaprzętał sobie nią głowy.

Ostatnim razem spotkali się na pogrzebie ojca, gdzie wymienili kilka zdawkowych słów jak nieznajomi, którymi w rzeczywistości byli. Matka zakomunikowała mu, że zamierza ponownie wyjść za mąż i przeprowadzić się do Chicago; on powiedział, że pod koniec tygodnia płynie do Hondurasu, i tak się roz-

stali, wciąż sobie obcy. Od tej pory rzadko o niej myślał, jednak widocznie stare rany wciąż jeszcze się jąrzyły.

O, tak, został wzięty w dwa ognie, nie ma co. Zanim rozstał się z Glorią tamtego wieczoru w porcie, obiecał, że po skończonym rejsie wystawi statek na sprzedaż, a uzyskane stąd pieniądze zainwestuje w firmę stoczniową jej ojca, w zamian za miejsce w radzie nadzorczej.

Ostatecznie dostał dokładnie to, na co zasłużył. Zaledwie z trzydniowym opóźnieniem dostarczył mahoń i banany do Bostonu, rozejrzał się za pośrednikiem i zawarł z nim umowę na sprzedaż „Czarnego Łabędzia”. Wciąż z głową w chmurach, kupił najwię*kszy brylantowy pierścionek, jaki zdołał znaleźć, a następnie, zaprzątnięty myślami o bliskim małżeństwie, udał się na południe, gdzie poinformowano go, że panna Timmons jest z wizytą u przyjaciółki w Wirginii Zachodniej. Pięć dni później trochę się opamiętał i pojechał pociągiem do Bostonu, zamierzając wycofać pełnomocnictwo na sprzedaż statku.

Spóźnił się o trzy dni. „Czarny Łabędź” właśnie został sprzedany.

Znów ruszył na południe, zdecydowany ratować w tej sytuacji, co się da. Skoro nie mógł już być kapitanem najwspanialszego trzymasztowego szkunera, jaki kiedykolwiek unosił się na falach Atlantyku, będzie najlepszym mężem i dołoży starań, żeby zostać cholernie dobrym dyrektorem w stoczni Timmonsa. W końcu, jeśli idzie o statki, miał spore doświadczenie.

To właśnie wtedy odkrył, że kobieta, która skradła mu serce, jest zbyt zajęta uwodzeniem kolejnego naiwniaka,

by obdarzyć go czymś więcej poza pełnym żalu uśmiechem.

- Ależ, mój drogi, nigdy nie mówiłam, że za ciebie wyjdę, prawda? Jestem pewna, że tego nie zrobiłam. Zbyt dobrze się bawię, żeby zakładać rodzinę, ale tatko wciąż trzyma dla ciebie miejsce w radzie nadzorczej. Tylko sprzedaj swój statek.

Po raz pierwszy od wielu lat poszedł w miasto i upił się do nieprzytomności. Dwa i pół dnia później obudził się w domu noclegowym w Newport News ze zwichniętymi nadgarstkami, głową jak bania i pustymi kieszeniami.

Do diabła, nie mógł pogodzić się z tą stratą.

„Czarnego Łabędzia”, nie Glorii. Dał spokój wszystkim romantycznym bredniom raz na zawsze.

Od tamtego czasu minęło cztery lata, a pośrednik wciąż pracował w jego imieniu nad odzyskaniem statku. Nowi właściciele, konsorcjum żeglarzy śródlądowych, zachowywali się tak, jakby chcieli wystawić jego cierpliwość na próbę. Ostatnio zażądali, jak zakomunikował mu pośrednik, pięciu procent jego dochodów przez pięć lat, a cena sprzedaży znacznie przekraczała kwotę, za którą nabyli statek.

Był w trakcie negocjacji, które miały doprowadzić do najwyżej dwuletniego dzielenia się dochodem i obniżenia ceny sprzedaży, kiedy rozpętało się piekło, a w jego życiu pojawił się problem, którego żaden pośrednik nie potrafiłby rozwiązać.

Annie.

Czubkiem wielkiej, obutej stopy trącał kołyskę, którą Peg zrobił z baryłki po rumie i wyłożył gęsim puchem.

Jeśli Bess wkrótce się nie pojawi, będzie musiał energiczniej niż dotychczas zabrać się za poszukiwania niańki. Przecież nie mógł zabrać niemowlęcia na pokład.

Gdyby było chłopcem, może by się nad tym zastanowił, ale nie w tym przypadku. Wystarczyło popatrzeć na Bess, żeby się przekonać, co takie życie robi z dziewczynką. Uwielbiająca intrygi, apodyktyczna, wścibska ciotka piła jak mężczyźni, przeklinała jak oni i obruszała się, kiedy któryś z nich robił to samo w jej obecności.

Westchnął, a zaraz potem zaklął. W krótkim czasie, odkąd został przybrany ojcem, zdarzało mu się to o wiele częściej niż w ciągu trzydziestu jeden lat razem wziętych.

Tak, Annie potrzebowała kobiety. I on też, niestety. Mała, wyspiarska wioska miała poważną wadę - wszyscy wiedzieli o wszystkim, co się tu działo. Nie mając w pobliżu przyzwoitego domu publicznego, mężczyzna mógł popaść w poważne kłopoty. Tej tragicznej lekcji przyszło im nauczyć się na własnej skórze.

Crank, który na każdą okazję miał odpowiedni, choć nieco przekreślony cytat z Biblii, utrzymywał, że lepiej się ożenić, niż zgorzeć, Matt jednak nie zamierzał popełnić tego głupstwa. Był już na tyle dojrzały, że mógł poczekać, aż znajdzie się na kontynencie.

Dla młodszego mężczyzny nie było to równie łatwe. Luther, który kilka dni po strzelaninie pojechał do wioski po zamówione rzeczy, wrócił z nosem na kwintę.

- Do diabła, kapitanie, wszystkie dziewczęta znikły.

Naturalnie nie znikły, tylko zakazano im kontaktować się z mężczyznami z Powers Point. Po tym, co się stało, Matt nie miał pretensji do mieszkańców, że próbują chronić

swoje kobiety, ale do diabła, Annie nie była niczemu winna. Pojawiła się na świecie jako bezbronna ofiara. Matt nie zamierzał dopuścić do tego, by cierpiała za grzechy rodziców, nawet gdyby oznaczało to konieczność porzucenia morza na zawsze.

Nie musiało jednak do tego dojść. Atmosfera stopniowo zaczynała się poprawiać. Kiedy Crank pojechał do wsi zamówić mleko, jedna czy dwie starsze kobiety powiedziały mu, jak wywoływać u dziecka wiatry po jedzeniu, i poradziły, żeby smarować jej pupę słoniną zamiast mycia ługowym mydłem.

Inna kobieta zaoferowała się, że pożyczy im mleczną kozę, ale Bogiem a prawdą mężczyźni z Powers Point zostali sami z zadaniem, któremu żaden z nich nie potrafił sprostać.

- Bess, musisz mi pomóc - mruknął Matt w zimną, wilgotną noc. Nie mógł spać. Stał na drewnianym pomoście wychodzącym na cieśninę Pamlico i obserwował księżyc znikający za chmurą. - Bóg wie, że nie tak wyobrażam sobie opiekunkę do dziecka - mówił dalej do siebie - ale nie mam pojęcia, do kogo innego mógłbym się zwrócić. - Nie traktował swoich słów jak modlitwy, niemniej jednak była w nich ta sama płynąca z głębi serca żarliwość.

Patrzył na spadającą gwiazdę przecinającą nieboskłon i pomyślał, że śmierć może być piękna. Dotąd widywał tylko brzydotę śmierci. Gdyby hołdował przesądom, potraktowałby spadającą gwiazdę jak zły omen, ale Matt był realistą. Od zawsze. Należał do drugiego pokolenia mężczyzn z rodziny Powersów, który wychowali się na morzu.

Nauczył się od ojca, który z kolei przejął tę wiedzę od swego ojca, że sprzyjający wiatr, mocny statek i dobra załoga to wszystko, czego potrzeba mężczyźnie do szczęścia.

Rose przyglądała się, jak Bess Powers nalewa herbatę do dwóch filiżanek, po czym do swojej dodaje porcję leczniczej brandy. Została zaproszona tego popołudnia na herbatę w celu omówienia planów na przyszłość, która zaczynała się rysować coraz bardziej ponuro.

Zamieszała cukier w herbacie, mocniejszej niż ta, do której była przyzwyczajona, lecz gorącej i pokrzepiającej.

- Powinam była bardziej się przykładać do malowania i muzyki. Mama ostrzegła, że będę tego żałować. Kłopot w tym, że nie mam poczucia rytmu, a co do moich akwarel - cóż, im mniej się będzie o nich mówić, tym lepiej. Bess, jak ja mogę nauczyć jakąkolwiek dziewczynkę wdzięcznego kroku, skoro sama często potykam się o własne nogi? - Wyciągnęła je przed siebie i popatrzyła ze smutkiem na duże stopy obute w pantofelki z koźlęcej skóry.

Bess prychnęła.

- Kobieta twojego wzrostu wyglądałaby wyjątkowo głupio ze stopami nie większymi od moich.

- Kto chciałby zatrudnić guwernantkę, która nie umie tańczyć, grać na pianinie, malować i...

- Dziś znów dostałam wiadomość od Matta. Biedny chłopak, jest u kresu wytrzymałości. To trzeci list od niego w ciągu dwóch tygodni.

- Nikt nie chce nawet słyszeć o zatrudnieniu kobiety do prowadzenia rachunków, wyobrażasz to sobie? Jeśli chodzi o głowę do liczb, nikt mi nie dorówna.

- Biednej Gussy nie zdało się to na wiele, prawda?
- Niestety, nie - przyznała Rose. Gdyby dano jej szansę, może udałoby jej się coś uratować, lecz zanim zdążyła przejrzeć rachunki, nie mówiąc o czymś więcej, było już za późno.
- Przepraszam, dziecko, nie zasłużyłaś na to.
Może i zasłużyła, tyle że nie był to najlepszy moment na wyrzuty sumienia. Wystarczyła jej świadomość, że do niczego się nie nadaje. Jeśli jednak uda jej się trzymać głowę prosto, stąpać obiema nogami po ziemi i nie stracić ducha, powinna dać sobie radę.
- Wczoraj przeprowadziłam rozmowę w sprawie posady osoby do towarzystwa. Wynagrodzenie starczy zaledwie na tyle, by nie umrzeć z głodu, no i miałabym sypiać na poddaszu. Sufit jest ukośny, więc nawet nie mogę się wyprostować, ale za to rozciąga się stamtąd piękny widok na ogród.
- Jak już mówiłam, biedny Matt jest w prawdziwych tarapatach.
Rose poddała się z wdziękiem. Kiedy rozwodziła się nad własnymi, mizernymi perspektywami, Bess cierpliwie słuchała, toteż postanowiła zrewanżować się tym samym.
- Pamiętasz, co ci mówiłam o moim bratanku? Rose wiedziała wszystko o kapitanie Powersie, jego przykutej do lądu załodze i odziedziczonym niemowlęciu. Bess miała dar opowiadania i nigdy nie przepuszczała okazji do ćwiczenia się w tej sztuce.
- Czy nie może napisać do którejś z agencji pośrednictwa pracy? Z pewnością znajdą mu kogoś odpowiedniego. Tak wiele kobiet poszukuje przyzwoitego zajęcia.

- Za to nie wszystkie z nich są przyzwoite, czemu nie powinnam się dziwić. Wzięłabyś tę pracę, gdyby ci ją zaproponowano? '

Choć oferta brzmiała kusząco, Rose nie miała zamiaru wpadać z deszczu pod rynnę. Do tej pory zdążyła się przekonać, że nie potrafi szybko podejmować decyzji. Przekonała się też, że posady, których opis brzmi zachęcająco, okazują się w rzeczywistości nieciekawe.

Poza tym, choć serce ścisnęło jej się z żalu na myśl o każdym pozbawionym matki niemowlęciu, nie była wcale przekonana, czy chce mieć do czynienia z kimś z rodziny Bess.

- Jeszcze nie dałam za wygraną. To, że nie znalazłam idealnej posady, nie znaczy, że coś nie trafi się jutro.

- Pomyślałam sobie, że cię zapytam. Gdyby w grę wchodziło małżeństwo poszukujące kogoś do pomocy przy dziecku, sama bym cię na to namawiała, ale nie wyobrażam sobie posłania przyzwoitej młodej kobiety do męskiego gospodarstwa. To nie uchodzi.

- Przecież to twój bratanek. Nie mogłabyś pisać tam, tak samo jak tutaj, a jednocześnie opiekować się dzieckiem?

Starsza kobieta opróżniła filiżankę i natychmiast napełniła ją ponownie, tyle że tym razem wykorzystwała wyłącznie zawartość karafki, nie zwracając sobie głowy dolewaniem świeżej herbaty.

- Jestem starą panną, podróżniczką i pisarką. Nie mam ani czasu, ani chęci na zajmowanie się dzieckiem. To małe biedactwo zasługuje na coś lepszego niż opieka paru nieokrzesanych marynarzy. Znam ich wszystkich i są całkiem w porządku, lecz z drugiej strony...

Powtórzyła opisaną przez bratanka historię o strzelaninie, której ofiarą padło dwóch mężczyzn i kobieta. Gotowi była się założyć, że kryło się za tym coś więcej, niż jej powiedziano.

- Tragiczne, tragiczne - mruknęła, patrząc ze zmarszczonym czołem na filiżankę, znów pustą.

Obiecała sobie, że pozna każdy pikantny szczegół: tej sprawy, ale to mogło poczekać. Przystępując do obmyślenia opowieści, nie lubiła czuć się krępowana przez zbyt wiele faktów. Nie wszystkie sprawozdania z jej podróży były oparte na rzeczywistych wydarzeniach, choć w większości tkwiło ziarno prawdy.

- I żadne z rodziców nie miało krewnych? - dociekała Rose.

- Ani jednego. Matt twierdzi, że szukał dosłownie wszędzie i nie natrafił na najmniejszy nawet ślad.

Biedny Billy. Najśłodszy chłopiec pod słońcem, ale z drugiej strony, nigdy nic wiadomo... -

Wzruszyła pulchnymi ramionami, obleczonymi w jedwab. - Billy błagał Matta przed śmiercią, żeby zaopiekował się jego córką, i Matt, złote serce ma ten chłopak, dał mu na to słowo. Ma to po mnie, to znaczy Matt Rodzony syn mego brata, wiedziałaś o tym?

Rose westchnęła.

- No, tak. Rozumiem, że to załatwia sprawę.

Bess rozmasowała kolano i rzuciła przekleństwo pod udresem pogody, wilgotnej i zimnej, pomimo że nadeszła już wiosna.

- To niczego nie załatwia. Bardzo pięknie, że Matt jest człowiekiem honoru, ale to biedne, bezradne maleństwo nie będzie miało z tego wiele pożytku.

Ciekawe, dlaczego odnoszę wrażenie, że ona mną manipuluje?

Rose w duchu odpowiedziała na to pytanie. Bo zbyt długo kręcę się w kółko bez celu.

Bess nie zrobiłaby czegoś takiego... a może?

Podczas tych wszystkich miesięcy, kiedy spoczywał na niej ciężar opieki nad wymagającą, tyranizującą ją babką, jej rozpacz po utracie dziecka zeszła na dalszy plan. Teraz wróciła, tak świeża i bolesna, jakby to wszystko zdarzyło się przed dwoma dniami, a nie przed dwoma laty. Czy lepiej jest trzymać dziecko w ramionach i stracić je, niż nie trzymać go wcale?

Nie było odpowiedzi, tylko znajoma bolesna pustka.

- Tak sobie myślę - oznajmiła Bess z błyskiem w oku, który Rose nauczyła się rozpoznawać - Gdybyś miała...

Rose nagle poczuła się bardzo zmęczona, i to bez jakiegoś szczególnego powodu, chyba że za taki uzna się wyczerpanie i zniechęcenie, wstała więc, wzięła torebkę i rękawiczki.

- Bess, czy nie mogłybyśmy odłożyć tej rozmowy? Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wołałabym już wrócić do siebie. Jutro z samego rana jestem umówiona na kolejne spotkanie w sprawie pracy.

- Mam nadzieję, że to nie posada gospodyni?

- Cóż, prawdę mówiąc, tak właśnie jest. Wynagrodzenie nie jest wysokie, ale mam do wyboru albo to, albo mieszkanie na poddaszu. Spodziewam się, że posada gospodyni oznacza przyjemny pokój w sąsiedztwie kuchni.

- Łóżko w spiżarni, bez wątpienia, no i rozpustny lokaj dybiący za drzwiami.

Trzeba przyznać, że czasami Bess ponosiła wyobraźnia.

- Jestem pewna, że szanujący się lokaj nie śmiałby nawet...

- Lokaje to mężczyźni, prawda? Jak już mówiłam, przyszło mi do głowy pewne rozwiązanie.

Najpierw jednak porozmawiam o tym z Horace'em i zorientuję się, czy, to zgodne z prawem.

Zorientuje się, czy to zgodne z prawem?

Rose zamknęła oczy. Nie chciała wiedzieć, co knuje Bess, naprawdę nie chciała. Było późno, czuła się zmęczona, a przed pójściem do łóżka musiała jeszcze wyczyścić i wyprasować swoją najlepszą czarną sukienkę.

Tego wieczoru, przy brandy i cygarach, Bess przedstawiła swój pomysł długoletniemu przyjacielowi. Gdyby byli o pół wieku młodszy, mogłaby wyobrazić sobie, że Horace jest jej adoratorem, ale nie byli, toteż dała sobie spokój.

- Wszystko zaczęło się od matki tego chłopaka, najbardziej kapryśnej kobiety pod słońcem.

Mężczyźni z rodziny Powersów zawsze byli mocni jak skały, tyle że żaden z nich nie miał za grosz rozsądku, jeśli chodzi o kobiety. Najpierw ta bezwartościowa kokietka, którą poślubił mój brat, potem ladaco, które zamachało przynętą przed nosem Matta, wbiło haczyk, złowiło rybę i wyrzuciło na mieliznę.

- Jak rozumiem, masz na myśli tę młodą kobietę, która nakłoniła twego bratanka do sprzedaży statku.

Podejrzane

typy, jeśli chcesz znać moje zdanie, zarówno ona, jak i jej ojciec. Zdaje się, że w pewnych kręgach zadają sobie pytanie, skąd biorą się ich pieniądze.

- To całkiem możliwe, teraz jednak chłopak potrzebuje uczciwej, godnej szacunku kobiety z charakterem. Coś mi mówi, że wnuczka Gussy mogłaby się doskonale nadawać. Nie jest zbyt urodziwa, ale dobrze opiekowała się Gussy. Gotowa jestem się założyć, że równie dobrze zajęłaby się dzieckiem Matta. Może nie robi takiego wrażenia, lecz pod tymi układnymi manierami ma charakter.

- Och, nie jest taka brzydka. Pięciu mężczyzn, powiadasz? - Horace delektował się cygarem, przyglądając się dyskretnie drobnej, pulchnej kobiecie siedzącej naprzeciwko.

- Czterech, skoro Billy nie żyje.

- Mimo wszystko starsza kobieta byłaby lepsza.

- Nie patrz tak na mnie, Horace Bagby, opieka nad dzieckiem to praca na cały etat. Ja mam zobowiązania. Jak tylko wyszłam z kołyski, załoga ojca połowę czasu traciła na pilnowaniu, żebym nie wdrapywała się na wanty. Ojciec nie raz i nie dwa musiał posyłać kogoś za burzę, żeby wyciągnął mnie z wody. Lubiłam spacerować po reingu, by udowodnić, że to potrafię. Nawet nie pamiętam, ile razy zawadziłam stopą o kołek i spadłam.

Horace uśmiechnął się pobłaźliwie. Znał Bess ponad pół wieku.

- Wciąż chcesz sobie coś udowodnić, mam rację? Wcale się tak bardzo nie zmieniłaś, moja droga.

- Daj spokój. Wracając do tego, o czym mówiłam -kobieta obarczona tyloma obowiązkami co ja nie ma czasu,

a od młodej, w każdym razie przyzwoitej, nie można oczekiwać, by zgodziła się zamieszkać w domu pełnym mężczyzn. To nie byłoby właściwe. Stąd też wymyśliłam rzecz następującą.

Po pięciu minutach Horace z nieukrywanym podziwem pokręcił głową.

- To, co proponujesz, jest zgodne z prawem, jak najbardziej, wątpię jednak, czy twój bratanek na to przystanie.

- Zostaw Matta mnie. Tonący brzytwy się chwyta.

Potrzeba było na to trzech tygodni i niezliczonej liczby telegramów i listów. W pierwszym liście Bess bez ogródek wyłożyła swój plan. Napisała, że zna pewną młodą wdowę, pracowitą, czystą, skromną, silną i nieśmiałą, która rozpaczliwie szuka dachu nad głową. Nie może jednak posłać zasługującej na szacunek kobiety do domu pełnego mężczyzn, chyba że Matt zgodziłby się ją poślubić dla dobra dziecka. W ten sposób problemy obojga zostałyby rozwiązane.

Matt natychmiast odpisał, że takie rozwiązanie absolutnie nie wchodzi w grę.

Na to Bess odpowiedziała, że w takim razie ani ona, ani jej przyjaciel Horace Bagby, prawnik, który reprezentuje interesy tej młodej kobiety, nie zarekomenduje jej posady opiekunki, a to wielka szkoda, ponieważ jest to osoba zdolna, godna zaufania, uczciwa do szpiku kości i potrafi zajmować się dziećmi, także niemowlętami.

„Jeśli nie możesz zająć się Annie sama, spróbuj znaleźć mi kogoś innego” - odpisał Matt. „Nie mam zamiaru się żenić”.

Tymczasem Annie, która miała już prawie pół roku, dostała pierwsze normalne jedzenie, wbrew radom właścicielki kozy, która twierdziła, że dziecku nie można dawać zwykłego jedzenia, zanim nie ukończy roku.

Annie rzuciła się na cienką papkę z owsianej mąki, którą Crank nazwał owsianką, jak kot na surową rybę. Miała już kilka pasm włosów nieokreślonego koloru i potrafiła się uśmiechać. Luther utrzymywał, że to on ją tego nauczył, ale zdaniem Matta jej uśmiech był identyczny jak uśmiech Billy'ego.

Nagle posmutniał. Lepsze to niż złość i frustracja, ale niewiele.

„Do diabła, Bess” - napisał po raz kolejny. Już dawno temu darowali tobie formalności, bo Bess nie pasowała do niczych wyobrażeń ciotki, w dodatku starej panny, a on nienawidził, jak mówiono do niego chłopcze. „Pomóż mi. To, że Annie nie ma opiekunki, obciąża twoje sumienie”.

„Nie mam pojęcia, co mogę zrobić” - odpisała Bess. „Mówisz, że nie chcesz żony. Moja przyjaciółka nie chce drugiego męża. Dzięki papierowemu małżeństwu przez pośrednika wymaganiom przyzwoitości stałoby się zadość, a żadne z was nie musiałyby się angażować bardziej, niż sobie życzyście”.

Starsza pani uśmiechała się szeroko, czytając odpowiedź bratanka w obecności przyjaciela,

- Widzisz, mówiłam ci, że się uda. Trzeba się podkraść, powolutku, a potem uruchomić pułapkę.

- Bess Powers, sprytna z ciebie kobieta - zauważył Horace z podziwem - Powinnaś być prawnikiem.

- Wystarczy mieć odrobinę wyobraźni, żeby obmyślić intrygę, no i prawnika, który dopracuje szczegóły.

- Dobrana z nas para. Teraz pozostało nam tylko przekonać Rose.

Przekonanie Rose nie było tak trudne, jak mogłoby się wydawać miesiąc wcześniej, kiedy Bess po raz pierwszy opowiedziała jej o pozbawionym matki niemowlęciu, skazanym na opiekę prymitywnych marynarzy. Rose potrafiła to sobie wyobrazić aż nadto dokładnie - naga wyspa, rozpadająca się chata, bezradne niemowlę pozostawione na łasce czterech nieokrzesanych mężczyzn, którzy bez przerwy klęli, drapali się, a kapali raz do roku, jeśli w ogóle.

Choć Bess wspomniała też o tym, że parę razy odwiedzała tamto miejsce...

Ale pisała również o rzekach pełnych krokodyli i łodziach wiosłowych z wydrążonych pni, którymi pływali mężczyźni w pióropuszcach na głowach, przystrojeni w małe koszyczki z trawy, okrywające ich męskość.

Z drugiej strony wyspy Outer Banks nie były znowu tak daleko stąd. Słyszała o kilku rybakach, który mieszkali tam wraz z rodzinami. Podobno powodziło im się całkiem nieźle.

Prawdopodobnie lepiej niż jej w cywilizowanej Wirginii. Na żadnej z posad nie wytrzymała dłużej niż kilka dni. Najpierw znalazła pracę w charakterze pomocnicy gospodyni w żeńskiej szkole z internatem. Kaszłała i kichała przez dwa dni, zanim odkryła, że jest uczulona na kredowy pył.

Wydawało się, że los się do niej uśmiechnął, kiedy do-

stała pracą guwernantki siedmiorga dzieci w wieku od pięciu miesięcy do jedenastu lat. Aż do nocy, kiedy ojciec dzieci przyszedł do jej pokoju w jedwabnym szlafroku i zasugerował, że już czas na cichą naradę.

Rose zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, spakowała rzeczy i opuściła dom.

Po tym doświadczeniu była zmuszona obniżyć wymagania. Skłonił ją do tego głód. Mimo to jej ostatnia praca - już nie myślała o nich jak o posadach - trwała krócej niż cztery godziny. Kiedy jej pośladki zrobiły się czarno-niebieskie od szczypania, a niezbyt obfity biust stał się obiektem głośnego podziwu głupka, który mienił się szefem, ściągnęła fartuch i wymaszerowała z najlepszej restauracji w mieście.

Dokonywanie wyborów szło jej coraz gorzej.

A teraz, skoro była zmuszona pożyczyć pieniądze na mieszkanie i jedzenie od Bess, nie miała wyboru.

Pozostało jej siedzieć w milczeniu i słuchać, jak Bess i pan Bagby przedstawiają swoją propozycję.

Słyszała to już wcześniej. Za pierwszym razem stanowczo odmówiła.

- Dziękuję, ale nie szukam drugiego męża. Może teraz wszystko wygląda niezbyt zachęcająco, ale to tylko dlatego, że tak wiele osób stara się o pracę jednocześnie. Pisali o tym ostatnio w gazecie.

To było wczoraj. Dzisiaj zgodziła się wysłuchać ich propozycji ponownie. Nie przypuszczała, że zmieni zdanie, bo jeden mąż wystarczył jej aż nadto, ale Bess była dla niej miła, a ona zawdzięczała jej na tyle dużo, że chciała odplacić jej choćby uprzejmością.

- To zwykła umowa, która ma za zadanie chronić ciebie samą - wyjaśnił Horace. Nietrudno było zauważyć, że Bess okręciła sobie tego biedaka dookoła małego palca.

Rose otworzyła usta, chcąc odpowiedzieć. Wtedy wtrąciła się Bess.

- Widzisz, Matt tak samo jak ty nie pragnie małżeństwa, ale jest na tyle zdesperowany, że gotów byłby poślubić czarownicę. Właśnie dlatego ta propozycja jest dla ciebie wprost wymarzona.

Rose, zastanawiając się, czy właśnie nie została obrażona, spróbowała jeszcze raz. Tym razem to Horace rozproszył jej obiekcje, zanim zdolała je wyrazić.

- Takie porozumienia są dość częste. Jak już mówiłem, umowa zwarta przez pośrednika i przy świadkach jest legalna jak każda inna, co nie oznacza, że nie można się z niej wycofać na życzenie którejś ze stron.

- Cóż, już sama nie wiem - powiedziała z wahaniem Rose.

Bess starannie unikała patrzenia na Horace'a, lecz oboje wiedzieli, że bitwa została wygrana.

Co to będzie za historia, pomyślała uszczęśliwiona Bess. Oczywiście będzie musiała trochę odczekać, zanim przeleje ją na papier. Do tej pory zdążył zapoznać się ze wszystkimi krwawymi szczegółami tak zwanego wypadku. No i oczywiście zmieni imiona zainteresowanych.

Odwaga nie opuszczała Rose prawie do końca. Dopiero gdy ujrzała swój własny drżący podpis, Augusta R. L.

Magruder, na świadectwie ślubu, kolana się pod nią ugięły i o mało nie zwymiotowała.

Na szczęście nie jadła śniadania. Była zbyt zdenerwowana, by przełknąć choć kęs.

- Och, nie, to pomyłka - wyszeptała.

- Wygląda pani czarująco, moja droga - powiedział Horace, cały w uśmiechach, zupełnie jakby był to prawdziwy ślub, a nie maskarada.

Nie wyglądała czarująco, była zielona. Gdyby miała wybór, wolałaby być nawet ziemista niż zielona.

- Kapitan Powers będzie zachwycony, jestem pewny. Dokonała pani dobrego wyboru. Bess zapewniła mnie, że pani mąż jest dość zamożny. Ja... pozwoliłem sobie zerknąć w jego...

- Nie. - Kiedy podjął na nowo, zawołała jeszcze raz: -Nie!

Wszyscy troje wytrzeszczyli na nią oczy. Bess, która już zaczęła świętować, Horace, z różą w klapie, dla uświetnienia uroczystości, no i dentysta z gabinetu naprzeciwko, zastępujący nieobecnego pana młodego.

- Przykro mi, nie mogę tego zrobić. Mówił pan, że wolno mi się ze wszystkiego wycofać. Od czego powinnam zacząć?

- Ależ, Rose - uspokajała ją Bess.

- Nie spodobam się mu. Jestem ponura, bez odrobiny wdzięku, jestem za wysoka i nie mam pojęcia o wychowywaniu dzieci.

- Matt jest wysoki jak sosna wydmowa, nie poznałby się na wdzięku, gdyby nagle stanął dęba i ugryzł go w tyłek, a dla dziecka wszyscy są wysocy. A co do twego usposobienia,

nie ma powodu do niepokoju. Zmieni się, jak tylko przestaniesz się zamartwiać. On cię na pewno polubi. A jeśli nie, jest idiotą.

- Co będzie, jeśli on mi się nie spodoba?

- To nie będzie miało najmniejszego znaczenia. Wypłynie w rejs natychmiast po twoim przyjeździe.

Od czasu jak sprzedał statek, nie może się doczekać powrotu na morze.

Na widok błysku zdecydowania w oczach Rose Bess dodała szybko:

- Tak się składa, że właśnie przyszedł mi do głowy kolejny doskonały pomysł.

Rose nie była pewna, czy przeżyje jeszcze jeden doskonały pomysł starszej pani, ale w tym momencie była zbyt słaba, by zaprotestować. Pozostało jej tylko usiąść i słuchać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ostatni element wykończenia został zamocowany w pokoju Annie tego ranka. Ponieważ nic nie było w stanie odwieść Pega od zamiaru budowy kolejnego pomieszczenia, Matt zasugerował miejsce obok sypialni na końcu korytarza, którą w myślach przeznaczył na pokój pani Powers. Nie zamierzał dzielić sypialni z tą kobietą.

Bess i jej towarzyszka będą musiały uzgodnić jakoś między sobą, gdzie która będzie spała. Bess miała swój ulubiony narożny pokój. Szczerze wątpił, czy ciotka przyda mu się na coś przy Annie. Co zaś do jej przyjaciółki, gdyby zgodziła się podjąć obowiązki przy małej do czasu pojawienia się jego żony, byłby jej za to nieskończenie wdzięczny.

Zona. Okazała się niezrównaną towarzyszką życia, pomyślał z goryczą. Od dnia ślubu upłynęło prawie dwa tygodnie, tymczasem on nawet jej nie widział, a o korzyściach, których ten związek miał mu przysporzyć, szkoda mówić. Bess twierdziła, że jego żona natychmiast po ślubie wyjechała z miasta, żeby zająć się jakąś chorą krewną.

A teraz, zamiast jednej, miał na głowie dwie kobiety. Jak na razie Bess nie powiedziała mu tego wprost, o ile jednak znał swoją ciotkę, to wdowa Littlefield będzie musiała

podjąć się roli opiekunki dziecka. Bess, która uważała się za sławną pisarkę, potrafiła tak manipulować słowami, że najzwyklejsza czerń i biel przybierały setki odcieni szarości.

- Statek pocztowy właśnie wpływa do kanału. Czy mam zaprząć mulicę do wozu, kapitanie? - Crank cały ranek spędził przy kuchni. Jedno nie ulegało wątpliwości: gdy przybędą goście, wszyscy będą lepiej jeść. No i dobrze. Matt miał już serdecznie dość fasoli, ryb i chleba kukurydzianego.

- Powiedz Lutherowi, żeby się tym zajął. - Choć załoga od dawna nie przestrzegała protokołu obowiązującego na pokładzie statku, wciąż zwracali się po rozkazy do kapitana.

Matt powrócił do korespondencji, którą przeglądał od samego rana. „Czarny Łabędź” przynosił straty na każdym kursie. Kapitan zatrudniony przez konsorcjum, które nabyło statek, był najwyraźniej kompletnym durniem i miał mniej więcej takie wyczucie w interesach jak plaster bekonu. Według informatora Matta zatrudnionego w zarządzie portu, „Czarny Łabędź” tracił ładunek w wyniku niewłaściwego rozmieszczenia towarów w ładowni, pieniądze na skutek ciągłych opóźnień w dostawach, a ponadto znacznie ucierpiał z powodu gwałtownej burzy w pobliżu Barbados. Na domiar złego uszkodzenie nie zostało naprawione jak należy przed drogą powrotną.

Matt zaklął. „Czarny Łabędź”, pierwszy statek, który do niego należał, był jego dumą i radością. Jeśli tak dalej pójdzie, to kiedy go odzyska, będzie się nadawał co najwyżej do transportu węgla. Niech go diabli, jeśli do tego

dopuszczać. Osobiście wyprawi mu przyzwoity morski pogrzeb, zanim jeszcze bardziej go upokorzy. Przez krótki czas zastanawiał się nawet, czy nie kupić jednego z tych małych, szybkich szkunerów i nie zająć się handlem przybrzeżnym. Tym sposobem oczekiwanie na odzyskanie statku nie dłużyłoby mu się tak jak teraz. Przy odrobinie szczęścia, gdyby udało mu się załatwić stałe kursy z Maine do Savannah, nie musiałby oglądać własnej żony - jeśli ta kiedykolwiek się zjawi - częściej niż raz czy dwa razy do roku.

Ale pieniądze miały iść na odkupienie „Czarnego Łabędzia”. Dopóki będzie miał na uwadze ten ostateczny cel, dopóty był gotów czekać tak długo, jak będzie trzeba. Na dobre czy złe „Czarny Łabędź” był jedyną prawdziwą miłością jego życia i Matt był zdecydowany go odzyskać. Za każdą cenę.

- A wówczas pani, pani Powers, gdziekolwiek pani jest - mruknął pod nosem - może sobie wziąć Powers Point z moim błogosławieństwem.

Rose leżała na boku na lepkiem od brudu materacu koi, najwyraźniej przeznaczonym dla kogoś dwa razy od niej niższego, i mocno zaciskała powieki, usiłując powstrzymać kolejną falę mdłości. Bess na samym początku rejsu dała jej korzeń imbiru do żucia. Trochę pomogło, ale że nieszczęsny statek pocztowy bez końca wpływał i wypływał do każdej najmniejszej wioski, wkrótce pozostało jej tylko modlić się o szybką śmierć.

Co się tyczy Matthew Powersa i jego dziecka, szczerze żałowała, że w ogóle o nich usłyszała.

Bess wsunęła głowę przez uchylone drzwi kajuty.

- Czas się zbierać - zapowiedziała pogodnie. Jako wytrawna podróżniczka, całą drogę spędziła w kabinie pilota, na słuchaniu i opowiadaniu różnych historyjek oraz na robieniu notatek.

- Chcę tylko umrzeć w spokoju, zostaw mnie - jęknęła Rose, nie otwierając oczu. Była zmalretowana jak nigdy. Jeśli o nią chodzi, mogli wykopać dół i pochować ją na następnym postoju, żeby już nie musiała postawić stopy na jakiegokolwiek łodzi.

- Na chorobę morską jeszcze nikt nie umarł.

- I z pewnością tego żałował - burknęła Rose. Zebrała się w sobie, starając się nie zwracać uwagi na stały, kołyszący ruch, poczekała chwilę, chcąc się upewnić, czy znów nie będzie potrzebowała wiadra, po czym z wysiłkiem stanęła na nogi. - Oświadczam ci, że nie zamierzam wracać. Chyba że ktoś odkryje lądową drogę na Outer Banks.

- Spokojnie, połuj to, a się odświeżysz. - Bess podała jej przywiedłą gałązkę mięty. - Poszczyp policzki i zrób coś z włosami. Chyba nie chcesz, żeby mąż zobaczył cię w takim stanie? Wyglądasz jak duch stracha na wróble.

- On nie będzie moim mężem, dopóki mu o tym nie powiem - odrzekła Rose.

- To może poczekać. Przyjechałaś tutaj, żeby się zorientować, na czym stoisz, zanim zdecydujesz się związać z nim na resztę życia, pamiętasz?

Jak mogłaby o tym zapomnieć? Nie wiedziała tylko, co jest bardziej niedorzeczne: poślubienie mężczyzny, którego nigdy nie widziała, czy udawanie, że tego nie zrobiła.

Przez całe lata skarżyła się na to, że nie pozwolono jej dokonywać własnych wyborów, ale zawsze, kiedy miała taką możliwość, robiła to źle. Tym razem zamierzała być cierpliwa, przyjrzeć się sytuacji ze wszystkich stron i dobrze wszystko przemyśleć przed powzięciem decyzji.

Wyjęła listek swego ulubionego mydła o zapachu bzu, umyła twarz, po czym przejechała wilgotnymi dłońmi po włosach. Wcześniej rozplotła warkocze, bo uwierały ją podczas snu. Teraz jej włosy przypominały stary, rozpleciony sznur. Matka kiedyś załamywała ręce nad tym, że wszystko u jej jedynej córki jest koloru zeschniętej trawy, poczynając od włosów, zbyt ciemnych, by można nazwać ją blondynką, a zarazem zbyt jasnych, żeby dało się ją uznać za szatynkę, a kończąc na oczach, które przy ziemistej cerze miały barwę zmatowiałego mosiądzu.

Dzięki Bogu, Matthew Powers nie będzie wiedział, kim jestem, pocieszyła się. Na pewno wygląd sekretarki i osoby do towarzystwa jego ciotki nie obchodzi go nic a nic.

Mimo anonimowości nie czuła się zbyt podniesiona na duchu, kiedy niedługo potem stanęła na pokładzie, wciąż na trzęsących się nogach. Ostrożnie przypatrywała się małej grupce ludzi na wybrzeżu, szukając wśród nich kogoś, kto byłby podobny do Bess - kogoś tęgiego i rudowłosego, z mocno zarysowaną szczęką i bystrymi ciemnymi oczami. Przyrzekła sobie, że bez względu na to, jak nieciekawym wyda jej się ten biedny mężczyzna, powstrzyma się od pospiesznego osądu. Rozważy wszystkie za i przeciw przed powzięciem ostatecznej decyzji. Pozostawało jej tylko mieć nadzieję, że i on okaże się równie wyrozumiały.

Bess uwijała się wesoło, zbierając podręczny bagaż, głównie książki, notatniki i przybory do pisania, podczas gdy młody oficer przeniósł kufry obydwu pań na nabrzeże. Gdyby nie wymagało to zbyt wielkiego wysiłku, Rose mogłaby w tej chwili znienawidzić każdego, kto wyglądał tak kwitnąco po przebyciu tej niekończącej się drogi przez czeluście piekielne.

- A oto i Luther. Przyjechał zabrać nas do Point. — Bess, wymachując złożoną parasolką, przeszła pewną nogą po wąskiej, rozkołysanej desce. Rose ostrożnie ruszyła za starszą panią, starając się nie patrzeć w dół, na ciemną, lekko wzburzoną wodę między nabrzeżem a pokładem.

Wiatr szarpnął jej kapeluszem, przymocowanym jedyną szpilką, którą zdołała znaleźć, do pospiesznie zaplecionych warkoczy. Przycisnęła więc dłoń do czubka głowy, a drugą przytrzymała powiewającą spódnicę.

Luther, przystojny młody człowiek, którego oczy sprawiały wrażenie należących do kogoś o wiele starszego niż on sam, uśmiechnął się do niej nieśmiało i pomógł usiąść na twardym siedzeniu wozu.

- Witamy, panno Bess, witam panią.

- Biedny Billy. Wiem, że ci go brakuje - odezwała się Bess i, nie przerywając ani na chwilę dla zaczerpnięcia tchu, ciągnęła: - Sądziłam, że Matt przyśle po nas wóz zaprzężony w konia. Czyżby nie odróżniał klaczy od mulicy?

- Tak, proszę pani, to jest Angel. W styczniu przepłynęła na brzeg z barki, która osiadła na mieliźnie. Nikt inny jej nie chciał, więc postanowiliśmy ją zatrzymać. Nie jest zbyt bystra, nawet jak na muła, ale od razu przywykła do

uprząży. - Odwrócił się do Rose i uśmiechnął się szeroko. - Mamy kilka ładnych koni, jeśli lubi pani jeździć.

Rose nigdy w życiu nie dosiadła konia. Powoziła własną dwukólką i odbywała przejażdżki z niezliczoną liczbą woźniców, lecz wóz ciągniony przez mulicę to było coś nowego.

Wciąż nie mogę uwierzyć, że zgodziłam się na ten szalony plan, powiedziała sobie w duchu, gdy ruszyli piaszczystym traktem porośniętym koleinami do miejsca zwanego Powers Point. Powinna była ubiegać się o pracę w zakładzie dla umysłowo chorych, bo najwyraźniej tam było jej miejsce.

Luther spytał, czy są jakieś wieści od żony kapitana, i Rose poczuła, że twarz zaczyna piec.

- Niebawem się zjawi - odparła Bess ze spokojem. - Co tam słychać u Pega? - Pokrótce wyjaśniła na użytek Rose, że stolarz okrętowy połamał sobie kości, kiedy podczas sztormu w dziewięćdziesiątym pierwszym spadła na niego szalupa, i od tamtej pory odczuwa bóle przy najmniejszej zmianie pogody.

- To samo co zawsze. Wcale się nie oszczędza. Dobudował pokój dla Annie, a pani i pani Littlefield mogą sobie wybrać pokoje wedle uznania.

Pani Littlefield. Wielkie nieba, to ja. Nie Augusta Rose, nie pani Robertowa Magruder, znów jestem Rose Littlefield.

Młody woźnica cmoknął językiem o zęby i uderzył lejcami grubą skórę mulicy.

- Ruszaj do domu, Angel, przed nami daleka droga. Przypuszczam, że pani Powers pewnie będzie miała coś

do powiedzenia w sprawach rozmieszczenia gości, ale na razie wszystko zostaje po staremu.

- Och, wyjedziemy, jak tylko żona Matta się tu zjawi. Jedna kobieta w gospodarstwie to dość, zawsze to powtarzam - zaszcebiotała Bess.

Czyżby? Nigdy nie słyszałam, żebyś tak mówiła, ale mówisz tyle rzeczy...

Rose zdawała sobie sprawę, że przemawia przez nią złośliwość, toteż obiecała sobie, że jeśli kiedykolwiek dojdzie do siebie po tej straszliwej podróży, będzie myślała o innych z większą sympatią. Wbijając wzrok w ciasno zaplecione dłonie, czekała, na rozwój wypadków, niepewna, czy podróż pojazdem ciągnionym przez mulicę nie podziała na nią tak samo jak rejs statkiem.

Najwidoczniej nie. W głowie wciąż jej się kręciło, lecz nie musiała się już obawiać, że żołądek wywróci się na drugą stronę.

Stopniowo zaczęła rozglądać się po otoczeniu, bez ustanku powtarzając sobie, że musi tu tkwić, póki nie zdecyduje, czy jest gotowa zaakceptować papierowe małżeństwo, czy nie. Albo dopóki nie będzie w stanie zmusić się do wejścia na pokład okropnego pocztowego statku i powrócić do domu.

Gdziekolwiek ten dom był.

Kiedy tylko opuścili wioskę skrytą za drzewami, znaleźli się na zupełnym pustkowiu, takie w każdym razie Rose odniosła wrażenie. Piasek, pas bagiennych traw po lewej, wąska, poorana przez wozy droga i kilka poskręcanych od wiatru, pokrytych winoroślą krzewów.

I woda. Mając po jednej stronie Atlantyk, po drugiej

cieśninę Pamlico i, według Bess, zatoki na obydwu końcach, była zewsząd otoczona, a raczej osaczona, przez wodę.

Znała przylądek Dorsza i przylądek May, w obydwu miejscach spędzała wakacje z rodzicami. Robert chciał się budować na przylądku Dorsza, lecz najlepsze, na co go było stać, to mały domek nad potokiem Smith, na peryferiach Norfolk.

Ten jałowy obszar nie miał absolutnie nic wspólnego z żadnym z modnych nadmorskich kurortów, z wyjątkiem wody. Nawet na wioskę składało się tylko kilka drewnianych domostw, rozrzuconych bez żadnego planu pod olbrzymimi dębami porośniętymi mchem. Żadnych ulic, żadnych sklepów, tylko pobielane chaty, parę nagrobków, kilka wysłużonych łodzi i sieci rozciągnięte między rozłożystymi dębami niczym gigantyczna pajęczyna.

Och, Boże, znów to zrobiłaś, prawda? Skoczyłaś, zanim spojrzałaś przed siebie.

Wóz podskakiwał na drodze wyżłobionej koleinami, wiodącej wzdłuż pasa otwartej plaży. Rose przytrzymała kapelusz i zadała sobie w duchu pytanie, dlaczego kobiety przy zdrowych zmysłach wybierają życie w takim niegościnnym miejscu. Najwyraźniej nie była osamotniona, jeśli chodzi o dokonywanie niewłaściwych wyborów i dźwiganie tego brzemienia przez całe życie.

Powoli wyłonił się przed nimi Powers Point, który według Bess należał do jej rodziny od kilku pokoleń. Posiadłość mego męża, pomyślała Rose, patrząc ponad grzbietem mulicy na rozrzucone na sporej powierzchni zabudowania,

z których żadne nie wyglądało szczególnie imponująco, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- Pamięta pani Jericha, panno Bess? Matt codziennie zabiera go na plażę. Ujeździł go na tyle, że spada najwyżej raz czy dwa na dzień - powiedział z dumą Luther.

- Naprawdę? Pasują do siebie, w rzeczy samej. Obaj równie uparci. - Na użytek Rose wyjaśniła, że Jericho to dziki ogier, którego bratanek kupił w chwili słabości.

Rose, nieco pocieszona faktem, że nawet mężczyznom od czasu do czasu zdarza się dokonywanie nietrafnych wyborów, wpatrywała się w jedyny budynek przypominający dom mieszkalny. Niepomalowany, sprawiał wrażenie, że powstał całkiem przypadkowo. Kiedyś zapewne był zwy- czajnym, jednopiętrowym domem, lecz z biegiem lat dobudowywano do niego kolejne pomieszczenia, nie dbając o styl i zachowanie proporcji. Dostrzegła przypadkowo rozmieszczone szczyty dachu, okna różnej wielkości wychodzące na zatokę, a nawet wdowi ganek.

- Och! Czyj to pomysł? - Bess wskazała mały taras otoczony balustradą ze szczebelków, umieszczony w najwyższej części dachu.

- Peg wbił sobie do głowy, że teraz, skoro kapitan się ożenił, jego żona może zechce wyglądać na niego, gdy będzie przepływał w pobliżu wybrzeża. Może na przykład wywiesić flagę, kiedy będzie opływał przylądek, żeby żona mogła odróżnić „Czarnego Łabędzia” od innych statków.

Litości, on mówi o mnie, zrozumiała Rose, oczami duszy widząc siebie, jak stoi wysoko na szczycie dachu i gorączkowo macha chustką na widok każdego statku przepływającego nieopodal.

Jeśli o nią chodzi, jedyną zaletą mężowskiej posiadłości było to, że wybudowano ją na łądzie, na suchej ziemi, a każdy zniszczony, wyblakły budynek oznajmiał światu: Jestem taki, na jaki wyglądam. Czy ci się podobam, czy nie, ja tu zostanę.

Te słowa w większym lub mniejszym stopniu odnosiły się do jej własnej sytuacji. Oto jestem, powiedziała sobie w myśli. Właśnie taka, a nie inna, a ty możesz mnie przyjąć lub odrzucić. Nie będzie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia. Chcę tylko, żeby poprowadzono mnie do łóżka i wiadra i zostawiono w spokoju na najbliższe kilka lat.

Mulica skręciła i stanęła w miejscu. Kilka nakrapianych kur wybiegło im z gdakaniem na powitanie.

Luther sięgnął do worka, jednego z tych, które zajmowały tył wozu, i sypnął na ziemię garść ziarna.

- Proszę wejść do środka, panno Bess, pani też, pani Littlefield. Zaraz przyniosę wasze bagaże, ale najpierw wyprzęgnę mulicę i dam jej owsa.

Bess zeskoczyła z wozu tak zwinnie, jakby nagle ubyło jej lat. Rose poszła w ślad za nią, ale ostrożniej, w obawie, że się przewróci. Wystarczająco złe było to, że pojawiła się incognito.

Brakowało tylko, żeby padła niezdarnie na ziemię do mężowskich stóp.

- Matt, jesteśmy! Gdzie jest twoje dziecko?

Rose, która z trudem brnęła po piachu za starszą panią, usłyszała skrzypnięcie drzwi i ostrożnie zerknęła zza korpulentnej sylwetki Bess. Oczy jej zogromniały.

To był bratanek Bess? Ten olbrzym?

To był jej mąż?

Ciekawe, czy statek pocztowy już odpłynął. Wprawdzie na samą myśl o chorobie morskiej robiło jej się słabo, lecz przemoc była o wiele gorsza. Wciąż prześladowały ją koszmary senne, zwłaszcza w burzowe noce.

Gdyby ten człowiek kiedykolwiek stracił panowanie nad sobą i uderzył ją, mogłaby tego nie przeżyć. Ręce miał potężne jak konary drzew.

- Rose, chodź tu i poznaj Matta. Matt, to pani Littlefield. Jest moją sekretarką i towarzyszką, ale wypożyczam ci ją na jakiś czas.

Kiedy Bess powiedziała, że Powersowie to mężczyźni z krwi i kości, Rose doszła do wniosku, że wszyscy są pewnie niscy, tędzy i rudowłosi. Ten mężczyzna miał włosy czarne jak smoła, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Nawet jeśli na jego muskularnym ciele był gram czy dwa niepotrzebnego tłuszczu, z tej odległości nie było tego widać. Rose miała do czynienia z mężczyznami. Ojciec, synowie przyjaciół rodziców, którzy dokuczali jej w dzieciństwie, a później nie zwracali na nią najmniejszej uwagi. No i oczywiście Robert.

Żaden z nich nie był tak całkowicie, tak wyzywająco męski jak ten olbrzym. Ponieważ stał na werandzie, sprzączka u pasa znalazła się na poziomie jej oczu, a dopasowane spodnie podkreślały ostentacyjnie jego męskość.

Och, litości...

- Rose? O co chodzi, czyżbyś wciąż miała kłopoty z żołądkiem? - spytała Bess, a półgłosem wyjaśniła bratankowi: - Fatalnie znosi podróże morskie. Pracujemy nad tym, ale na pewno się ucieszy, jeśli będzie mogła spędzić trochę czasu w jednym miejscu.

Rose, zbierając resztki odwagi, zmusiła się do pokonania pięciu zapiaszczonych drewnianych stopni i weszła wraz z Bess do środka, mimo że oznaczało to otarcie się o mężczyznę, który przytrzymał im drzwi. Mijając go, czuła ciepło jego ciała. Na dworze było zimno i wilgotno, a on miał na sobie tylko czarne spodnie z szarszy i białą koszulę, rozpiętą pod szyją, a zawinięte rękawy ukazywały żylaste, porośnięte włosami przedramiona.

- Na pewno chcecie się odświeżyć - przemówił. - Powiem Crankowi, żeby zrobił herbatę. Jeśli jesteście głodne, mamy biszkopty z lunchu. Możecie zjeść je z konfiturą z fig albo z musztardą i szynką. Jakoś na nich dotrzwacie do obiadu. - Popatrzył prosto na Rose. - Pani Littlefield? Słyszała pani, co mówiłem?

Rose poczuła, jak żołądek jej się zaciska, lecz udało jej się przytaknąć. Bess odezwała się:

- Powiedz temu staremu kucharzowi, żeby zrobił mi taką herbatę jak zwykle, dobrze? Chodź, Rose, pokażę ci, gdzie możesz się przebrać.

Rose nawet nie próbowała przyglądać się otoczeniu. Wystarczało jej, że pokoje pachną czystością i świeżością, a podłoga nie chwieje się pod stopami.

- Annie jest w swoim nowym pokoju. Przygotowaliśmy dla pani pokój w pobliżu, pani Littlefield. Bess, Crank wywietrzył ten, który zwykle zajmujesz.

Jego głos był głęboki, z akcentem trudnym do określenia. Nie był ani południowy, ani północny, a jedyną **charakterystyczną** cechą była władczość. Matthew Powers to najwyraźniej mężczyzna przyzwyczajony do tego, że nikt nie kwestionuje jego poleceń.

Przytrzymał jej drzwi, żeby mogła wejść. Nie sposób było nie zauważyć, że jego ręka, choć wielkości szynki, miała ładny kształt.

Uciekaj stąd, póki możesz, nalegał głos rozsądku.

Oczywiście go nie posłuchała. Wymagałoby to inicjatywy, czyli czegoś, czego nigdy nie miała w nadmiarze, choć ostatnio usilnie się starała.

- No, czyż to nie jest urocze? - zauważyła pytająco Bess.

Urocze nie było raczej słowem, którym posłużyłaby się Rose na opisanie gołych podłóg, olbrzymiego metalowego łóżka, pokrytego werniksem fotela i prostej umywalni z surowego drewna. Stała tam miska i dzbanek, obydwaj z gładkiej białej porcelany. Łóżko było przykryte zwykłą białą narzutą, a puchowy materac wydymał się niczym chmura.

- W szafie są koce. Lampka jest napełniona, knot przycięty, tamte drzwi prowadzą do pokoju Annie, a kibel jest za drzwiami na końcu korytarza.

- Kibel? - powtórzyła jak echo Rose, słabym głosem.

- On ma na myśli ustęp. - Bess oparła dłonie na biodrach i zwróciła się do bratanka: - Nigdy nie słyszałaś o kanalizacji? A co z małą Annie, chcesz, żeby wyrosła na dzikuskę?

- No, nie mów mi, że nie kuciałaś w krzakach w dżungli amazońskiej, o której pisałaś zeszłej zimy. Szeroki uśmiech mężczyzny był zdumiewająco zaraźliwy. Na szczęście Rose była uodporniona. Już raz dała się na to nabrać.

Bess prychnęła.

- Przyślę ci katalog zaraz po powrocie do domu.

- Proszę bardzo.

Rose zacisnęła dłoń na framudze drzwi, nie mogąc się doczekać, kiedy zostanie sama. Gdyby tylko udało jej się zasnąć na kilka tygodni, może później byłaby w stanie zmierzyć się z tym ciemnym, zagadkowym spojrzeniem, z gardłowym przeciąganiem słów, w którym dawało się rozpoznać rozbawienie. Same mdłości dokuczyły jej w wystarczającym stopniu. Mdłości, strach i wyrzuty sumienia to stanowczo zbyt dużo. Nie była pewna, czy jest w stanie ciągnąć tę maskaradę.

- Proszę poznać się z Annie - polecił kapitan.

- Kto, ja? - spytała Rose mało przytomnie.

- Pani.

Nieco chwiejnym krokiem udała się za nim, pilnie wbijając wzrok w horyzont. Bess mówiła, że to pomaga zachować równowagę, ale w tym przypadku horyzont okazał się plecami kapitana, które zrobiły na niej jeszcze większe wrażenie niż jego tors. Ramiona miał szerokie i muskularne. Potężne plecy zwężyły się ku dołowi, przechodząc w wąskie biodra i długie nogi, którymi poruszał z taką płynnością, że miała poważne obawy, iż jej żołądek znów wywróci się na drugą stronę. I pomyśleć, że była mężatką prawie dwa lata, a do tej pory nawet nie zauważyła, że mężczyźni poruszają się inaczej niż kobiety.

- Peg dobudował ten pokój, by kobiecie, po którą posłałem, było wygodniej.

- Kobiecie, po którą posłałeś? Ależ, Matthew, czy godzi się tak mówić o własnej żonie?

- Jakiej żonie? - burknął, odwracając głowę.

Popołudniowe słońce podkreśliło jego profil, oświetlając szczękę, która robiła wrażenie wykutej z brązu, i prosty, zgrabny nos.

Rose weszła do małego pokoju, wiedzona odgłosem dziecięcego kwilenia. Oczami zamglonymi przez łzy wpatrywała się w niemowlę ubrane w gładką koszulkę ze zwykłego muślinu.

- Oto i Annie. - Matt stanął obok niej. Nieoczekiwana nuta czułości w jego głosie sprawiła, że Rose była gotowa do reszty się rozkleić. Ukląkł, wyjął zawiniątko z kołyski, zamruczał coś cicho, kołysząc je w ramionach i powiedział: - Annie, to pani Littlefield. Przez jakiś czas będzie się tobą zajmować. Nie jest zbyt ładna, ale teraz przynajmniej ma włosy.

Rose aż zamrugnęła z niedowierzania. Doskonale wiedziała, że nie jest ładna, wysłuchiwała tego przez całe życie, ale raczej nie spodziewała się, że powie jej to ktoś obcy. No i z pewnością miała włosy, mnóstwo włosów, nawet jeśli miały kolor zeschłej trawy.

- Zjada wszystko, co się jej daje, ale do tej pory dostawała tylko mleko i owsiankę. Próbowaliśmy dawać jej kozie mleko, ale to nie był dobry pomysł.

W tym momencie Rose uświadomiła sobie, że kapitan opisywał jej Annie, i natychmiast poczuła do niego życzliwość.

- Jestem pewna, że doskonale sobie poradzimy, powinien pan jednak wiedzieć, że nie mam wielkiego doświadczenia, jeśli chodzi o dzieci.

- Żaden z nas go nie ma, ale Annie jest doskonałą nauczycielką.

Bessie zmierzyła małą jednym szybkim spojrzeniem, z dezaprobatą pociągnęła nosem i zniknęła w głębi domu. Za to Rose, wpatrzona w wielkookie niemowlę, spoczywające bezpiecznie w potężnych ramionach, zapomniała o swoich uprzedzeniach i powiedziała cicho:

- Jaka ona śliczna. Myśli pan, że miałyby coś przeciwko temu, gdybym ją wzięła na ręce?

- Annie nie jest wybredna pod warunkiem, że to ona kontroluje sytuację.

Roześmiała się, lecz głos jej drżał. Kiedy kapitan ostrożnie przeniósł małe zawiniątko w jej oczekujące objęcia, ogarnęło ją wzruszenie. Zdając sobie sprawę, że ma do wyboru albo zapanować nad emocjami, albo liczyć się z ryzykiem ponownego narażenia na dojmujący ból, który odczuła po utracie dziecka, zrobiła, co mogła, by stłumić uczucia budzące się w jej sercu. Na wypadek gdyby kapitan Powers jej nie polubił, a ona nie polubiła kapitana Powersa, nie mogła pozwolić sobie na zbytne przywiązanie do tego dziecka.

- Ma mokro. - Uniosła pytająco głowę.

- Jeszcze nie zdążyliśmy jej nauczyć samodzielności - stwierdził poważnie. - Pieluszki znajdzie pani w komodzie przy oknie. Powiem Crankowi, żeby podgrzał mleko. Witamy w Powers Point, pani Littlefield.

Po powrocie do gabinetu Matt na próżno próbował się skupić na najnowszych doniesieniach z portu, które przyplłynęły tym samym statkiem pocztowym, co obydwie kobiety. W końcu dał sobie spokój, przechylił krzesło do tyłu, splótł ręce za głową i wyjrzał przez okno, gdzie Wenus lśniła jak brylant na wyściółce z fioletowego aksamitu.

Pani Littlefield sprawiła mu niespodziankę. Właściwie nie wiedział, kogo się spodziewał - może kolejnej nadymającej się osóбки podobnej do Bess, niskiej, okrągłej i apodyktycznej. Ta kobieta nie mówiła dużo - tym lepiej. Bess potrafiła zagadać człowieka na śmierć.

Nie wyróżniała się urodą, z wyjątkiem oczu. Ciekawy kolor, zamyślił się. No i nie uciekała wzrokiem. Patrzyła rozmówcy prosto w twarz.

Trzeba przyznać, że Matt zupełnie nie znał się na kobietach. Porzucony przez jedną i oszukany przez drugą, był w stanie nawiązać wyłącznie przelotny kontakt z istotą płci żeńskiej. Odkąd zamieszkał w Powers Point, musiał sobie radzić nawet bez tego drobnego udogodnienia.

Przypomniało mu to, że miał wziąć Bess na spytki w sprawie tej Magruder. Z listów Bess wynikało, że kobieta ma przejściowe kłopoty, nie jest zbyt urodziwa, za to silna i ma łagodny charakter. Powinien był poczekać, zanim się nie upewni, czy jest to zgodne z prawdą, ale kiedy się poddał, był na tyle zdesperowany, że nie dbał o to, czy jego przyszła żona będzie nocami wyć do księżyca, jeśli tylko dobrze zaopiekuje się Annie.

Jak dotąd nawet nie raczyła się tu zjawić.

Poruszył ramionami, rozluźniając napięte mięśnie karku, usiadł wygodniej i powrócił do studiowania otrzymanych dokumentów.

Zanim pierwszy tydzień dobiegł końca, jedno stało się oczywiste. Bess nie miała pojęcia o dzieciach ani ochoty na naukę. Zarekwirowała mulicę i wóz i spędzała całe dnie w wiosce, skrzętnie zapisując opowieści o dawnych

mieszkańcach wyspy, począwszy, jak oznajmiła pewnego dnia, gdy siedzieli przy stole, od pierwszych angielskich osadników i Indian Hatteras, którzy ich tu powitali.

- Do diabła, sam mogłem ci o tym opowiedzieć - zauważył Matt. - Podaj mi biszkopty. Proszę - dodał po namyśle.

- Nie przeklinaj. - Bess ściągnęła wargi, udając nobliwą starszą panią, zupełnie jakby nie była tą samą osobą, która świetnie potrafi dogadać się z robotnikiem portowym, o ile naturalnie ma w tym cel. - Pani Littlefield tego nie lubi.

- Proszę o wybaczenie - mruknął Matt pod nosem, po czym raptownie wstał od stołu, przeprosił towarzystwo i majestatycznie opuścił pokój. - Ten przeklęty dom jest zbyt mały - powiedział do Pega, który postanowił dotrzymać towarzystwa Crankowi i zjeść w kuchni zamiast w rzadko używanej jadalni.

Obaj mężczyźni unieśli głowy, po czym na powrót zajęli się smażonymi ostrygami. Matt przez dłuższy czas stał w otwartych drzwiach prowadzących na podwórze, wystawiając ciało na podmuchy chłodnego powietrza wpadającego do ciepłej kuchni.

Siedzący przy stole podjęli przerwana rozmowę, zupełnie jakby go tu nie było.

- Nie mówi dużo, prawda? - zauważył Crank, nadziewając na widelec kolejną ostrygę z półmiska.

- Dobrze sobie radzi z małą - dodał stolarz po przełamaniu suchara i zanurzeniu go w melasie.

- Tak, to prawda.

- Dziwne oczy. Widziałem kiedyś kota z takimi oczami.

- Peg rozluźnił sznurek, którym przytrzymał płócienne spodnie w pasie.

- Coś jakby żółte, mam rację, kapitanie?

Matt wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział. Zmęczyło go słuchanie o pani Littlefield. Dość, że musiał wysłuchiwać pochwał płynących z ust Bess. Jego załoga całkiem niepotrzebnie dołączyła do orkiestry.

- Jutro z samego rana wybieram się na południe - zapowiedział nagle.

Mężczyźni nie przerwali jedzenia. Kiedy Matt zszedł z tylnej werandy i ruszył w stronę niewielkiego pomostu, przy którym była zacumowana łódka na ryby, Crank roześmiał się, a Peg pokręcił głową.

- Tak sobie myślę, że lepiej, by ta jego żona pojawiła się tu jak najprędzej. Ostatnim razem, kiedy tak się zachowywał, sprzedał statek.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rose, ku swemu wielkiemu zdumieniu, nie potrafiła sobie przypomnieć drugiego takiego okresu w życiu, kiedy czuła się bez reszty zadowolona. Nie było tak nawet w pierwszych miesiącach małżeństwa, zanim jeszcze się dowiedziała, że jest niczym więcej jak środkiem do celu.

Wbrew wszystkim swoim obawom znalazła się w idealnej sytuacji - miała dziecko, a przy tym nie musiała znosić mężowskich humorów. Bez względu na to, jak usilnie starała się opancerzyć swoje serce, nic nie zdołałoby jej powstrzymać od pokochania Annie.

Jej własna córeczka, gdyby było jej dane przyjść na świat, cmokałaby usteczkami w ten sam sposób, patrzyłaby na nią z tą samą niewinną miną - tak samo pasowałaby do jej objęć. Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, by zauważyć, że mężczyźni z Powers Point nie widzą świata poza małą Annie, a jednak ich ulga na wieść, że nie muszą być za nią odpowiedzialni, była niemal namacalna.

Co do Bess, starsza pani spędzała całe dnie w wiosce i wracała późnymi popołudniami z pocztą, która przyplęnęła statkiem, zamówionymi rzeczami, no i z mnóstwem notatek, z których miała niebawem powstać kolejna seria artykułów. Jeśli nawet ktoś uważał za dziwne, że jej sekretarka

nie brała udziału w tych wszystkich zajęciach, nikomu nie przyszło do głowy o tym wspomnieć. Luther, wciąż nieśmiały, lecz coraz bardziej przyjacielski, pokazał Rose zacienione miejsce na porośniętym drzewami wzgórku, z którego rozciągał się widok na zatokę. Mogła tam siadywać godzinami, spoglądając na wodę. Z bezpiecznej odległości wody cieśniny Pamlico sprawiały wrażenie wyjątkowo spokojnych. Wspaniałe widowisko tworzyły zwłaszcza zachody słońca, kiedy to każdy kolor wiernie odbijał się w oceanie. Jak dotąd Rose naliczyła też kilka gatunków polnych kwiatów, których nigdy dotąd nie widziała, i prawie tyle samo ptaków.

Annie także lubiła tam przebywać. Crank zrobił dla niej specjalny koszyk z rączkami z solidnego sznura i wyścielał go poduszką.

Ponieważ z dnia na dzień robiło się cieplej, Rose sięgnęła w głąb wielkiego kufra i wyjęła swoje stare letnie sukienki, przeważnie pochodzące jeszcze sprzed małżeństwa. Czasami miała wrażenie, że jest w żałobie od zawsze, najpierw po rodzicach, potem po dziecku, a nawet teraz - po babce. Ale czerń nie tylko działała przygnębiająco, było w niej gorąco, a tutaj, na Outer Banks, powszechnie uznawane konwenanse wydawały się nie na miejscu.

Ubrana w starą suknię z błękitnego muślinu, dopasowaną na biuście i puszczonej luźno w talii, usadowiła się na ławeczce zrobionej przez Pega. Luther ustawił ją w miejscu, które w myślach nazywała swoim prywatnym ogrodem. Domownicy przestrzegli ją przed wężami, poparzeniem słonecznym, ostrymi trawami i kłującymi

opuncjami. Bess wspomniała też o kleszczach i Rose pilnowała, by żadne stworzenie, duże czy małe, nie dostało się do koszyka.

Poprawiwszy lekką zasłonkę na koszyku, rozpięła kolejny guzik przy sukience.

- Annie, kochanie, mogłabym się przyzwyczaić do takiego próżniaczego trybu życia, a ty?

Annie zamachała energicznie nóżkami i zagruchała na znak zgody.

Często zdarzało się, że z braku lepszego zajęcia dla umysłu, Rose skupiała uwagę na Matthew Powersie. Upłynął już trzeci tydzień jej pobytu w Powers Point, a ona wciąż jeszcze nie wiedziała, co o nim sądzić. Dobrze chociaż, że widok jego potężnej postaci nie wprawiał jej już w zakłopotanie. Prawdę mówiąc, nawet jej się podobało, że musiała zadzierać głowę, by na niego spojrzeć. To było coś nowego, a poza tym czuła się wówczas... no, może nie krucha, ale tak czy inaczej było to bardzo przyjemne uczucie.

Już we wczesnym dzieciństwie nauczyła się, że mężczyźni nie znoszą wysokich kobiet Nawet ojciec, który mierzył metr sześćdziesiąt pięć, gdy przerosła go o pięć centymetrów, unikał stawania obok niej, gdy tylko było to możliwe. W pewnym sensie go rozumiała, a przecież sprawiało jej to przykrość. Matthew także jej unikał, tyle że nie miało to nic wspólnego z jej wzrostem ani nawet z brakiem urody. Zdaniem Bess, kobiety go po prostu nie interesowały. Akurat to Rose odpowiadało, ponieważ sama nie przepadała za mężczyznami.

Jeśli uzna, że próba wypadła pomyślnie, i zdecyduje się pozostać tu na stałe, przynajmniej nie będzie musiała się martwić fizyczną stroną małżeństwa.

Nienawidziła tego. Było to bolesne, poniżające i krępujące. Pewna przyjaciółka zwierzyła się jej kiedyś, że lubi to tak samo jak mąż, ale Rose uznała, że tamte kłamie. Kiedy rok po ślubie dowiedziała się, że Robert ma kochankę, poczuła raczej ulgę niż gniew, sądząc, że zostawi ją w spokoju.

Myliła się. Nie zrezygnował ze swoich praw. Zwłaszcza kiedy sobie wypił, chwycił ją znienacka, rzucał na łóżko nawet w biały dzień i robił swoje.

Miała nadzieję, że ciąża położy temu kres, bo od samego początku zależało mu na dziecku. Przez jakiś czas wydawał się zadowolony, rzadko z nią współżył, a nawet sprawiał jej drobne przyjemności, podobnie jak podczas krótkiego okresu narzeczeństwa.

Piąty miesiąc jej ciąży dobiegał końca, kiedy Robert przyszedł pewnego dnia do domu, kipiąc gniewem.

- Zgadnij, gdzie byłem, moja najukochańsza żonko. - Sarkazm był jego ulubioną bronią.

- Nie mam pojęcia. W klubie? - Cuchnął mocnym alkoholem, choć ledwie minęło południe.

- Zgadłaś. Spotkałem tam prawnika, który zajmował się majątkiem twego ojca. Czy byłabyś łaskawa się wytłumaczyć? - Oczy w bladej, wąskiej twarzy rzucały niebezpieczne błyski.

Nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć.

- Ja... obawiam się, że nie za bardzo go pamiętam. Zdaje się, że był w Szwajcarii, kiedy mama i tatko... po tym jak...

Do reszty stracił panowanie nad sobą. Wymachując pięścią, wrzasnął:

- Dlaczego mnie okłamałaś? Co, do diabła, miałaś nadzieję w ten sposób uzyskać?

- A... ale ja nigdy cię nie okłamywałam. Dlaczego tak uważasz? - Była naprawdę zaskoczona.

- Och, nie, mówisz? A co z tym twoim funduszem powierniczym, co powiesz na to? - Teraz twarz mu płonęła krwistą czerwienią, a spomiędzy cienkich warg przyskała ślina.

- Robert, proszę, nie krzycz, nie wydaje mi się, żeby to było dobre dla dziecka. Kończę dwadzieścia jeden lat dopiero we wrześniu, przecież o tym wiesz.

- Co dobrego przyjdzie mi z twojego przeklętego bękarta, skoro nie odziedziczysz nawet jednego nędznego miedziaka? Wszystko co do centa, zmarnowane! Poszło w diabły!

To wtedy dowiedziała się, że ożenił się z nią ze względu na pieniądze, które miała otrzymać w dniu dwudziestych pierwszych urodzin, i chciał przypieczętować małżeństwo sprowadzeniem na świat syna.

- Nie ma żadnych pieniędzy, mówię ci! Ten twój kłamliwy, łajdacki ojciec zamienił każdą, nawet najmniejszą inwestycję na gotówkę i wszystko przepuścił!

Cofnęła się i odruchowo wyciągnęła ręce, chcąc powstrzymać jego wybuch.

- Nie wiedziałam o tym, Robert, naprawdę nie wiedziałam. Ojciec nigdy nie mówił ze mną o pieniądzach. On... zawsze powtarzał, że damy nie rozmawiają o takich rzeczach.

- Nie okłamuj mnie, suko, musiałaś o tym wiedzieć! A co z testamentem twego ojca?

- Testament... Nie pamiętam. Musiałam... ale byłam chora przez wiele tygodni po pogrzebie, przecież o tym wiesz. Prawnik ojca był za granicą, w Szwajcarii, a ja... zanim wrócił, poznałam ciebie, wzięliśmy ślub i nigdy nawet nie pomyślałam o tych pieniądzach - wyszeptą, śmiertelnie przerażona, bo nie przestawał przeklinać i krzyżeć.

Tak naprawdę to Robertowi spieszyło się do ślubu, to on nie dał jej czasu, by wszystko przemyślała. Była w głębokiej żałobie, wciąż w szoku, a on utrzymywał, że jest jej potrzebny i że się nią zaopiekuje. Był taki czuły, taki przekonujący, a ona tak bardzo potrzebowała kogoś...

- Dlaczego, do diabła, ożeniłem się z tobą, jak myślisz? Z powodu twojej ładnej buzi? Z powodu głupiego kobiecego mózdzku?! - wrzeszczał.

Próbowała z nim rozmawiać, ale jak zawsze kiedy wypił, a zdarzało się to coraz częściej, nie miał najmniejszego zamiaru wysłuchiwać jej argumentów.

Zamiast tego uderzył ją w twarz. Ponieważ już od jakiegoś czasu kulila się w kącie, nie miała dokąd uciec. Uderzył ją znów, a kiedy osunęła się na podłogę, zaczął ją kopać.

Gdy wreszcie wyszedł z domu, trzaskając drzwiami, była zbyt obolała i przerażona, by wzywać pomocy. W końcu zdołała jakoś wpełznąć na łóżko, lecz nie miała nawet siły szlochać.

W nocy rozszalała się burza - zygzaki piorunów i grzmoty, które wstrząsały domem, mieszały się w jedno

z koszmarami sennymi. Nad ranem zaczęła krwawić. Jak oszalała wołała o pomoc, aż wreszcie usłyszała ją gospodyni, która natychmiast się nią zajęła i wezwała lekarza.

Tyle że wówczas było już za późno.

Parę godzin później zjawili się policjanci, którzy zawiadomili ją, że jej mąż nie żyje. Zapewne Robert po wyjściu z domu poszedł się upić, a następnie spadł z mostu i utonął. Jednej nocy, wciąż będąc w żałobie po śmierci rodziców, utraciła zarówno nie narodzone dziecko, jak i bezwartościowego męża.

- Ale teraz mam ciebie, Annie, moje kochanie. Dziewczynka spojrzała na nią, a jej prawie niewidoczne brwi przecięła zmarszczka.

- Wiem, wiem - szepnęła Rose. - Znów jesteś głodna. Może pójdziemy zobaczyć, czy Crank przygotował już kolację.

Tak wiele rzeczy w jej życiu zmieniło się od dnia, w którym chwiejnie zeszła z pokładu statku pocztowego na tę niewielką, piaszczystą wysepkę. Nim minęło parę dni, posiłki znów jadano w kuchni. Zamiast lunchu był obiad, zamiast obiadu - kolacja, i to wczesna. Muzyczny wieczór nie kojarzył się jej już z granymi na fortepianie utworami Mozarta, a z pieśniami kubryku - jak podejrzewała dość sprośnymi - granymi na organkach ustnych i parze stołowych łyżek.

Nauczyła się prać bieliznę. Jadła potrawy, o których do tej pory nie słyszała, nie mówiąc o ich kosztowaniu. Nikt na nią nie krzyczał ani nie wydawał nierozsądnych, sprzecznych poleceń, jak zwykła to robić jej babka. Mężczyźni,

z wyjątkiem kapitana Powersa, starali się ze wszystkich sił jej pomóc.

O, tak, było jej tu bardzo dobrze jako pani Littlefield, sekretarce, która nie potrafi stenografować, i towarzysze zachwycającej małej dziewczynki, która wypełniła w jej sercu miejsce, zbyt długo świecące pustkami.

Jeśli chodzi o jej drugą rolę, rolę żony kapitana, wolałaby raczej robić w dalszym ciągu to co do tej pory i nie spieszyć się z dokonywaniem wyboru.

Może jutro.

Albo w przyszłym tygodniu...

Po trwającej trzy dni ulewie, która całkowicie zburzyła porządek dnia w gospodarstwie, znów zaświeciło słońce i zrobiło się cieplej niż kiedykolwiek. Luther jak zwykle energicznie zabrał się do pomocy w praniu, które zdążyło się tymczasem nagromadzić.

- Przed przyjazdem pani i panny Bess praniem zajmowaliśmy się ja i Billy - wyznał - ale nie było ani w połowie tak zabawnie.

Na niebie, tak intensywnie błękitnym, że oczy bolały patrzeć, świeciło słońce, na wietrze powiewały pieluchy, męskie koszule i damska bielizna, a serce Rose przepelniała radość.

Tutaj, z dala od cywilizowanego społeczeństwa, nawet konwencje były inne. Zasady, które do niedawna rządziły jej życiem, wydawały się nieistotne, wręcz pozbawione sensu. Głowę by dała, że praczka babki nigdy nie prała męskich i damskich strojów w tej samej balii.

Tutaj wszystko prano razem, bo nie można było prze-

cież marnować deszczówki. Czerpali ją wiadrami z cysterny, po czym podgrzewali w kotle nad ogniem rozpalonym na podwórzu na tyłach domu. Tutaj mogła wieszać na sznurku tyle par majtek i tyle halek, ile jej się podobało, bez narażania swojej reputacji na szwank.

A nie dalej jak wczoraj kapitan Powers odpakował skrzynie ze świeżo nabytymi książkami i powiedział jej, że może do woli korzystać z jego biblioteki. Popatrzył na jej żółtą muślinową suknię, odwrócił się do niej plecami, po czym spojrział ponownie. Zaskoczył ją tym. Z wyjątkiem Roberta, o którym raczej nie mogła powiedzieć, że jej uroda wywarła na nim wrażenie, żaden mężczyzna nie popatrzył na nią po raz drugi.

- To na pewno z powodu mojej opalenizny - powiedziała do Annie. - Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce będę tak śniada jak twój kapitan.

Nie chodziło o to, że jej wygląd miał jakiegokolwiek znaczenie. Nie liczył się dla jej pierwszego męża, a już z pewnością nie był istotny dla drugiego. Bez względu na to kiedy, jeśli w ogóle, zdecyduje się ujawnić swoją prawdziwą tożsamość. Matt Powers ożenił się z nią, nie wiedząc, jak wygląda, nie dla jej urody, lecz domniemanej przydatności. Czy to ważne, jeśli nawet będzie brązowa jak Indianka, jej dłonie staną się czerwone i szorstkie, a włosy będą przypominać -wypłowiącą od słońca kopę siana?

- Co będzie, jeśli zdecyduję się tu zostać, Annie? -szepnęła, w pełni świadoma, że decyzja już została podjęta. Włożyła stosik starannie złożonych pieluszek do koszyka Annie, wzięła koszyk i resztę rzeczy

i ruszyła w kierunku domu. - Myślisz, że on będzie mnie chciał?
Dziewczynka zagruchała wesoło. Nad głowami zabrzmiał szalony śmiech wszechobecnych mew.
Rose długo zastanawiała się nad swoim pytaniem, lecz nie znalazła odpowiedzi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Matt odłożył siekiere i stał przez chwilę z zamkniętymi oczami i odchyloną głową, nasłuchując przeraźliwego krzyku mew i wciągając w płuca gryzący zapach mułu, charakterystyczny dla odpływu. Daleko w głębi cieśniny widać było nagie skały. Nie czuło się nawet najlżejszego podmuchu. Niebo przybrało barwę siarki, a dym z komina snuł się po krzywiźnie dachu z cyprysowych gontów.

Nadciągał sztorm. Nic poważnego, dzięki Bogu, chyba że zaczną się tworzyć wiry powietrzne.

Zwykle nacierały gwałtownie i szybko i, przy odrobinie szczęścia, przemieszczały się na pełne morze, nie powodując większych szkód na lądzie. Przyszło mu do głowy, zresztą nie po raz pierwszy, że na wyspie żywioły rozpętywały się niemal tak nagle jak na morzu. Ciekawe, czy to było powodem, dla którego osiedlił się tutaj pierwszy Powers, czy po prostu, będąc rozbitkiem z jakiegoś dawno zapomnianego statku, poszedł po linii najmniejszego oporu i zapuścił korzenie w miejscu, w którym wyrzuciło go morze.

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, powrócił do rąbania drewna na opał, którego to zadania chętnie się podjął po śmierci Billy'ego. Bezczytność doprowadzała go do szału. Jeszcze jako ledwie odrosły od ziemi pędrak

większość czasu i energii poświęcał na umykanie przed sokolim wzrokiem ojca.

Potrzebował swego statku, do diabła! Potrzebował pokładu, który mógłby przemierzać, współzawodnictwa w wyścigu o najlepsze ładunki, najkorzystniejsze ceny, ścigania się z wiatrem w drodze do celu. Jeśli tak dalej pójdzie, to szybko sflaczeje i upodobni się do jakiegoś pożałuj Boże bankiera wystrojonego w prążkowany garnitur.

Z tego wszystkiego wynikało, że musi znaleźć kogoś, kto podejmie się stałej opieki nad Annie. Pani Littlefield dobrze sobie radziła z ma}ą - zaskakująco dobrze, jeśli się wzięło pod uwagę, że nie miała doświadczenia, jak twierdziła. Musiał jednak liczyć się z tym, że wyjedzie stąd, kiedy tylko Bess wyciśnie zwierzenia z każdego mieszkańca wioski, który przekroczył czternasty rok życia.

Szybko zapewnił samego siebie, że nagłe ukłucie rozczarowania, którego właśnie doznał, spowodowane było wyłącznie myślą o Annie. Nie miało nic wspólnego z faktem, że lubił przebywać w pobliżu pani Littlefield. Ani z faktem, że często przyłapywał siebie na tym, jak nasłuchuje jej śmiechu, idiotycznych, bezsensownych piosenek, które śpiewała Annie, a nawet tego, jak zachęca Cranka do podzielenia się z nią tymi samymi starymi historiami, które opowiadał już setki razy. Do diabła, przyłapał się nawet na obserwowaniu, jak ściągała usta podczas wieszania prania na sznurze.

Matt swoje narastające roztargnienie przypisał temu, że stała obecność młodej kobiety w tym domu była czymś niezwykłym. Bez względu na to, kim była owa kobieta.

Właściwie z wyjątkiem Bess kobiety w jego życiu można było podzielić na dwie kategorie: dostępne i niedostępne. A prócz tego na użyteczne albo służące wyłącznie do ozdoby.

Do tej pory nie zdecydował, co ma myśleć o wdowie Littlefield. Była młoda; prawdę mówiąc o wiele młodsza, niż mu się wydała na początku. Musiał przyznać, że jest użyteczna. Co zaś do służenia do ozdoby... Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, nie wyglądała zbyt atrakcyjnie, ale teraz, gdy już się do niej przyzwyczaił, umieściłby ją w kategorii: dekoracyjne.

Jedno nie ulegało wątpliwości - nie była dostępna. W każdym razie nie dla niego. Przecież był żonaty. Nachmurzył się, a twarz pociemniała mu na myśl o ostatnim liście, który napisał do tego prawnika, Bag-by'ego. Zażądał w nim stanowczo, by tamten poinformował go, gdzie, do diabła, podziewa się jego żona. I nie omieszkał kilkakrotnie podkreślić niechęci do wchodzenia w ten niezwykle układ. Teraz stanęła mu przed oczami treść listu.

„Skoro zaoferowałem mieszkanie, wyżywienie i nazwisko Powersów w zamian za opiekę nad jednym małym dzieckiem, uważam, że mam pełne prawo oczekiwać, iż druga strona wypełni swoją część umowy. Proszę przekazać moje pozdrowienia pani Powers i nakłonić ją do pośpiechu”.

O odpowiedzi, kiedy w końcu nadeszła, można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że cokolwiek z niej wynika. Prawnik utrzymywał, że nie ma pojęcia, gdzie przebywa teraz pani Powers, i sugerował, żeby kapitan

spytał o to swojej ciotki, co też Matt próbował uczynić, aż zrobił się fioletowy na twarzy. Ale ponieważ Bess wolałaby raczej umrzeć, niż powiedzieć prawdę, nawet gdyby zdecydowała się mówić, trudno byłoby mu uwierzyć jej słowom.

- Kto jest ważniejszy? - spytał pewnego dnia, kiedy wróciła z codziennej wyprawy do wioski. - Udający chorego krewny czy legalnie poślubiony małżonek?

Nawet nie mrugnawszy okiem, odparła:

- To zależy, czy mamy do czynienia z krewnym, czy z powinowatym. Myślę, że rodzic ma pierwszeństwo przed mężem - ale z drugiej strony nie można zapomnieć o obowiązkach wynikających z małżeństwa. Mogę spytać Horace' a, jeśli cię to interesuje.

- Nie zapominaj, że to ty i twój przyjaciel Bagby wpakowaliście mnie w ten bałagan. Przy okazji możesz mu powiedzieć, że z mojego punktu widzenia równie dobrze może unieważnić tę przeklętą umowę.

Powiedziawszy to, trzasnął drzwiami, wyskoczył na podwórze i ponownie zabrał się do rąbania drewna. Jeśli nie znajdzie innego sposobu na uporanie się z narastającą frustracją, wkrótce będą mieli dość drewna, żeby napalić w każdym piecu stąd do Nowej Szkocji. Gdyby ta kobieta naprawdę została wezwana, by doglądać chorego krewnego, powinna była napisać do niego z przeprosinami. Najprawdopodobniej jednak zmieniła zdanie, jak gdy znalazła lepsze rozwiązanie swoich problemów. Nie byłoby to dla niego niczym nowym. Już raz dostał kosza, kiedy na horyzoncie pojawiła się grubsza ryba.

Wsparty na trzonku siekiery, powędrował wzrokiem po

swojej posiadłości: kilka rozrzuconych bez ładu i składu zabudowań z surowego drewna, muł, pół tuzina klaczy, jeden dobry ogier i łódź żaglowa.

Boże, nic dziwnego, że się rozmyśliła. Jaka kobieta przy zdrowych zmysłach zgodziłaby się zamieszkać w tym odległym od świata zakątku, kiedy mogła pozostać w mieście, bawić się na rozlicznych przyjęciach, nosić ładne stroje i tańczyć z dżentelmenami mówiącymi gładkie słówka? Może by się nawet zgodził, żeby zamieszkała w mieście wraz z Annie, tylko co by się wówczas stało z Crankiem i Pegiem? Zawdzięczał tym dwóm starym ludziom tyle, że nigdy nie zdoła im odpłacić. Prawdę mówiąc, oni go wychowali. Nie potrafił sobie wyobrazić żadnego z nich mieszkającego w mieście, gdzie horyzont zasłaniały dwu- i trzypiętrowe budynki i gdzie nie można było splunąć, zanim się nie spojrzało, czy nie trafi się w sąsiada.

Na takiej wyspie jak ta mężczyzna mógł przynajmniej mierzyć się z żywiołami, wygrywać i przegrywać, nieskrępowany konwenansami obowiązującymi w tak zwanym cywilizowanym świecie. Korzenie, właśnie się o tym przekonywał, tkwią zadziwiająco głęboko w piachu.

Jego wzrok przyciągnęła niebieska plama na wzgórzu. Rękę by dał sobie uciąć, że Rose umyślnie ubierała się tak, by jej strój pasował do tych małych niebieskich kwiatów, które z uporem godnym lepszej sprawy wykopywała i zносиła do domu. Jeśli pobędzie na słońcu jeszcze trochę, spiecze się, a ten jej arystokratyczny nos będzie czerwony niczym gotowany krab.

Umyślnie odwrócił się do niej plecami, uniósł siekiere

nad głową i zaatakował kolejną dębową kłodę. Polana upadły równiutko po obu stronach kloca do rąbania. Kopnął je na bok. Później powie Lutherowi, żeby je pozbiierał i ułożył w sagi. Rąbanie drewna pomagało w pozbyciu się frustracji. Bóg wie, że miał jej aż nadto.

Układanie powodowało tylko ból pleców.

Z kuchni dobiegł go utyskujący głos Cranka. Kiedy barometr spadał, Crank zawsze zrzędził. Jego kuchnia z dnia na dzień robiła się coraz bardziej dziwaczna. Matt nie wiedział, jak to powiedzieć, nie urażając uczuć staruszka, lecz był pełen obaw, że jego żołądek niebawem zbuntuje się na nie dogotowane ryby i *me*, posolony chleb.

Rose albo Primrose, jak zaczął nazywać ją w myślach, nigdy nie narzekała. Skubała brzegi swojej porcji ryby, moczyła kukurydziany chleb w melasie i zachwycała się zwykłymi gotowanymi ziemniakami. Była delikatna i starała się nikogo nie urazić, co go mile zaskoczyło.

Przyszło mu do głowy, że Gloria, mimo tych swoich doskonałych manier, nie zmieniłaby postępowania tylko po to, by oszczędzić czyjekolwiek uczucia, a już na pewno nie wtedy, kiedy w grę wchodziły uczucia starego człowieka, którego przydatność dobiegała kresu.

Peg, który w pobliżu szopy naprawiał bramę, zwałoną przez konia, odganiał i przeklinał kurczaki, uparcie płaczące mu się pod nogami. Miał zeszywniałe dłonie, toteż praca szła mu powoli, ale prędzej czy później brama zostanie naprawiona i będzie "jak nowa".

Matt na chwilę odłożył siekiere, zmrużył oczy i spojrzał na piaszczysty wzgórek, gdzie siedziała nonszalancko jaśnie pani. Gotów byłby się założyć o wszystko, że

teraz nie jest ani w połowie tak chłodna i pozbierana, jak chciała pokazywać się światu. Korciło go, by porzucić rąbanie drewna, wspiąć się na wzgórek i popatrzeć, jak Rose tłucze moskity i oblewa się potem.

Jednak tego nie zrobił. Minął już rok i siedem miesięcy, odkąd był z kobietą. Kiedy miał wystarczająco dużo zajęć, a głowę zaprzętały mu myśli o tym, jak wyplątać się z kłopotów, nie dokuczało mu to zanadto, ostatnio jednak miewał trudności z zasypianiem.

Czas znów wybrać się na ląd. Jeśli naturalne potrzeby mężczyzny zbyt długo pozostają niezaspokojone, wpływa to fatalnie na pracę jego umysłu. Kłopot w tym, że w każdej chwili mogła pojawić się tu jego żona. W tej sytuacji wyjazd nie byłby wskazany.

A więc rąbał drewno.

Rąbał drewno i myślał o tym, jak wygląda Rose świeżo po porannej kąpieli, z miękką, gładką skórą, pachnącą bzem. Albo jak suszy włosy na tylnej werandzie, a popołudniowe słońce zapala błyski w lokach okalających jej twarz. Lub później, podczas kolacji, kiedy siedzi przy stole z włosami zaplecionymi w ciasny warkocz i mruży oczy, jeszcze bardziej upodabniając je do oczu kota.

Była zagadkową kobietą, to fakt. Sprawiała wrażenie zasadniczej i dobrze wychowanej, a jednak potrafiła się śmiać z rubasznych dowcipów dwóch starych marynarzy. Potrafiła się śmiać również z siebie, co samo w sobie było dość rzadką cechą u każdego, bez względu na płeć.

Była wręcz nieprawdopodobnie pogodna. Od samego początku starała się być we wszystkim użyteczna, choć miał powody sądzić, że nigdy przedtem nie pracowała.

Jednak najbardziej zaskoczyło go, jak się zachowywała, kiedy znenacka się do niej zbliżał. Z początku złożył to na karb nieśmiałości, choć jej reakcja przypominała raczej strach. Nie dalej jak wczoraj wyciągnął rękę, chcąc odpędzić muchę, która próbowała usiąść jej na policzku. Sądząc z zachowania Rose, można byłoby pomyśleć, że zamierzał ją zgwałcić.

Dziwna kobieta. Obiecała, że będzie opiekowała się Annie. Tak długo jak będzie dotrzymywała danego słowa, nie powinni szukać dziury w całym. Jeśli nie miała na tyle rozsądku, by schować się przed słońcem, zanim się spieczą i zostanie pocięta przez meskity, to jej problem. O ile nie zgotowała podobnego losu Annie. Jak dotąd robiła wszystko, czego się podjęła. Od żadnej innej kobiety więcej by nie żądał. Może zresztą nie była to prawda, ale akurat od niej więcej nie żądał.

Otoczył go rój nieznośnych insektów, które przyciągnął zapach potu. Matt ściągnął koszulę, wytarł nią twarz, a potem rzucił na ziemię. Ciekawe, jak sobie radzi, Jej Wysokość" na wzgórku, zmuszona walczyć z kleszczami, moskitami i innymi drapieżnikami. Gdy nadejdzie sezon czarnych much, jej już od dawna nie będzie. Jeśli mu się poszczęści, zamieszka tu jego żona, a on będzie zmierzał ku Indiom Zachodnim na pokładzie „Czarnego Łabędzia”.

Rose leniwym ruchem ręki odpędziła brzęczące moskity, od których teraz, kiedy wiatr się uciszył, wprost się roilo. Na szczęście już wcześniej nakryła koszyk Annie ślubnym welonem, który bez skrupułów pozbawiła stroika na głowę. Welon od dawna leżał zgnieciony na dnie kufra ja-

kó swego rodzaju ostrzeżenie - zupełnie jakby tego potrzebowała - przed tym, do czego może prowadzić snucie romantycznych marzeń.

- Nie, kochanie, nie wolno ci go skopać - napomniała Annie, która kaprysiła i machała małymi nóżkami i rączkami, starając się zrzucić sieć przybraną koronką. - Wiem, że ci to przeszkadza, ale niektóre z tych wstrętnych robaków są na tyle duże, że mogłyby cię porwać. - Gdyby pomyślała o tym wcześniej, mogłaby resztką tiulu przesłonić twarz. Teraz będzie się drapała przez parę dni. Nawet kąpiel w wodzie z sodą i owsem nie na wiele się zda. Jednak mimo tego upału, wilgoci i hord moskitów przepelniał ją większy spokój niż kiedykolwiek w całym jej życiu.

Długo nad tym myślała. Wreszcie doszła do wniosku, że zawdzięcza to, przynajmniej częściowo, szumowi fal uderzających o brzeg. Docierał do jej uszu nawet w najspokojniejszy dzień, kojący jak kołysanka. I pomyśleć, że nie tak dawno temu rejs po oceanie doprowadził ją do takiego stanu, że nie dbała o to, czy przeżyje, czy umrze.

Cuda nie przestają się zdarzać, pomyślała leniwie, wsuwając palec pod kołnierzyk sukni, by podrapać ślad po świeżym ukąszeniu. Już dawno zrezygnowała z gorsetu i pod suknię wkładała tylko niezbędną bieliznę, ale i tak była zлана potem. Oczywiście lata w mieście bywały jeszcze gorętsze, zwłaszcza że dama musiała być zasłonięta po szyję, zanim ośmieliła się wystawić stopę za drzwi.

- Wiesz, Annie? Dziewięćdziesiąt procent zasad obowiązujących w społeczeństwie to czyste brednie, jestem

o tym głęboko przekonana. Ktokolwiek wymyślił te bzdury, nie miał więcej rozumu niż garniec łożu. Rozejrzała się wokół ze swego imponującego stanowiska na wzgórk, który wznosił się najwyżej parę metrów nad poziom morza. Choć wywodziła się ze środowiska, w którym najdrobniejsza rzecz, nawet rośliny rosnące w ogrodzie, musiała być podporządkowana określonym regułom, szybko nauczyła się doceniać dzikie, naturalne piękno tej ziemi. Tutaj miała do czynienia z naturą, nie z obciętymi gałęziami - dziełem jakiegoś pożałuj Boże specjalisty od krajobrazu, którego praca polegała na kaleczeniu drzew. To przyroda decydowała o tym, gdzie jaki kwiatek ma rosnać, i udawało się jej to lepiej niż najlepszemu ogrodnikowi.

Dostrzegła Luthera, który właśnie skończył pracę przy koniach i szedł w stronę sieci. Sympatyczny młody człowiek, zawsze czymś zajęty, zawsze pogodny, czy łowił ryby, czy pomagał jej przy praniu, układał drwa na opał czy łaskotał Annie piórkiem w stopy - albo próbował namówić Matta, by pozwolił mu pojechać konno do wioski.

Matt. Im bardziej starała się o nim nie myśleć, tym było to trudniejsze, jeśli nie wręcz niemożliwe. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to jej mąż. A tym bardziej nie wyobrażała sobie, jak mu o tym mówi. Przecież nie mogła mu tego wyznać w żartach, nie po tak długim czasie. Ojej, zapomniałam ci powiedzieć, że to ja jestem kobietą, którą poślubiłeś.

Wielkie nieba, chyba zjadłby ją żywcem.

Zawsze miał nachmurzoną minę, zupełnie jakby dźwigał na barkach ciężar spraw tego świata. Z tej od-

ległości nie widziała wyrazu jego twarzy, ale prawdopodobnie chmurzył się nawet przy rąbaniu drwa na podwórzu za domem. Nie musiała widzieć go z bliska, żeby wyobrazić sobie warstwę potu na jego nagich plecach i to, w jaki sposób te dopasowane spodnie oblepiają mu uda. Było to na wskroś nieprzyzwoite. W każdym cywilizowanym towarzystwie mężczyzna zostałby aresztowany za publiczne paradowanie niemal nago.

A kobieta, przyznała z krzywym uśmiechem, mogłaby prawdopodobnie zostać aresztowana za myślenie o rzeczach, jakie jej, Rose, chodziły po głowie. Kto jak kto, ale ona powinna wiedzieć, do czego to prowadzi.

Choć uważała się za rozsądną osobę, nie potrafiła zapanować nad kapryśnymi myślami. Nigdy dotąd nie miała do czynienia z taką krzyczącą manifestacją męskości. A w tym mężczyźnie było jeszcze coś więcej. O wiele więcej.

Przede wszystkim nie powinna była się godzić na to małżeństwo, a tym bardziej nie powinna tu przyjeżdżać, udając kogoś innego. Ale nie miała wielkiego wyboru, a Bess przekonała ją, że wszystko obróci się na dobre, nawet okres próbny.

Rose obrachowała się z własnym sumieniem, tłumacząc sobie, że dotrzymuje warunków umowy nawet jako pani Littlefield, skoro podjęła się opieki nad dzieckiem. A kiedy już będzie pewna, że nie popełniła kolejnego błędu, ona i kapitan zawrą porozumienie, w ramach którego ona będzie mogła zostać tu na stałe, on z powrotem wypłynie na morze, a oboje zignorują to śmieszne małżeństwo.

Tyle że, niezależnie od tego, jak rozsądne mogło jej się

to swego czasu wydawać - a prawdę mówiąc, nawet wtedy nie wydawało się rozsądne - po prostu nic z tego nie wyszło. Pokochała Annie - kto nie pokochałby dziecka?

Najbardziej jednak niepokoił ją Matt. Miała wrażenie, że nie potrafi z nim rozmawiać, a on nie umiał, albo nie chciał z nią rozmawiać. Ten mężczyzna kiedyś dowodził własnym statkiem, co świadczyło o tym, że nie mógł być całkiem pozbawiony rozumu, więc wina musiała leżeć po jej stronie.

Bess mówiła, że pochwycił statek i od tamtej pory usiłował go odzyskać. Nie wydawało się to szczególnie rozsądne, a więc być może winę ponosiły obydwie strony.

Tyle że to ona miała nieczyste sumienie i zanim dojdą do jakiegokolwiek porozumienia, będzie musiała się przyznać. Kłopot w tym, że za każdym razem, kiedy zbierała się w sobie, by to uczynić, on odchodził. Patrzył na nią tak jakoś dziwnie, jakby potrafił czytać w jej myślach. A potem, bez słowa, odwracał się i odchodził.

Często przywoływał gwizdem tego swego dzikiego ogiera i ruszał przed siebie, zostawiając ją na pastwę poczucia winy. Patrzyła za nim, jak jedzie na oklep po wydmach, a jego kruczoczarne włosy powiewają na wietrze. I niebo niech ją ma w opiece, zazdrościła mu wolności.

Wciąż i wciąż układała w myślach właściwe zdania, przygotowując się na tę chwilę, kiedy odwaga i okazja wreszcie się zejdą. „Kapitanie Powers, wydaje mi się, że mogłam nieumyślnie...”

W tym wszystkim nie było niczego nieumyślnego. Oszukała go z premedytacją.

„Matthew, gdyby mógł mi pan poświęcić chwilę, chciałabym oczyścić sumienie, przyznając się do drobnego oszustwa”.

Bez względu na to, ile razy powtarzała te słowa, nie było łatwego sposobu powiedzenia mężczyźnie, że kobieta, którą poślubił w dobrej wierze, zwlekała z wyznaniem, kim naprawdę jest, bo bała się, że on jej nie polubi, że się na nią rozgniewa i zrobi jej krzywdę, lękała się, że już spaliła za sobą o jeden most za dużo.

- Powiem mu, Annie, sama zobaczysz. Dziś albo jutro - a już na pewno pod koniec tygodnia. Na pewno.

Nie był gwałtownikiem, bo do tej pory miałyby już tego dowody.

Faktem jest, że Robert nie zdradził prawdziwej natury podczas pierwszych miesięcy małżeństwa.

Może zresztą pewne cechy jego charakteru były widoczne od samego początku, tyle że ona była zbyt niedoświadczona, aby je rozpoznać, i nazbyt wdzięczna za to, że znalazł się ktoś, kto zechciał wziąć ją za żonę.

Matt jej nie chciał. Nie ukrywał tego. Ale jej potrzebował i tak się wszystko zaczęło.

- On cię kocha, słonko - szepnęła. - Może nie zdaje sobie z tego sprawy, widziałam jednak, w jaki sposób na ciebie patrzy, gdy myśli, że w pobliżu nie ma nikogo. Czy wiedziałaś, że kiedy sędzi, że śpię, przechodzi na palcach przez moją sypialnię i staje przy twojej kołysce?

Nabrała zwyczaju mówienia do Annie, bo były sprawy, o których nie mogła rozmawiać z mężczyznami, a co do Bess, nie wierzyła, że starsza pani nie wykorzysta jej

wyznań w którymś ze swych tekstów. Za to Annie była idealną słuchaczką.

Poruszyła koszykiem i podjęła:

- A więc bez względu na to, co sobie o mnie myśli, potrzebuje mnie, żebym się tobą opiekowała. - Odchyliła cienką tkaninę bluzki od szyi, rozdarta między wątpliwościami a determinacją. - Kłopot w tym, że on nie ufa kobietom bardziej niż ja mężczyznom, a to niezbyt obiecująca podstawa jakiegokolwiek związku, nawet istniejącego tylko na papierze. - Zamilkła na chwilę i wbiła kciuk w miejsce u nasady szyi. - Chodzi o to, że nie mam zaufania do własnego osądu. Jeśli trzeba dokonać wyboru, ja zawsze wybieram nie to, co powinnam. Wiesz co? Pierwsze, czego zamierzam cię nauczyć, Annie, kluseczko, to umiejętność dokonywania wyboru. Wkrótce nadejdzie nowy wiek i kobiety na pewno będą mogły korzystać z różnych swobód, o których memu pokoleniu nawet się nie śniło. Nauczę cię, że przed podjęciem decyzji trzeba dobrze się zastanowić.

Zbierając buty i pończochy i otrzepując bosc stopy z sypkiego piachu, kontynuowała monolog.

- Nauczono mnie, że powinnam się ubierać stosownie do okoliczności, nie bacząc na to, że w pastelach i falbankach wyglądam okropnie. Nauczono mnie, do czego używać jakich sztuczków, jak się uśmiechać i wygłaszać stosowne formułki w odpowiednich momentach, jednak nikt nigdy nie pomyślał o tym, by nauczyć mnie posługiwania się rozumem. Kiedy mój świat się zawalił, musiałam zadbać o siebie sama i nie najlepiej mi to poszło, zapewniam cię, kochanie.

Annie zamrugała sennie w swoim koszyku i wypuściła bańkę powietrza. Rose odczepiła cierń od pończochy, wytrząsnęła z niej piach i zaczęła się zbierać do domu.

- Myśli, że pozjadał wszystkie rozumy - zauważyła, pochylając się i sznurując wysokie buciki. - Wiesz, co ja sądzę? Że wcale nie jest taki. I wiesz co? Myślę, że jest zbyt... jest zbyt w ogóle. Nazbyt duży, poważny, zbyt męski. Oczywiście ty nie jesteś w stanie zdać sobie z tego sprawy, ale on jest również stanowczo za atrakcyjny. Jeśli zdradzisz komukolwiek, że to powiedziałam, to się wyprę. Annie była pogrążona w głębokim śnie. Nie czując się ani odrobinę głupio - kolejny przejaw niedawno odkrytej wolności - Rose wstała, otrzepała spódnicę i dłonie, wzięła ciężki koszyk i ostrożnie ruszyła przez piach. Luther pomógł jej wnieść koszyk na wzgórek. Ostatnió był dla niej wyjątkowo miły. Zaczynała się obawiać, czy się w niej nie podkocha. W pewnym sensie jej to pochlebiało, mimo iż zdawała sobie sprawę, że jego zachowanie wynika z tęsknoty za zmarłym przyjacielem i braku możliwości spotykania się z młodymi kobietami z wioski.

- Powiem ci coś jeszcze, Annie. Mimo tych wstrętnych robaków i wciskającego się wszędzie piachu bardzo mi się tutaj podoba. Czuję się jak nowo narodzona. Nie muszę żyć zgodnie z cudzymi oczekiwaniami, bo nie jestem córką Marcusa i Aurelii Littlefield, nie jestem żoną Roberta Magruderera - nie jestem nawet wnuczką babci Gussy. Jestem po prostu sobą. Rose, przyjaciółką Annie.

Jak było do przewidzenia, Annie w odpowiedzi zamruczała

coś niewyraźnie przez sen, ale usatysfakcjonowana tym Rose skinęła głową.

- Wiedziałam, że mnie zrozumiesz.

Zamki na lodzie, oto jak jej ojciec zwykł komentować wymyślne fantazje, które snuła jako dziecko.

Widocznie nie straciła tego daru.

- Jak myślisz, powinnam tu zostać? Nie mam zbytnej ochoty wracać do pensjonatów, w których czuć kapustę, i do rozmów w sprawie pracy, kiedy to zawsze okazuje się, że czegoś mi brak. A przede wszystkim nie jestem w stanie postawić stopy na pokładzie kolejnego statku. Jeśli tu zostanę, Matt może sobie odzyskać statek i znów wypłynąć w morze, a ty i ja będziemy miały to miejsce tylko dla siebie i nauczę cię wszystkiego, co sama wiem o tym, jak to jest być niezależną kobietą.

Ześlizgiwanie się po miękkim piachu było niemal równie męczące jak wspinaczka. Kiedy wreszcie Rose dotarła do podnóża góry, sapała ze zmęczenia. Przerzuciła koszyk do drugiej ręki i skierowała się do domu, myśląc o chłodnych, ciemnych pokojach i wysokiej szklance zimnej lemoniady.

Właśnie wtedy dostrzegła giganta z nagim torsem, który energicznie wymachiwał siekierą. Ten widok powinien ją przestraszyć, a jednak, ku jej ogromnemu zdziwieniu, tak się nie stało.

- Będziemy musiały mu to wkrótce powiedzieć, Annie. Zrobię to, obiecuję ci, ale jeszcze nie teraz.

Przeszła długą drogę od nieśmiałego stworzenia, które przyjęło pierwsze w życiu oświadczenia, niewiele więcej niż miesiąc po tragicznej śmierci obojga rodziców. Jak wi-

norośl, nagle pozbawiona drzewa, które oplatała, rozpaczliwie potrzebowała czegoś, czego mogłaby się ucześcić, gdy na scenie pojawił się Robert.

Przy frontowych drzwiach powitała ją Bess.

- No i jak? Powzięłaś już decyzję? Nie mogę zostać tu na zawsze, przecież wiesz.

- Gii, Annie śpi. Pozwól, że ją przebiorę i położę w kołysce.

Bess poszła za nią w głąb korytarza, wobec tego mówiła dalej:

- Właściwie jeszcze się nie zdecydowałam. Jestem prawie pewna, że chciałabym tu zostać, muszę jednak omówić to z Mattem. Sprawy zaszły tak daleko, że nie wiem, jak mu o tym powiedzieć. Nie mogłabyś zrobić tego za mnie? - Teraz, kiedy Bess zbierała się do wyjazdu, trzeba było się pospieszyć, i to bardzo. Przynajmniej tyle mogła zrobić, uznała Rose, pomóc jej wyplatać się z matni, w którą ją wpędziła.

- To nie należy do mnie. Chcesz się dowiedzieć, jak się nauczyłam pływać?

- Nie za bardzo. - Rose już od dawna przestała się dziwić temu, jak pracuje mózg pisarza.

- Wóz albo przewóz, ot co. Ojciec wyrzucił mnie za burtę, więc zaczęłam kopać i machać rękami.

Miałam wtedy cztery latka.

Rzeczywiście mogło tak być, pomyślała Rose.

- Muszę położyć **Annie** do łóżka i opatrzyć ukąszenia na mojej biednej skórze. Porozmawiamy później.

Matt nie mógł spać. Czytał do późna w nocy, ale nie

potrafiłby powiedzieć, co właściwie czytał. Nie chodziło
● tę kobietę, chociaż z niezrozumiałych powodów zmarnował stanowczo zbyt wiele godzin na myśleniu o niej. Pewnie dlatego, że tu jest, to wszystko, co mu przyszło do głowy. To, że w jego domu mieszkała kobieta, jakakolwiek kobieta, działało mu na nerwy. Odkąd Rose tu przybyła, kuchnia Cranka odrobinę się poprawiła. Peg swoimi powykręcany artretyzmem rękami robił dla niej różne rzeczy. Luther chodził za nią krok w krok jak chory z miłości szczeniak. Gdyby nie było to tak bardzo niesmaczne, mogłoby być zabawne. Ta kobieta nie była nawet atrakcyjna. Nie chodzi o to, że była nieładna, po prostu zwyczajna jak zimny biszkopt. I afektowana. Przypominała mu nauczycielkę ze szkoły niedzielnej. Znosiła do domu słoje pełne zielska, ustawiała je na stołach i parapetach okiennych. Jeszcze trochę 1 zechce powiesić koronkowe firanki -w oknach jego domu. Ale dzisiaj nie chodziło o kobietę ani o dzbanek z kwiatami na kuchennym stole przy kolacji, ani nawet o jej głos, kiedy śpiewała Annie. To pogoda. Powietrze było nieruchome. Morze nie było bardziej wzburzone niż zwykle, ale od czasu do czasu o brzeg uderzała martwa fala, której ostry odgłos przypominał wystrzał z broni palnej. W oddali zahuczał ponuro grzmot, jak wściekła bestia osaczająca wyspę. Wtem błyskawica rozświetliła spiętrzone chmury, które od dawna zasłaniały słońce na zachodzie. Wyglądało to jak żarzące się węgle widziane przez gęsty dym. Wkrótce

błyski stały się gwałtowniejsze, a przerwy między nimi krótsze. Kiedy poszarpana błyskawica rozdarła niebo, zdołał policzyć do trzech, zanim piorun zatrzęsł szybami w oknach.

Boże, uwielbiał to. Zapach burzy w powietrzu, świadomość jej obecności, która przenikała go do szpiku kości. Huragany zapowiadały ciężką pracę, zarówno na lądzie, jak i na morzu. W obliczu wyładowań elektrycznych niewiele można było zrobić, co najwyżej cieszyć się, że pozostało się przy życiu.

Ciekawe, czy ona też tak to odbiera.

Teraz prawdopodobnie kulila się pod łóżkiem.

Wtem silny podmuch wiatru uderzył o ścianę budynku. Matt przestał udawać, że czyta. Zamknął książkę, wstał i cicho przeszedł przez pogrążony w ciemnościach dom. Otworzył drzwi do pokoju Pega, skinął głową i spytał cicho:

- Wszystko w porządku?
- Wszystko w porządku, kapitanie.

Luther chrapał. Chłopak nieźle się dziś zmachał. Przyholował łódź, wyciągnął sieć i usługiwał Jej Wysokości". Mimo bardzo młodego wieku był silnym mężczyzną, zaskakująco dojrzałym pod wieloma względami.

Co do Cranka, staruszek zażył tak dużo lekarstw na reumatyzm, by zapobiec rozlicznym bólom, że mimo burzy powinien spać jak zabity.

Wciąż niespokojny, Matt zawahał się przed drzwiami Bess. Zastanawiał się, czy nie powinien wejść do środka i zamknąć okna. Do tej pory ciotka na pewno wypila tyle brandy, że nie zauważyłaby, gdyby jej łóżko popłynęło

w głąb zatoki. Czy naprawdę sądziła, że on nie wie o jej wieczornych cygarach i dwóch albo trzech szklaneczkach brandy?

Najprawdopodobniej domyślała się, że on wie, lecz nie obchodziło jej to nic a nic.

Wszedł do środka i przymknął okno, zostawiając tylko wąską szparę na górze, by zapewnić dopływ powietrza, po czym po cichu podszedł do kolejnych drzwi. Annie bała się hałasu. Jeśli nie spała, zabierze ją do swego pokoju. Nie miał nic przeciwko tuleniu jej do snu, pod warunkiem, że nikogo nie było w pobliżu. Kiedy mężczyzna robi z siebie odietę z powodu kobiety, nawet takiej kruszynki jak Annie, ostatnie, czego potrzebuje, to widownia.

Spała mocno, na brzuszku, z wypiętą pupą. Przez długi czas po prostu stał, patrząc na małą istotkę, która tak nieoczekiwanie wkroczyła w jego życie.

Ostrożnie zdjął z parapetu dzbanek z żółtymi kwiatami i zamknął okno.

- Śpij dobrze, księżniczko. Wujek Matthew nie dopuści, żeby stało ci się coś złego.

Żeby dojść do łóżeczka Annie, musiał przejść przez sypialnię Rose. Próbował nie patrzeć w stronę jej łóżka. W drodze powrotnej, idąc na palcach przez ciemny pokój, popełnił ten błąd. Był już prawie przy drzwiach, gdy niebo przecięła błyskawica, po czym, prawie natychmiast, rozległ się huk pioruna. Słyszając jakiś dźwięk, dobiegający od strony łóżka, spojrzął przez ramię i od razu pożałował, że to zrobił.

Rose siedziała na łóżku, sztywno wyprostowana, wbi-

jając niewiążący wzrok w przestrzeń. Chwilę trwało, zanim odzyskał głos.

- Przepraszam, nie chciałem pani niepokoić. Sprawdzałem tylko, co u Annie. Czy wszystko w porządku?

Wydobyła z siebie dźwięk przypominający pisk myszy zapędzonej do kąta.

- Czy to oznacza tak? - spytał, nie ruszając się z miejsca.

- Tak - zapiszczała.

Czekał. Tak co? Tak, nie powinien zakłócać jej spokoju, czy tak, wszystko w porządku? W ostrym, migotliwym świetle widział jej rozpuszczone włosy, wijące się wokół twarzy jak rozpleciony konopny sznur.

- Pani Littlefield, Rose, boisz się? To tylko burza z piorunami. Minie, zanim się obejrzysz.

Żadnej odpowiedzi. Miała szeroko otwarte oczy, ale nie potrafiłby powiedzieć, czy widzi go, czy nie, nie mówiąc już o tym, czy słyszała jego zapewnienia.

- Och, do diabła - mruknął. Szybko i cicho jak kot znalazł się przy jej łóżku, pochylił się i spojrzał jej w oczy, pilnując się, żeby jej nie dotknąć.

Widział kiedyś taki sam wyraz twarzy u marynarza **lunatyka**. Widział go tego dnia, w którym zginął Billy. Wszyscy byli w szoku przez wiele dni po tym wypadku.

- Rose, posłuchaj mnie, wszystko w porządku. To tylko burza z piorunami, nie zrobi ci krzywdy.

Czekał. Żadnej odpowiedzi.

- Słuchaj, Peg zamocował na domu tyle piorunochronów, że mógłby wystraszyć wszystkie burze świata.

Nie wspominał o dwóch trąbach powietrznych, które

zauważył na morzu tuż przed zmierzchem. Nawet najlepszy piorunochron nie na wiele by się zdał, gdyby jeden z tych diabłów morskich skręcił w stronę wybrzeża. Nie sądził jednak, że byłaby mu wdzięczna, gdyby jej o tym powiedział.

- Rose, posłuchaj mnie... - Nie przywykł do zwracania się do niej po imieniu; nie przywykł do zwracania się do niej w jakikolwiek sposób, ale nie była to pora na formalności. - Jeśli Annie obudzi się i przestraszy, będzie cię potrzebowała. Rose? Słuchasz mnie?

Powiedział to magiczne słowo. Annie. Ta kobieta kochała jego dziecko do szaleństwa, więc teraz postanowił to wykorzystać.

- Może będziesz musiała ją potrzymać, może trochę pokołysać, jeśli obudzi się i zacznie płakać.

Będziesz w stanie to zrobić? Chcesz, żebym przyniósł ci koc?

Te słowa wyrwały ją z odrętwienia. Skinęła głową, przełknęła ślinę, po czym pokręciła głową. Matt uświado¹ mił sobie, że wpatruje się w przód jej cienkiej bawełnianej koszuli, przez którą prześwitują sterczące sutki, przypominające dwa bliźniacze naboje.

Wciągnął gwałtownie powietrze w płuca, cofnął się o krok, ale zdążył jeszcze pochwycić nozdrzami czysty, kwiatowy zapach jej skóry. Zanim uświadomił sobie, co się dzieje, był twardy jak pień orzecha. Wystarczył sam jej widok, jej zapach, cieplej i wciąż na wpół śpiącej.

Zaczął się wycofywać, zanim dopuści się przestępstwa. Kiedy już bezpiecznie znalazł się w drzwiach, posłał jej ostatnie spojrzenie i powtórzył sobie, że nie wolno mu **pożądać** kobiety, która nie jest jego żoną. Nie chodziło tylko

o ciotkę śpiącą w głębi korytarza i o Annie zaledwie o parę kroków stąd w sąsiednim pokoju. Najważniejsze było to, że miał już żonę. W każdym razie na papierze. Zamykając drzwi, powiedział sobie, że musi się stąd wydostać. Im szybciej i dalej, tym lepiej. Potrzebował statku, nie kobiety. Jeśli jego żona kiedykolwiek się zjawi, ona i Rose będą mogły rozstrzygnąć to między sobą. Jeśli nie, w takim razie Primrose może wziąć wszystko, z jego błogosławieństwem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rankiem, zupełnie jakby chciał uspokoić samego siebie, że epizod, który miał miejsce minionej nocy, był wytworem jego rozgorączkowanej wyobraźni, Matt zwlekał z odejściem od stołu, dopóki w kuchni nie pojawiła się Rose z Annie. Wystarczyło mu jedno krótkie spojrzenie, żeby się przekonać, że młoda kobieta w ciągu nocy nie przeobraziła się w syrenę. Wciąż była tą samą sztywną Primrose o wąskich wargach.

Choć nie aż tak sztywną jak wówczas, kiedy przybyła na wyspę. Teraz była trochę ogorzała od słońca. Trochę bardziej owiana wiatrem. Dzięki Bogu już dawno przestała nosić te koszarne czarne sukienki.

Wstał, odsunął jej krzesło, po czym ujął stópkę Annie w dłoń.

- Przespałaś fajerwerki, prawda, mała? Ależ jesteś duża. Jeśli dalej będziesz rosnać w takim tempie, wkrótce zaczniesz wspinać się na wanty.

Rose utkwiała w nim zaskoczony wzrok, zupełnie jakby uważała, że stracił rozum. Zmarszczył czoło.

- Nie mówiłem poważnie. Nie na wiele się przydaję, kiedy przychodzi do rozmowy z dziećmi.

- Najwyraźniej nie - potwierdziła, cedząc słowa przez zaciśnięte wargi. Unikała jego wzroku, co wyraźnie wska-

zywało na to, że nie on jeden odczuł na własnej skórze oddziaływanie elektryczności, którą przesycone było powietrze ostatniej nocy.

Przyszło mu na myśl, że skoro Rose jest wdową, raczej nie mogła pozostać nieświadoma tego, co się dzieje między mężczyzną a kobietą. Czy to możliwe, że jej tego brakuje? Że z zadowoleniem powitałaby zmianę w ich stosunkach?

Jej wygląd wprawdzie tego nie sugerował, ale Matt znał ładacznicę, które mogły uchodzić za żony pastorów, tak dobrze udawały godne szacunku kobiety, od których dzieliła je przepaść. Ponieważ nigdy jeszcze nie spotkał takiej kobiety jak Rose Littlefield, nie miał pojęcia, co o niej myśleć. To go zaniepokoiło.

- Mieliliśmy wczoraj burzę, jak się patrzy - zauważył zdawkowo, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

- Rzeczywiście - potwierdziła Rose, zajęta słodzeniem kawy.

Dwie czubate łyżeczki cukru?

- Tak bardzo nie padało. Domyślam się jednak, że burze z piorunami mogą wprawiać niektórych w zdenerwowanie.

- Rzeczywiście - mruknęła ponownie, ze wzrokiem utkwionym w przywiedłym bukiecie, który postawiła na stole nie dalej jak wczoraj. Mógłby jej powiedzieć, że polne kwiaty czują się dobrze wyłącznie na wolności. Niemniej jednak to jakieś wyzwanie, pomyślał. Mężczyzna potrzebuje wyzwań, by poczuć, że żyje. Może z kobietami jest podobnie.

Do kuchni wkroczyła Bess. Sprawiała wrażenie zmarnowanej.

Prawdę mówiąc, nigdy nie przyznała się do tego, że ma kaca, ale też nigdy nie przyznała się, że potrafi wypić kwaterkę brandy za jednym posiedzeniem.

- Dzień dobry, Bess. Boli cię głowa? - Wstał i odsunął dla niej krzesło.

Nie zwróciwszy uwagi na ten gest, popatrzyła z obrzydzeniem na półmiski ze smażoną rybą, ziemniakami, smażonym bekonem i jajecznicą, które Crank właśnie postawił na stole.

- Myślę, że zostanę dziś w swoim pokoju i popracuję nad notatkami.

- Jeśli potrzebujesz pani Littlefield, Luther może popilnować Annie.

- Och, nie. To nie jest konieczne. Tylko przyślij do mnie Cranka z dzbankiem kawy, dobrze? -

Odwróciła się i chwiejnym krokiem wyszła z kuchni.

Wyraźnie zaniepokojona Rose odprowadziła ją wzrokiem, po czym zerknęła na Matta.

- Myśli pan, że powinnam za nią pójść? Pokręcił głową.

- Proszę zostawić ją samą, wkrótce dojdzie do siebie. Annie, siedząca na kolanach Rose, raptownie sięgnęła

do słoja z marynowaną papryką. Stary kucharz promieniał, jakby właśnie powiedziała mu wielki komplement i z zadowoleniem przyglądał się, jak Rose wtyka rybę w usteczka Annie.

Matt mruknął do Pega, że idzie sprawdzić, czy wiatr nie poczynił szkód, przeprosił wszystkich i wyszedł z kuchni. Miał coś lepszego do roboty niż przyglądanie się, jak dorośli mężczyźni robią z siebie błaznów.

Pół godziny później przez otwarte okno gabinetu usłyszał cichy głos Rose. Właśnie wynosiła Annie na dwór, na przedpołudniową drzemkę. Znał już porządek dnia. Rose zostawiała małą na werandzie, tam, gdzie nie mogło dosięgnąć jej słońce, a sama spędzała rano na podlewaniu zielska, które zasadziła poprzedniego dnia, i na kopaniu kolejnych dziur na zielsko, które zamierzała złożyć w ofierze niebawem.

Była uparta, musiał to przyznać. Dał jej do zrozumienia, żeby nie zawracała sobie głowy, ale obstawała przy swoim. Kiedy tylko mogła, wlokła zielsko ze wzgórką i zakopywała je w dziurach wokół domu. Nazywała to upiększaniem krajobrazu. Interesujące określenie na zaśmiecanie porządnego podwórka zwiędłym zielskiem, uznał jednak, że nie ma w tym nic złego, dopóki Rose nie zaniedbuje dziecka. Raz czy dwa przyglądał się, jak pracowała, z zawiniętymi rękawami, z rękami oblepionymi po łokcie ziemią, z plamami potu na plecach i pod pachami. Ładnie wyglądała z zarumienionymi policzkami i włosami rozwianymi wokół twarzy.

A więc przestał się jej przyglądać. Uparta baba, powiedział sobie. Jeszcze tydzień i jego załoga będzie mówiła do niej „kapitanie Rose”, jeśli będą skakać na jej rozkazy tak jak do tej pory.

Będąc sprawiedliwym i rozsądnym mężczyzną, Matt przyznawał, że w tym, iż Rose działa na niego w taki sposób, nie ma jej winy. Ani razu nie zatrzepotała rzęsami, jak robiła to Gloria, nie położyła jego rąk na swoim ciele i nie nazwała tego tańcem, ani też nie pochylała się ku niemu, demonstrując biust wychylający się zza stanika sukni.

Co do Rose, wystarczyło tylko, że usłyszał jej śmiech, zobaczył ją z zawiniętymi rękawami i jednym rozpiętym guzikiem przy kołnierzyku albo poczuł zapach jej kwiatowego mydła, a już był zmuszony rąbać drewno czy też gnać przed siebie jak szalony na Jerichu. Do diabła, był za stary, by pozwalać, żeby rządziło nim pożądanie.

Miał sześć nowiutkich książek do przeczytania. Na biurku leżał stos korespondencji czekającej na odpowiedź. Powinien też przejrzeć raporty dotyczące żeglugi i cenniki towarów. Jeśli się jest właścicielem statku, nie wystarczy znać się na żeglarstwie, konieczna jest gruntowna znajomość handlu. Powinien przygotować się do powrotu w świat interesów, żeby nie tracić czasu, kiedy już odzyska statek.

Kłopot w tym, że nie mógł się skoncentrować. Nie przypisywał swojego roztargnienia wyłącznie niezaspokojonej żądzy, jednak była ona jedną z głównych przyczyn tego stanu rzeczy. Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce nie będzie się nadawał do dowodzenia balią.

Przecież nie pożądanie i nie zaniedbanie doprowadziły go do poślubienia nieznajomej kobiety i do jej utraty, zanim miał okazję ją poznać. Był to akt czystej głupoty. I jak widać, ta lekcja poszła na marne. O, tak, popełnił wiele błędów, zanim jeszcze Bess pojawiła się z tą Littlefield. To zresztą też było jego winą, bo błagał ciotkę, żeby przyjechała i pomogła mu przy Annie. Prócz Bess nie miał innej rodziny, a skoro potrafiła doprowadzić go do wściekłości, do tej pory powinien był wiedzieć, czego może się po niej spodziewać. Bess się nie zmieniała, z wiekiem stała się tylko bardziej przebiegła.

To pani Littlefield stanowiła problem. Nie był w stanie pojąć, dlaczego załazła mu za skórę bardziej niż podstępne kleszcze. Nie było ku temu żadnego powodu. Gdyby Annie tak bardzo jej nie potrzebowała...

Ale Annie jej potrzebowała. Co oznaczało, że Matt potrzebował jej również. Zamierzał wsiąść na pierwszy lepszy statek odpływający z wioski, kiedy tylko otrzyma oczekiwane wieści z Bostonu, a przecież nie mógł zostawić tu Annie pod opieką Cranka i Pega. Bez względu na to, czy byliby gotowi się tego podjąć, czy nie, żaden z nich nie był okazem zdrowia.

Co gorsza, Bess coraz częściej dawała do zrozumienia, że chce wracać do Norfolk. I tak została o wiele dłużej, niż się spodziewał. Nie chodziło o to, że nie mógłby się bez niej obejść, tyle że wraz z Bess odjedzie jej towarzyszką, a to z kolei oznaczało, że jeśli jego zabłąkana żona nie pojawi się tu w ciągu najbliższych kilku dni, czeka go nie lada kłopot.

Nie wstając od zawalonego papierami biurka, rozmasował zeszywniałe mięśnie karku. Słyszac śmiech Rose, dolatujący do gabinetu przez otwarte okno, nachmurzył się jeszcze bardziej.

- Patrz na mnie, Rose! Patrz uważnie! - No, tak, Luther znów się popisuje. Przeklęty młody dureń. Pewnie znów chodzi po płocie, przechwalając się, że tak samo potrafi chodzić po bukszprycie, obracać się i wracać, nie patrząc pod nogi i niczego się nie trzymając.

Skupił całą uwagę na liście leżącym na samej górze, wyjął z szuflady arkusz czystego papieru i odkrył kałamarz. Trzymał pióro nad kanciastą kryształową butlą, kiedy usłyszał pierwszy krzyk.

Rzucił pióro i skoczył do drzwi, gdy rozległ się drugi krzyk. Annie leżała w koszyku na werandzie i spokojnie gryzła piąstkę. Jedno spojrzenie upewniło go, że jest cała i zdrowa. W takim razie to nie Annie. Dzięki Bogu!

Szybkim rzutem oka ogarnął scenę rozgrywającą się przed jego oczami. Krzyki, parskanie, odgłos podków uderzających o ziemię. I kobieta stojąca na schodkach prowadzących na werandę, między Annie a niebezpieczeństwem, z rozłożonymi rękami, zupełnie jakby jej kruche ciało mogło zatrzymać bestię.

Luther nie mogący utrzymać równowagi, wczepiony w grzywę Jericha. Oszalały, wierzgający i brykający ogier, który zmierzał w kierunku domu, usiłując zrzucić bezwładne ciało, podskakujące na jego grzbiecie jak worek siana.

Rose zawołała coś, co zabrzmiało jak „Sio, sio!”. Powiewała przy tym fartuchem tak samo jak wówczas, kiedy kurczaki skubały zasadzone przez nią zielsko.

- Przestań machać - powiedział półgłosem. Kiedy już znalazł się między kobietą a koniem, mówił dalej, nie podnosząc głosu: - Spokojnie, bracie... spokojnie, nikt nie zamierza zrobić ci krzywdy. - Lutherowi zaś polecił: -Puść go, zeskocz i zsuń się pod ogrodzenie. - Nie odrywając wzroku od konia, odwrócił się, wziął Rose za ramiona i pchnął ją w głąb werandy. - Zabierz Annie do domu - rozkazał cicho.

Rose wylądowała na plecach i na łokciu, ale natychmiast podźwignęła się na czworaki i zawołała piskliwie:

- Pomóż mu - on go zabije!
- Wejdz do domu - powtórzył Matt z naciskiem, gło-

sem zmuszającym do posłuchu. Sam stał bez ruchu, ostrożnie oceniając sytuację.

Luther wydał krótki okrzyk, wypuścił z rąk grzywę i zeskoczył. Upadł na plecy. Kopyta Jericha o włos minęły jego zmaltretowane ciało, gdy przetaczał się po gorącym piachu. Ogier o dzikich oczach miał kiełzno w zębach, a uzda zaplatała się w jego rozwianą grzywę.

- Spokojnie, bracie, nikt nie zamierza cię skrzywdzić - zawodził śpiewnie Matt.

Powoli oddalał się od werandy, mrużąc monotennie i nie wykonując gwałtownych ruchów. Oczy utkwili w koniu, ale ciało zachowało pamięć dotyku kobiety, którą trzymał w ramionach zaledwie tyle czasu, by zepchnąć ją z linii zagrożenia. W ciągu tych paru sekund jego zmysły zarejestrowały dotyk kruchej ciała i kwiatowy zapach mydła.

Do diabła, wciąż tu była, na czworakach, na skraju werandy.

- Tylko nie krzycz. Ani słowa - ostrzegł, nie odwracając głowy.

Ruszając pewnie naprzód, szepnął:

- Luther, ty sukinsynu, wsuń się pod ogrodzenie i nie ruszaj się. Zajmę się tobą później. - Ton był łagodny, ale w słowach czaiła się groźba, nie mogło być co do tego najmniejszych wątpliwości.

Matt nie przestawał przemawiać do konia, aż wreszcie Jericho, wciąż niespokojny, dał się zaprowadzić przez otwartą bramę do zagrody. Kilka klaczy, trzymanyh w osobnej przegrodzie, wyraźnie się przestraszyło, jednak zaraz powróciły do skubania trawy, z rzadka porastającej piach.

Luther szybko wytoczył się spod ogrodzenia, ale nawet nie próbował wstać. Matt nie wiedział, czy chłopak jest ranny, czy nie. Szczerze mówiąc, w tej chwili nic a nic go to nie obchodziło. Zerknął w kierunku werandy. Na progu domu tkwili Crank i Peg, których niewątpliwie ściągnęły tu krzyki Rose. Crank trzymał Annie na rękach.

Matt znów skupił całą uwagę na drżącym ogierze.

- Wszystko w porządku, stary, zaraz pojedziemy nad morze, popływamy sobie. Teraz trochę odpocznij, dobry konik - zamruczał. Powoli wyciągnął rękę i pogładził spocony koński bok. Nie znał się zbyt dobrze na koniach, ale cały czas się uczył. Kierowanie zwierzęciem nie różniło się zbyt od dowodzenia niedoświadczoną załogą. Stanowczość, sprawiedliwość i konsekwencja. Jericho to jedyny, czego będzie mu brakować, kiedy odzyska statek. Jericho i Annie.

Annie i Jericho. I Rose.

- Luther, gdybym miał bat, zdarłbym razami skórę z twego bezwartościowego ścierwa - rzekł cicho, lecz dobitnie, zmierzając do miejsca, gdzie leżał młody marynarz, wciąż zgięty wpół.

Matt pochylił się, szarpnął go, postawił na nogi i przytrzymał za wilgotną, zapiaszczoną koszulę. Obaj drżeli, Matt z gniewu połączonego z ulgą, Luther ze strachu.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś? Przez ciebie i te twoje przeklęte, głupie popisy Rose i Annie mogły zginąć! - mówił cicho, żeby nie przestraszyć dziecka, ale tym większa była jego wściekłość.

Puścił koszulę Luthera, wbił palce w jego szerokie, ko-

ściste ramiona i potrząsnął nim, aż tamten zadzwonił zębami.

- Co trzeba, do diabła, zrobić, żeby wbić trochę rozumu do takiego głupiego łba? Co, u licha, próbowałaś udowodnić?

- Nic ci się nie stało, Rosie? - spytał Crank, stojący w drzwiach tuż za nią.

Przełknęła ślinę i potrząsnęła głową. Najwyraźniej uspokoiony tym gestem wniósł kwilące dziecko do środka, a Peg ochryłym barytonem mruczał jakieś pocieszające słowa.

Nie odrywając wzroku od tej przerażającej sceny, Rose szepnęła:

- Nie potrząsaj nim tak mocno, Matt... och, Boże, nie bij go!

Dobrze znany koszmar powrócił, tylko tym razem świeciło słońce. Nie padał deszcz, nie było słychać ogłuszających grzmotów, a węże błyskawic nie rozdzierały nieba tak jak wówczas.

Wyczuwając gniew w głosie Matta, skuliła się, usiłując nie słuchać słów, aż nadto świadoma emocji, które nim kierowały.

...zawierzyłem ci, że będziesz się trzymać z daleka od tego konia!

„... fundusz powierniczy!”

.. .przeklęty morderca...!

„... ty przeklęta, kłamliwa suko!”

- ...myślałem, że masz więcej rozumu, żeby nie nadstawiać swego głupiego karku...

„...już ja cię nauczę, nie będziesz mnie okłamywała i robiła ze mnie idioty!”

Zamknięta w pułapce innego czasu i miejsca, Rose patrzyła, przerażona, jak Matt potrząsa młodszym mężczyzną jeszcze raz, a następnie puszcza go i unosi pięść.

- Nie! Proszę, nie! - Wydawało jej się, że wykrzyczała te słowa i może rzeczywiście tak było, bo Matt, zamiast uderzyć Luthera, pchnął go tylko mocno, tak że tamten znów upadł na piach. Zostawiwszy go, odwrócił się i odszedł, sztywno wyprostowany, z dłońmi zaciśniętymi w pięści i rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

Całkowicie wyczerpana Rose poczołgała się w głąb werandy i przywarła do ściany, ściskając kolana i zakrywając głowę złożonymi jękami. Strach powoli ją opuszczał, jednak wciąż jeszcze drżała, kiedy Crank przyszedł po nią i zaprowadził do domu. Posadził ją przy stole, po czym podał jej kubek gorącej herbaty, do której dolał sporo brandy.

- Pomaga na bolące kości. Podobno jest też dobra na nerwy. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek skarżył się na nerwy, ale nie dałbym za to głowy.

Zmusiła się do uśmiechu. Gorący płyn pociekł jej po rękę, lecz nie zwróciła na to uwagi.

Crank wysunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej, po drugiej stronie wyszorowanego, sosnowego stołu.

- Lute nie chciał nikogo skrzywdzić, wiesz. Próbował tylko wyrzeć na tobie wrażenie, tak jak robią chłopcy, kiedy jakaś dziewczyna im się podoba.

- Ja mu się nie podobam - zaprzeczyła szybko Rose, ale w głębi serca wiedziała, że stary kucharz ma rację. Samolubnie podsyciła podziw w oczach Luthera, rozkoszując się nieznanym dotychczas doznaniem, że jakiś mąż-

czynna uznał ją za atrakcyjną, mimo że nie miała grosza przy duszy, była brzydka jak noc, a na dodatek wyższa i starsza od niego.

- Luther jest moim przyjacielem tak samo jak ty, Crank. Ty i Peg.

- Tak. I nie zapominaj o kapitanie - powiedział uroczyście stary.

Rose westchnęła i ostrożnie pociągnęła łyk mocnej herbaty. Czyżby była przezroczysta? Czy wszyscy dostrzegli, co ona czuje do Matta? Jakie to dziwne, pomyślała, skoro nawet ona sama nie w pełni zdawała sobie sprawę, co czuje. Wiedziała tylko, że przerażał ją równie mocno jak fascynował.

Może, tak samo jak ómę przyciąga płomień, ją przyciągali niebezpieczni, niszczący mężczyźni.

Matt nabrał czerpakiem deszczówki i polał nią głowę **i ramiona. Wcześniej posłał** Luthera do wioski po pocztę **nie dlatego, że** spodziewał się listu, ale chłopak potrzebował **jakiegoś zajęcia, a** Matt wolał, żeby nie wchodzili **sobie w oczy**, zanim nie wymyśli, jak to załatwić.

Na pewno nie przeprosi, o nie. Jeśli Luther chciał robić z siebie błazna, to jego sprawa, nie miał jednak prawa narażać na szwank dobrego konia. Nie mówiąc o dwóch bezradnych kobietach - choć Rose nie wydawała się taka bezradna, kiedy stała pomiędzy Annie a szalejącym ogierem, wymachując fartuchem niczym groźną bronią.

Matt przypomniał sobie innego młodego człowieka. Wszak to jego własne zaniedbanie doprowadziło do śmierci Billy'ego. Luther musiał dostać nauczkę,

dla własnego dobra. Gdyby Jericho zranił Rose albo Annie, konia trzeba by było zastrzelić. Bóg jeden wie, co wówczas stałoby się z Lutherem, który miał wrażliwe serce.

O wiele łatwiej byłoby oskarżyć Rose, że go prowokowała. Była na tyle dojrzała, że powinna zdawać sobie sprawę, do czego prowadzą takie zabawy, nawet jeśli Luther nie miał o tym pojęcia.

Wylał na głowę kolejny czerpak wody. Usiłował zdobyć się na trzeźwą ocenę sytuacji, lecz pamięć o nagłej i tragicznej śmierci Billy'ego była zbyt świeża. Przypomniawszy sobie, jak spojrzawszy na chude maleństwo o czerwonej twarzy i w myślach złożył je do grobu obok ojca.

Annie zwiódła ich wszystkich. Nie tylko przeżyła, ale rozkwitła. A choć za żadne skarby by się do tego nie przyznał, mała dziewczynka nie była jedyną, która wydawała się rozkwitać na tej wyspie.

Mimo wszystkich swoich wad Rose przeszła daleką drogę od żalostnej kobiety, która niezgrabnie zsiadła z wozu pewnego zimnego, wietrznego dnia, ubrana w brzydką, czarną sukienkę, z twarzą zieloną od mdłości. Podobno zachorowała, gdy tylko postawiła stopę na pokładzie statku pocztowego.

Pokręcił głową, chcąc odsunąć od siebie te myśli. Był zbyt zdenerwowany, by powrócić do nie dokończonych korespondencji. Lepiej zrobi, jeśli weźmie Jericha i pojedzie na wybrzeże, gdzie obydwaj uwolnią się od napięcia.

Rose przełknęła pół kubka piekielnie mocnej herbaty, po czym przeprosiła towarzystwo i zajrzała do Annie, która, jak się okazało, spała snem sprawiedliwego. Musiała się do kogoś przytulić, więc ostrożnie wyjęła małe, ciepłe ciało z kołyski i usadowiła się w bujanym fotelu, patrząc

niewidzącym wzrokiem na refleksy słońca na piasku i wodzie.

Wykrztusiła parę słów słabo pamiętanej kołysanki, po czym umilkła. Jej ramiona były wystarczająco silne; głos nie. Kołysała się, analizowała w myślach wydarzenia dnia i powoli zaczął jej wracać spokój.

Luther popełnił błąd, próbując dosiąść narowistego konia. Mało tego, sam ostrzegł Rose, żeby nie podchodziła do Jericha.

- Nawet nie próbuj zbliżyć się do żadnego ogiera -przestrzegał. - Są nieobliczalne. A Jericho jest gorszy niż większość z nich, bo przeżył naprawdę ciężkie chwile, zanim trafił pod opiekę Matta. Matt miał rację, że zmył mu głowę, jednak na tym powinno się zakończyć. Przemoc, bez względu na to, czy uzasadniona, czy nie, nie powinna być stosowana.

Chociaż Rose, gwoli sprawiedliwości, musiała przyznać, że być może Mattowi zawdzięczała, że nic jej się nie stało. Znalazł czas - w każdym razie ktoś znalazł czas -by odsunąć koszyk Annie ze skraju werandy, z zasięgu niebezpieczeństwa. Zachował spokój, żeby nie rozjuszyć konia jeszcze bardziej, a choć był wściekły na Luthera -i miał do tego prawo, nie mogła temu zaprzeczyć - przecież go nie uderzył.

Próbowała na zimno przeanalizować to, co właśnie się stało, niemniej jednak nie potrafiła wymazać z pamięci obrazu rozwścieczonego Matta i śmiertelnie przerażonego biednego Luthera. Przeszła długą drogę, ale najwidoczniej nie zaszła wystarczająco daleko. I może nigdy jej się to nie uda.

Wróciła do punktu wyjścia. Mogła przyznać się do oszustwa, zostać tu z Annie, kiedy Matt znów wypłynie w morze...

Mogła też spakować swój kufer i wsiąść na ten przeklęty statek.

Żadna z tych możliwości nie wydała jej się szczególnie nęcąca.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przybyły na wyspę wiosenną porą. Teraz był środek lata. Rose nawet się dziwiła, że Bess tak długo się zasiedziała, ale ostatecznie pisać można wszędzie. Tak przynajmniej sądziła. Niemniej jednak starsza pani coraz bardziej się niecierpliwiła.

- Nie namyślaj się dłużej i wyznaj mu prawdę, Rose. Nie mogę zostać tu na zawsze. Będzie z niego dobry mąż. To poczciwy chłopak.

Chłopak, dobre sobie, pomyślała Rose.

- Dlaczego ty mu nie powiesz? To był twój pomysł, a poza **tym** potrafisz **to** przedstawić lepiej ode mnie. -**Znacznie łatwiej** zaniechać wyboru, niż skazywać się na **życie ze** świadomością, że po raz kolejny wybrało się źle.

- Oczywiście, ale tak się składa, że właśnie wybieram **się** z wizytą do tutejszego urzędnika, Dicka Dixona. Każdy dom na tej wyspie kryje w sobie jakąś tajemnicę. On będzie wiedział, gdzie szukać. Najwidoczniej polowanie na tajemnice okazało się owocne, bo Bess przez kilka następnych dni przebywała w wiosce od rana do wieczora.

Rose postanowiła grać na zwłokę. Spędzała długie godziny na wzgórku, gdzie naprawiała odzież, łuskała fasolę, przemawiała do Annie albo po prostu leżała na plecach na

kocu i wystawiała ciało na podmuchy ciepłego, wilgotnego wiatru.

Co on by zrobił, gdyby wyznała mu prawdę? Jak by zareagował?

Nie potrafiła tego przewidzieć. Był wyjątkowo zagadkowym mężczyzną, skorym do gniewu, ale tylko wówczas, kiedy gniew był usprawiedliwiony; pod szorstkimi manierami, które już jej nie przerażały, kryła się niespotykana wrażliwość. Rose szczyliła się tym, że ma całkiem sporo zdrowego rozsądku, a jednak Matt pociągał ją coraz bardziej.

Usiadła, objęła rękami kolana i obserwowała dwóch mężczyzn widocznych w oddali. Z samego rana, kiedy oporzadzili żywy inwentarz, zaciągnęli bele siana pod zachodnią ścianę stajni i zasiedli na nich, Luther z tabliczką i rysikiem, Matt z kubkiem mocnej kawy zaparzonej przez Cranka.

Rose wiedziała, co robią. Stary kucharz wyjaśnił jej, że teraz, po śmierci Billy'ego, pierwszym oficerem zostanie Luther, więc kapitan wykorzystuje przymusowy pobyt na łądzie, by przed odzyskaniem statku wypełnić luki w edukacji młodzieńca.

- Jest bardzo młody, to fakt, ale Matt nie był dużo od niego starszy, kiedy objął komendę na „Czarnym Łabędziu”.

W tym tygodniu pracowali nad matematyką. Ku swemu zdziwieniu skonstatowała, że Matt nigdy nie tracił cierpliwości, nawet jeśli Luther fatalnie się mylił przy tabliczce mnożenia.

Wpatrywała się w kapitana jak zauroczona, podziwia-

jąc jego szerokie, opalone plecy, skapane teraz w słońcu i dłonie, którymi od czasu do czasu przeczesywał gęste, czarne włosy i gestykulował, kiedy chciał coś podkreślić. Te same dłonie, na tyle mocne, żeby poskromić rozjuszone zwierzę, a jednak wystarczająco delikatne, by pogłaskać policzek dziecka i wywołać uśmiech na jego buzi.

- Boże, Annie, co ja zrobiłam? - powiedziała półgłosem. - Jestem więcej niż pewna, że chcę go za męża, ale nie mam pojęcia, czy on będzie mnie chciał. Nie jestem nawet pewna, czy wiedziałabym, co z nim począć, gdyby był naprawdę mój.

Kolejna bezsenna noc. Rose albo przewracała się na łóżku, zbyt zdenerwowana, by zasnąć, albo przysypiała i śniła o Matcie. Świetnie wiedziała, że praca nie przyniesie rozwiązania jej problemów, skoro jednak nie potrafiła zebrać się na odwagę i wyznać, czego się dopuściła, tylko to jej pozostawało. Obeszła wszystkie sypialnie, włącznie z tymi, których nie używano, zebrała każdą, nawet najmniejszą sztukę poźółkłej pościeli, wrzuciła wszystko do balii, po czym zaczęło się wygniatanie, tarcie i płukanie, wykręcanie i wieszanie, a wreszcie składanie i chowanie.

Użyła specjalnego kija ułatwiającego wykręcanie bielizny w taki sposób, jak pokazał jej Luther, a mimo to pranie zabrało jej kilka godzin. Kiedy wreszcie dobiegło końca, bolały ją plecy, nos pokrył się bąblami, a ręce stały się czerwone i szorstkie, ale przynajmniej to zajęcie zaabsorbowało ją na tyle, że nie miała czasu ani siły się martwić.

Luther ofiarował się z pomocą przy wieszaniu, zanim jednak zdołał przyczepić pierwsze prześcieradło do sznurka,

na werandę wyszedł Matt, który polecił mu pojechać konno do wioski z listem do miejscowego przedstawiciela władzy.

- Kiedy są razem, zachowują się gorzej od pary rozdrażnionych kogutów - zauważył Peg, który właśnie wyszedł na tylne podwórze z wiadrem resztek dla kurczaków.

Rose nie miała pojęcia o tym, jak wyglądają walki kogutów, więc zignorowała jego słowa. Wykręciła kolejne prześcieradło za pomocą kija, a potem powiesiła je na sznurku, rozprostowała i przyczepiła, zabezpieczając przed wiatrem nadciągającym od południowego zachodu.

Najwyższy czas wszystko powiedzieć i mieć to za sobą. Z dwojga złego wolała cierpieć wskutek odrzucenia niż bolesnej świadomości własnego tchórzostwa.

Pranie suszyło się na słońcu, a Annie, nakarmiona i przebrana, zażywała właśnie popołudniowej drzemki, więc Rose ruszyła na poszukiwanie kolejnego zajęcia. Sprzątaniem zajmowali się Crank i Peg i żaden nie pozwalał jej tknąć szczotki ani zmyć choćby jednego naczynia.

- Pozbieraj jeszcze trochę tych kwiatów, które tak lubisz - zaproponował Crank. - Udekorowany nimi stół wygląda o wiele ładniej.

- Wykopałam wszystkie kwiaty w zasięgu wzroku i zasadziłam wokół domu. Wszystkie zmarniały - powiedziała takim tonem, jakby oskarżała starego kucharza o sabotowanie jej wysiłków.

Nie ukrywała, że nie ma pojęcia o ogrodnictwie, była jednak gotowa się nauczyć. Bóg jeden wie, że temu domowi nie zaszkodziłoby trochę zieleni, zwłaszcza gdyby

ona postanowiła upomnieć się o swoje prawa jako żona Matta. A wzięwszy pod uwagę to, że nie miała ani pieniędzy, ani żadnych widoków na przyszłość, być może będzie to najlepsze rozwiązanie bez względu na to, czy Mattowi się to spodoba, czy nie.

Tak, wreszcie się zdecydowała. Dość wahań. Dość wymówek. Najwyższy czas położyć kres tej komedii. Wciąż zapiaszczona i owiana wiatrem po porannym wysiłku, ruszyła w głąb korytarza, po czym energicznie zapukała do drzwi gabinetu.

Trzymając kciuki, zamknęła oczy i w myślach odmówiła modlitwę. Proszę, uczyn tak, żeby mnie zechciał. Proszę, pozwól, by tym razem wszystko poszło dobrze. Jeśli nie dla mnie, to przynajmniej dla tego dziecka. Annie mnie potrzebuje.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążyła pomyśleć „Amen” i rozprostować palce.

- Tak? - rozległ się niecierpliwy głos.

Matt w rękę trzymał list. Jego włosy aż się prosiły o przycięcie. Koszula z cienkiego lnu, którą własnoręcznie uprała, była rozpięta prawie do pasa. Utkwiła wzrok w ciemnych włosach porastających pierś i przełknęła ślinę, usiłując sobie przypomnieć, po co przyszła.

- Chciałabym pożyczyć wóz, naturalnie jeśli nie masz nic przeciwko temu. Annie śpi, więc skorzystałabym z okazji i wybrałabym się do wioski po nasiona.

Ty głupia kobieto, znowu to robisz!

- Nasiona - powtórzył, jakby słyszał to słowo po raz pierwszy w życiu. Zauważyła, że Matt wpatruje się w jej dłoń, więc zażenowana rozplotła palce i ukryła ręce w fałdach spódnicy.

- Nasiona kwiatów. Mogłabym zasiać też jakieś warzywa - powiedziała niespokojnie, pograżając się jeszcze bardziej.

- Rozumiem. Myślisz, że sobie z nią poradzisz?

- Z kim?

- Z Angel.

- Och, powoziłam własną dwukółką. Nie wydaje mi się, żeby powożenie wozem ciągnionym przez muła było dużo trudniejsze. Poza tym tu chyba nie ma dużego ruchu.

- Ponieważ odniosła wrażenie, że Matt powątpiewa w jej umiejętności, wyprostowała się sztywno na całą długość metra siedemdziesięciu.

Zacisnął usta, nie spuszczać z niej badawczego wzroku. Rose z trudem przemogła się, żeby się nie odwrócić i nie uciec. Nawet więcej, miała ochotę krzyknąć. A przede wszystkim zapomnieć, że kiedykolwiek tu była.

Naturalnie tego nie zrobiła. Była przecież kobietą, która dotrzymuje danego słowa... prędzej czy później.

- Na piachu też może coś wyrosnąć. Cały wzgórek porastają drzewa, krzewy, winorośle i wszystkie możliwe gatunki polnych kwiatów. Temu domowi z pewnością przydałoby się trochę zieleni. -

Uświadamiając sobie, że znów traci odwagę, odwołała się do wojowniczości.

Patrzył na nią bez słowa, aż w ustach jej zaschło. Miała już wynieść się chyłkiem z gabinetu, kiedy przemówił:

- Rób, jak uważasz. Jeśli Bess nie potrzebuje wozu, ja nie mam nic przeciwko, o ile Annie na tym nie ucierpi.

- Dopóki tu jestem, Annie nie ma prawa się nic stać

- oświadczyła. - Bess jest w swoim pokoju. Czyta jakiś pamiętnik, który pożyczyła od pana Dixona.

- W takim razie wszystko ustalone. Rób, co uznasz za stosowne.

Gdyby poszła za jego radą, rzuciłaby w niego pierwszym lepszym ciężkim przedmiotem, który by jej się nawinął. A może wyciągnęłaby rękę i dotknęła jego zarośniętej szczęki, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jest taka twarda i nieustępliwa, na jaką wygląda.

Luther, który właśnie powrócił z wioski, zaprzągnął mulicę do wozu i wytłumaczył Rose, co należy zrobić, jeśli zwierzę będzie miało humory.

- Nie zawsze jest posłuszna. Czasami pogrąża się w marzeniach na jawie.

Nie jestem nowicjuską, chciała powiedzieć. Uczyłam się powozić w wieku dwunastu lat, na wózku ciągnionym przez kucyka, a kiedy skończyłam osiemnaście, dostałam własną dwukółkę.

Ponieważ jednak zdawała sobie sprawę, że krucha pewność siebie Luthera bardzo ucierpiała po przygodzie z Je-richem, słuchała w milczeniu, starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

- Dziękuję ci, Luther, bardzo mi pomogłeś - powiedziała z powagą. Czas zacząć podkreślać dzielącą ich różnicę wieku. Bądź co bądź, miała dwadzieścia cztery lata, a Luther skończył zaledwie dwadzieścia dwa.

Ona i Angel pokonały sześciokilometrową trasę bez żadnych niespodzianek, jeśli nie liczyć próby cierpliwości. Oczywiście nie mogło być mowy o żwawym kłusie. Sypki, drobny piach pozwalał zaledwie na mozolne posuwanie się do przodu, a po drodze przyszło im

się zмагаć z muchami i moskitami. Mimo kapelusza Rose spiekła się na raka, a odsłonięta skóra pokryła się ukąszeniami. Na domiar złego, kiedy już dotarła do wioski, skonstatowała, że nie ma tam czegoś takiego jak sklep.

Ani nawet targu. Posiwiwały rybak zajęty naprawą cienkiej sieci, rozwieszanej między dębami, wyjaśnił, że najbliższy sklep, zaopatrywany co tydzień przez statek frachtowy kursujący przez cieśninę, znajduje się w sąsiedniej wiosce, dalej na południe.

- Daleko stąd? - spytała.

- Pół dnia drogi. ^

- Przez cieśninę? - zdumiała się, bo pamiętała, że podróż na wyspę trwała wieczność.

- Do sklepu. Ja i moja kobieta wybieramy się tam za kilka dni. Jeśli pani czegoś potrzebuje, niech się pani nie kępuje. Luther albo Bess odbiorą rzeczy, kiedy przyjadą tu następnym razem.

Rose zaczerpnęła powietrza w płuca, bezwiednie podrapała miejsce po świeżym ukąszeniu i wyjaśniła, z czym przyjechała.

- Chciałam kupić nasiona kwiatów, wszystko, cokolwiek tu rośnie. Może też marchwi i sałaty.

Rybak przerwał żucie tytoniu i uśmiechnął się. W każdym razie zmarszczki przecinające jego twarz stały się wyraźniejsze.

- Cóż, nie słyszałem, żeby ktoś siał o tej porze roku, ale myślę, że moja żona mogłaby odstąpić pani trochę sadzonek kapusty ogrodowej.

W ciągu następnej półgodziny Rose spotkała trzy ko-

biety i jeszcze kilku rybaków. Mieszkańcy wioski pozdrawiali ją nieśmiało i pytali o pannę Bess.

- Nie widywałam jej tu ostatnio - zauważyła jedna z kobiet,

- Zdaje się, że prowadzi jakieś badania - odparła z wahaniem Rose, która nie miała pojęcia, czy czytanie czyjegoś pamiętnika można uznać za badanie czy wścibstwo.

Godzinę później skierowała się w drogę powrotną, z cennym węzełkiem nasion, odnózek i sadzonek, dwoma listami i nadzwyczajną wieścią, że syn miejscowego urzędnika przyjeżdża na lato do domu i wszystkie dziewczęta są tym podekscytowane.

Mniej więcej w połowie drogi Angel popadła w jeden z tych swoich snów na jawie, przed którymi ostrzegał ją Luther. Przynajmniej był to jedyny powód, jaki Rose przyszedł do głowy, kiedy głupie zwierzę nagle stanęło na samym środku traktu.

Rose cmoknęła i pociągnęła za lejce. Czekwała przez chwilę z nadzieją, że palące słońce zmusi Angel do **działania**. Kto przy zdrowych zmysłach chciałby przebywać na słońcu w taki dzień jak ten, kiedy żar parował z ziemi, tworząc piaskowe wiry?

- Angel, jeśli zechcesz obudzić się i ruszyć w drogę, wynagrodzę ci to. - Ciekawe, czy zostały jeszcze jakieś suszone jabłka? - Co powiesz na parę łyków chłodnej wody? I na trochę cienia? Akurat jak dojedziemy do domu, wschodnia ściana stajni znajdzie się w cieniu.

To głupie stworzenie nawet nie skubało trawy, po prostu stało i już. Skoro, autorytet zdał się na nic, może drobne przekupstwo...

Z wahaniem zsunęła się z twardego siedzenia. Bujna wysoka trawa od strony cieśniny wyglądała obiecująco. W każdym razie była zielona. Rose stała przez chwilę pośrodku porytej koleinami drogi, przypatrując się z rezerwą gęstej kępie opuncji. Przeżyła już niejedno niezbyt przyjemne spotkanie z ich dokuczliwymi kolcami.

Szum fal dobiegający zza wydm mógłby podziałać na nią kojąco, gdyby nie ochryply śmiech mew i bzyczenie wszechobecnych moskitów.

Z przekleństwem, czego nauczyła się od Bess, odpędziła wstrętą, zieloną muchę, która zamierzała usiąść jej na szyi, i przeszła wzrokiem senną mulicę.

- Ostrzegam cię, ty głupi zwierzaku, że nigdy ci tego nie wybaczę. Twój kapitan pomyśli, że to przeze mnie, ale my obie wiemy, kogo należy za to winić, prawda?

Pamiętając o planowanym przekupstwie, uniosła spódnice i ostrożnie, starając się unikać kłujących chwastów i dłuższych kolców kaktusów, ruszyła w kierunku bagien nad zatoką, gdzie trawa, choć ostra i kłująca, była przynajmniej zielona.

Później nie potrafiła sobie przypomnieć, co ją ostrzegło. Czy był to odgłos cichego syku, czy charakterystyczne mrowienie karku. Jeszcze kilka kroków i by go nadepnęła.

Zdjęta przerażeniem, wpatrywała się w potężnego, cętkowanego, brązowego węża, którego pysk przypominający dziób otworzył się, ukazując mnóstwo zębów.

O mój Boże, o mój Boże.

Rose zaczęła się powolutku wycofywać. Żeby tylko udało jej się dotrzeć do wozu i wspiąć na siedzenie...

- Angel - zawołała łagodnie, nie odwracając głowy

szykuj się do drogi. - Spódnica raz czy dwa zaczepiła po drodze o jakąś przeszkodę, ale Rose kontynuowała odwrót, ani na chwilę nie odrywając wzroku od węża. Na szczęście się nie poruszył. Pozostał na miejscu, zwinięty w literę S, z szeroko otwartym groźnym pyskiem, którym wysyczał ostrzeżenie.

Nagle dobiegł do niej inny dźwięk, który w końcu skłonił ją do spojrzenia przez ramię. Aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Angel, wracaj natychmiast! - Ostatni raz spojrzała na węża, po czym odwróciła się i zaczęła biec. Angel chyba uznała, że to jakaś zabawa, bo ruszyła klusem przed siebie.

- Wracaj natychmiast! - Im głośniej krzyczała i im szybciej biegła, tym szybciej klusowała przekłeta mulica. Wóz podskakiwał na wybojach, a cenne odnóżki i sadzonki Rose jedna po drugiej lądowały w piachu.

Wkrótce wyczerpała niezbyt bogaty repertuar przekleństw. O wiele więcej czasu zajęło jej zbieranie sadzonek, które już zdążyły zwiędnąć i na pewno zmarnieją, zanim zdoła na nowo umieścić je w ziemi.

W powietrzu krążyły roje much. Z nieba lał się żar. Rose zakleła, rozpięła bluzkę aż do bielizny i ściągnęła kapelusz, używając go do odpędzania much i moskitów lgnących do jej spoconej twarzy. Jak daleko odjechały od wioski?

A co ważniejsze, jak długo przyjdzie jej iść pieszo?

Za sobą zostawiła gęsty nadmorski las, w którym znalazło schronienie kilka chat tworzących wioskę, a który z tej odległości migotał szarością, spowity wszechobecną

słoną mgłą. Daleko na horyzoncie dostrzegła niewyraźne zarysy zabudowań Powers Point. Szła już prawie godzinę, kiedy w oddali spostrzegła jakiś ruch. Już wcześniej zdjęła halkę i zrobiła z niej węzełek na nasiona i sadzonki, skrupulatnie wyzbierane na drodze, obawiając się, że ciepło rąk równie skutecznie przekreśli szanse ich przetrwania, jak leżenie na piachu w promieniach palącego słońca.

Jednak pomysł powrotu do wioski i proszenia o więcej wcale jej się nie spodobał. Zwolniła kroku i zmrużyła oczy przed oślepiającym słońcem. Czy to...? Czyżby Angel zmieniła zdanie? Bardziej prawdopodobne, że zgłupiała do reszty. Zgubiła drogę i zawróciła. Głupia bestia. Złośliwe, szalone zwierzę.

- Nigdy nie doczekasz się ode mnie żadnego jabłka, masz na to moje słowo - mruknęła Rose.

Przynajmniej wiedziała, że nie zablądziła. Na wyspie tak wąskiej, że można było stanąć pośrodku i rzucić kamieniem na lewo czy na prawo, by wpadł do wody, wystarczyło dostatecznie długo iść, by dotrzeć do celu. Może nie tego, który się miało na myśli, ale podczas burzy każdy port jest dobry. To, co, jak się jej wydawało, rozpoznała z daleka, przybliżyło się. Nie była to Angel ciągnąca wóz, ale...

Matt?

- Och, nie, proszę, tylko nie to. - Potrząsnęła głową, nie chcąc uwierzyć własnym oczom, gdy z drgającego żaru wyłonił się Matt, jadący na jednej ze swoich klaczy.

Stanąła jak wryta, z ramionami opuszczonymi na znak porażki i czekała na to, co miało nastąpić. Mógł na nią

krzyczeć, ile wlezie, ale jeśli nią potrząśnie - jeśli dotknie jej choćby jednym palcem, nie pozostanie mu dłużna. Uderzy go węzełkiem z sadzonkami kapusty ogrodowej.

- Postanowiłaś wracać pieszo? Wążąc słowa, odparła:

- To niezupełnie mój pomysł.

- Domyślam się.

Równie dobrze mógłby nazwać ją głupią czy posłużyć się tymi wszystkimi określeniami, których użyła sama w stosunku do siebie. Nie mówiąc nic więcej, zeskoczył z konia, wyjął obszyty falbankami węzełek z jej ręki i przywiązał do siodła. Potem podsadził ją na konia, co było dość niezręczne, a sam wskoczył za nią. Rose nie byłaby w stanie się odezwać, nawet gdyby jej życie od tego zależało.

Matt ujął wodze. Kiedy przycisnął przy tym ręce do jej boków, wstrzymała oddech, nie była jednak dość szybka. Pachniał koniem, ługowym mydłem i lnem wysuszonym w słońcu. Choć była ogromnie zakłopotana, znany zapach podziałał na nią niezwykle uspokajająco.

Miała smutne wrażenie, że ona sama roztacza woń potu i strachu. I wstydu.

Tuż przy plecach czuła powolne, rytmiczne bicie serca Matta. Wyprostowała się i spróbowała odsunąć, ale nie było to łatwe, a siedząc bokiem, na pochyłych łopatkach klaczy, nie mogła wytrwać w tej pozycji zbyt długo. Matt przyciągnął ją na powrót do siebie. Wciąż bez słowa. W koncu prawa ciężkości wzięły górę. Oparła się o niego i zamknęła oczy, przyznając się tym samym do porażki.

Nareszcie jestem bezpieczna, pomyślała.

Bezpieczna?

Podczas gdy gorąco płynące od jego ciała przenikało przez cienkie warstwy materiału, czuła różne rzeczy, ale poczucie bezpieczeństwa na pewno do nich nie należało.

Kiedy wjechali na podwórze, Luther smarował koła wozu. Słyszając tętent konia, uniósł głowę, pokazał zęby w uśmiechu, zarumienił się i wrócił do pracy.

Nikt nie powiedział słowa. Rose pomyślała, że to absurdalne. Wzięła głęboki oddech i spytała ze sztucznym ożywieniem:

- Jak się domyśliłeś, że mam kłopot?

Matt zsiadł z konia, jyciągnął ręce i postawił ją na ziemi.

- Wóz wrócił. Ty nie.

No, tak, oczywiście. Nie było w tym nic tajemniczego. Zdecydowana wycofać się tak godnie, jak na to pozwalały okoliczności, nasunęła kapelusz na głowę, zrobiła krok, wciąż z uśmiechem przyklejonym do twarzy i poczuła, że kolana się pod nią uginają.

Matt zaklął pod nosem i złapał ją, zanim upadła na ziemię. Zmuszona przytrzymać się go, aż wróci do równowagi, poczuła na brzuchu dotyk czegoś twardego.

- Och, to równie trudne jak schodzenie z tego przeklętego statku.

Klamra od jego pasa? A może...

- Litości - szepnęła.

Usłyszała, jak gwałtownie wciągnął powietrze. Odsunęła się szybko, odwróciła, ale chwycił ją za ramię.

- Proszę - jęknęła.

- Nie ruszaj się - burknął. Ku jej zdziwieniu ukląkł

przed nią. Wpatrywała się w ezubek jego głowy jak odrętwiąła. Nie nosił kapelusza. Gęste, potargane włosy były czarne jak smoła, ale w popołudniowym słońcu połyskiwały w nich mahoniowe światelka. Tak pragnęła ich dotknąć, że aż drżały jej palce. Wtedy uniósł jej spódnicę.

Wyszarpnęła mu ją z ręki i gwałtownie opuściła, zaszokowana do szpiku kości. Robert robił to w biały dzień -nienawidziła tego!

Ale tutaj, na podwórzu, na oczach wszystkich?

Ten mężczyzna był szalony.

- Przestań!

- Do diabła, stój spokojnie, bo te dokuczliwe kolce dostaną ci się do majtek. - Ostrożnie usunął kolec opuncji z jej spódnicy, wrzucił go do wiadra i sięgnął po następny.

Rose zamknęła oczy. Czowała, że twarz jej płonie. Kiedy musnął dłonią jej łydkę, wydało jej się, że dotknęła gorącego pieca.

Gdy skończył, dno wiadra pokryła gruba warstwa kolców opuncji i ościstych traw.

- Luther - ryknął - spal te świństwa. Odwrócił się do Rose ze złośliwym uśmiechem.

- W przeciwnym razie podwórze będzie ich pełne. A może tego chcesz? Żeby całą posiadłość porosło zielsko?

Udała, że nie dostrzega kpiny, i odparła z całą godnością, na jaką mogła się zdobyć:

- Dziękuję bardzo.

- Proszę bardzo. - Kiedy przychodziło to drwin, ten mężczyzna był niezrównanym mistrzem. Teraz wiedziała, dlaczego kobiety noszą gorsety i kilka warstw halek,

nawet w największy upał. Może nie czułaby się taka bezbronna, gdyby nie stała tu na wpół naga, zlaną potem, a twarz nie paliła jej od słońca, bo na drodze zdjęła kapelusz, by pot nie ściekał jej z czoła do oczu. Spódnica pewnie przyklejała się do wilgotnych łydek, ale Rose nie odważyła się spojrzeć w dół, by to sprawdzić.

- Trochę za gorąco, prawda? - zauważył Luther, który podszedł niespiesznie ku nim, by odprowadzić konia.

- Zaczekaj. - Matt wyciągnął rękę i odwiązał od siodła halkę Rose ze zmaltretowanym kłębkiem sadzonek. - Zapomniałaś o tym.

Twarz znów poczerwieniała jej z zakłopotania, więc chwyciła węzełek, zgarnęła spódnice i z wysiłkiem ruszyła do domu. To mogło przydarzyć się każdemu, powiedziała sobie. Nieposłuszna mulica, wspólna przejażdżka konna. Zetknięcie z męskim ciałem, gdy Matt pomagał jej zsiąść z konia, świadomość jego podniecenia...

Albo kłamry paska, wciąż nie była pewna, co to mogło być, bo cała się trzęsła pod wpływem silnego wzburzenia. A było to, zanim jeszcze podniósł jej spódnice.

- Powiedz Crankowi, że zaraz przyjdę na kolację, tylko oporządź Jericha - zawołał za nią.

Nie zatrzymując się, skinęła głową i weszła na schodki. Nie odezwałaby się, nawet gdyby jej życie od tego zależało.

Tego wieczoru, zdecydowana zapomnieć o całej kłopotliwej sprawie, pożyczyła od Cranka katalog sprzedaży wysyłkowej. Przydałaby jej się para płóciennych bucików na grubej podeszwie i lekki słomkowy kapelusz, ale nawet

dwa dolary i dwadzieścia pięć centów za buty i dolar za kapelusz przekraczały jej skromne środki. Przeszła do działu dla niemowląt i dzieci. Annie miała niewiele ubranek, a w dodatku większość z nich była za mała i używana, bo część pochodziła od kobiet z wioski.

Rose ubierała ją w batystowe koszulki i czepeczki z najdelikatniejszym francuskim haftem, gdyby mogła sobie na to pozwolić, tak mocno ją kochała. Choć puste miejsce w jej sercu miało pozostać takim na zawsze, dzięki Annie ten ból nie dokuczał jej tak bardzo jak kiedyś. Teraz nie myślała bez przerwy o tym, jakie to uczucie budzić się z ciałem przypominającym jedną wielką ranę tylko po to, by usłyszeć, że dziecko, które nosiła w łonie, umarło, nie mając najmniejszej szansy na przeżycie. Bardzo się bała, że straci również Annie. Jedno z całą pewnością wiedziała o swoim nowym mężu - we wszystkich działaniach kierował się honorem i uczciwością. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ośmieliłby się go okłamać, nawet Bess.

Cóż... może Bess mogła sobie pozwolić na naginanie prawdy do swoich celów, niemniej jednak Rose była przekonana, że gdy ona wyzna swoje grzechy, wszystko się skończy. Matt ją odprawi. A najgorsza była świadomość, że choć bardzo cierpiała na myśl o utracie Annie, nie tej straty obawiała się najbardziej.

Jak to możliwe, zamyśliła się, wpatrzona niewidzącym wzrokiem w katalog, że jeden zwyczajny błąd urósł do takich rozmiarów, iż wpłynął na całe jej życie? Gdyby po tym pospiesznym ślubie nie obleciał jej strach, Matt byłby

teraz jej mężem w całym znaczeniu tego słowa. I znów wypłynąłby na morze, zostawiając ją tu z Annie. Byłaby zadowolona z takiego obrotu spraw.

Ale ona straciła głowę, zrobiła coś niewiarygodnie głupiego i teraz była zmuszona ponieść konsekwencje.

Następnego ranka jeszcze raz zebrała się na odwagę i zapukała do drzwi sypialni Bess.

- Nie przeszkadzam? Muszę z tobą porozmawiać. - Tym razem nie dała się zbyć kolejną wymówką. -

Nie, nie później. Teraz.

- Jadłaś już śniadanie^

- Nie jestem głodna.

- Zapomniał posolić ciasto...

- Bess, wysłuchaj mnie, proszę. Na pewno ucieszy cię, że postanowiłam wyznać Mattowi prawdę.

Oczywiście wezmę winę na siebie i powiem mu, że cała ta sprawa to od początku do końca mój pomysł. Jeśli mnie odprawi, chciałabym wracać z tobą. Na samą myśl o podróży statkiem w pojedynkę...

Bess wskazała jej krzesło. Mimo tak wczesnej pory jej maszyna do pisania była odkryta, a na stole piętrzył się stosik kartek, przytrzymywany szklanym przyciskiem, żeby nie uleciały z wiatrem wpadającym przez szeroko otwarte okno.

- Wczoraj, kiedy wybrałaś się na tę swoją wycieczkę, przyplłynął tu z wizytą Dick Dixon - oznajmiła starsza pani, nie dopuszczając Rose do głosu. - Powiedział, że przyjeżdża jego syn.

- Słyszałam. Miałam ci o tym powiedzieć.

- Poznałam go ubiegłego lata. Przystojny młody człowiek, no i ma dobrą pracę. Mogłaś trafić gorzej, Rose.

Rose zamrugła, zdezorientowana.

- Nie rozumiem?

- Słyszałaś, co powiedziałam.

- Och, na litość boską, Bess, to nie jest jedna z tych twoich historii. - Rose odetchnęła głęboko i podjęła: - Posłuchaj mnie. Zamierzam powiedzieć Mattowi prawdę, i tyle.

- Ty jesteś młodą wdową, on przystojnym mężczyzną

- na twoim miejscu zastanowiłabym się nad tym.

Albo spędziłam zbyt wiele czasu na dworze bez kapelusza, albo tej biednej kobiecie udało się wreszcie zamarynować mózg w brandy.

- Chwileczkę - powiedziała Rose powoli, ze spokojem. - Obie wiemy, że mam męża, choć on o tym nie wie.

- Przycisnęła dłonie do pulsujących skroni. - W każdym razie wie, że ma żonę, choć nie ma pojęcia, kim ona jest. To znaczy...

- Chciałam tylko, żebyś wiedziała, iż masz wybór, gdyby sprawy nie ułożyły się po twojej myśli. Nie chodzi o to, że jest ku temu jakiś powód, rozumiesz, ale wciąż nie jest za późno, żeby się wycofać.

Matt to porządny człowiek. Na pewno cię wysłucha. Tylko od ciebie zależy, żeby cię zrozumiał.

- Zrozumiał co? Że jestem tchórzem, w dodatku słabym na umyśle? - Rose zwiesiła ramiona. Jak mogła skłonić kogokolwiek, by ją zrozumiał, jeśli sama tego nie potrafiła?

W gabinecie go nie było. Nie ośmieliła się zapukać do drzwi jego sypialni. Zawstydzona faktem, że z taką ulgą przyjęła odroczenie wykonania wyroku, wykapała Annie, ubrała ją i dała jej pół butelki mleka.

- Gu gu - zaśmiało się dziecko, wymachując energicznie piąstkami.

- Dobrze, kochanie, zaraz będzie gu gu.

Kiedy tylko weszła do kuchni, Crank zaczął napełniać jej talerz.

- Och, proszę... dla mnie tylko kawa, dziękuję. Postawił ciężko talerz na stole przed nią.

- Bez łaski, jak mówi Biblia.

Nie chciała ranić jego uczuć, więc zmusiła się do przełknięcia kilku kęsów.

- Naprawdę nie jestem głodna - powiedziała przepraszająco.

- Znowu zapomniałem posolić, tak? Mężczyzna w moim wieku ma głowę za bardzo nabitą wydarzeniami z przeszłości, żeby pamiętać o każdym ziarnku soli.

Cokolwiek to miało znaczyć, Rose wyciągnęła wnioski i wmusiła w siebie jeszcze jeden kawałek zimnej, tłustej ryby, podczas gdy Annie wymachiwała piąstkami oblepionymi owsianką.

- Popilnujesz jej trochę? - spytała, ostrożnie kładąc nóż i widelec w poprzek talerza.

- Nauczę ją kolejnej z moich ulubionych piosenek. Jeszcze jedna sprośna ballada, pomyślała Rose.

Dzięki

Bogu, Annie jest za mała, by rozumieć słowa. Zdawała sobie sprawę, że będzie jej ich wszystkich bardzo brakować. Będzie cierpiała tak samo jak nad utratą rodziny. Naj-

pierw rodzice, potem dziecko - Robert właściwie się nie liczył - a wreszcie babka. A teraz jeszcze to. Stanąwszy przed drzwiami gabinetu Matta po raz trzeci w ciągu dwudziestu czterech godzin, przyglądała włosy i rozprostowała zmarszczkę na spódnicy. Pukanie, w zamyśle śmiałe i odważne, było ledwie słyszalne.

Odchrząknęła i zawołała przez drzwi:

- Matthew? Chciałabym zamienić z tobą słówko, jeśli nie jesteś zbyt zajęty. Można?

Drzwi otworzyły się gwałtownie, zanim zdążyła stracić odwagę i uciec. Matt miał na sobie kolejną z upranych przez nią koszul, tym razem tak cienką, że przez materiał widziała wyraźnie ciemne, kręcone włosy porastające tors.

Bez słowa cofnął się i gestem zaprosił ją do środka. Spróbowała odgadnąć jego nastrój, ale jej się nie udało. Łatwiej byłoby dostrzec ciemną stronę księżyca.

- Usiądź. - Wskazał krzesło z oparciem. - I tak zamierzałem z tobą porozmawiać.

Poczuła się słaba i zalękniona. On wie, pomyślała. Bess już mu powiedziała.

Przez kilka długich chwil panowało milczenie. Zachowywali się zupełnie jak przeciwnicy przed bitwą; każde wykorzystywało ciszę na rozpoznanie sił przeciwnika, czekając, aż złamie się pierwszy.

- Usiądź. - Matt ponownie wskazał jej krzesło. W ten sposób Rose wygrała pierwszą rundę. Jej myśli goniły jedna drugą, ale język po prostu odmówił posłuszeństwa.

Uniósł brwi.

Zrób to! Zrób to teraz! - nakazała sobie w duchu. Najgorsze co on może uczynić, to wsadzić cię na ten straszny pocztowy statek i odesłać do Norfolk.

Ku jej konsternacji to nie perspektywa choroby morskiej wzbudziła w niej największe przerażenie. Przez otwarte okno napłynęło ciepłe powietrze, niosąc ze sobą zapach soli i, nieco słabiej wyczuwalny, zapach koni. A jeszcze bliżej wyczuwała wyraźną woń mydła do golenia, książek i czegoś nęcąco męskiego.

Zamknęła oczy i rzuciła się na głęboką wodę w obawie, że za chwilę do reszty straci odwagę.

- Mogę wszystko wyjaśnić... - wypaliła.

Matt odezwał się w tym samym momencie, zagłuszając jej słowa własnymi.

- To zajmie najwyżej minutę... - Cały czas badawczo jej się przyglądał, co aż za dobrze uświadomiło jej, że ma niedbale upięte włosy, źle skrojoną sukienkę i twarz spaloną słońcem. W każdym razie, pomyślała, rozpaczliwie walcząc o zachowanie resztek godności, nie można było już powiedzieć, że ma ziemistą cerę.

Wpatrywała się w półki pełne książek, w miedziany przyrząd stojący na biurku, sterty listów, z których część nie została nawet otwarta. Patrzyła na wszystko, byle nie na Matta.

- Czy Bess ci płaci? Podniosła głowę.

- Co takiego?

- Słyszałaś, o co pytałem.

Do zmieszania dołączyła się ulga. Co Bess mu powiedziała?

- No jak? - ponaglał.

- Nie, oczywiście, że nie. - Zła odpowiedź. Dostrzegła swój błąd i spróbowała go naprawić. - To znaczy, teraz kiedy tu jesteśmy, nie pracuję jako sekretarka, a...

- Bess nie potrzebuje płatnej towarzyszki - dokończył za nią Matt.

Jak, u licha, mogła na to odpowiedzieć bez zdradzania intrygi? Musiała przeprowadzić całą sprawę umiejętnie, wyjaśnić krok po kroku, jak do tego doszło, jak to się stało, że go oszukała, bo inaczej on tego nigdy nie zrozumie.

- Cóż, widzisz... - zaczęła z wahaniem.

- Dam ci taką samą stawkę jak silnemu i zdrowemu marynarzowi. Wstecz też **T**- dodał, gdy spostrzegł, że ją zaskoczył.

- Silnemu i zdrowemu marynarzowi? Och, nie... przykro mi, ale...

- Zawsze spłacam swoje długi. Od innych oczekuję tego samego.

- Ale ty nie jesteś mi nic winien. - Czyż nie tak? Jej zdaniem było dokładnie na odwrót.

- Opiekujesz się Annie.

- Tak, ale kocham...

- Już mówiłem, że spłacam swoje długi.

Bess, ta niegodziwa kobieta, musiała mu powiedzieć. Teraz oboje igrali z nią jak dwa koty z myszą. Na pewno z tego powodu Bess została tu o wiele dłużej, niż planowała.

Rose poczuła się oszukana. Zdawała sobie sprawę, że Bess uwielbia wsadzać kij w mrowisko tylko po to, by zrobić notatki i dopisać kolejny akapit do historii, którą

właśnie obmyślała. Była przebiegła i zdolna niemal do wszystkiego, o czym Rose osobiście się przekonała, ale Matt... może to dziwne, jednak spodziewała się po nim czegoś lepszego.

- Najbliższy bank jest w Manteo, a w wiosce nie ma na co wydawać pieniędzy, ale dostaniesz je, kiedy będziesz wyjeżdżać.

A to już inna sprawa. Kiedy będzie wyjeżdżać. Co bez wątpienia nastąpi, ponieważ, z ich udziałem czy bez, pograżyła się po uszy w najgęstszym z możliwych bagien.

Zaciskając palce, żeby nie pokazać, jak drżą, zaczęła:

- Tak, cóż... nie za bardzo się znam na obowiązkach marynarzy, ale ty postąpisz, jak uznasz za stosowne, tak myślę.

Czy to tylko jej bujna wyobraźnia, czy też w głębi jego oczu dostrzegła iskierki rozbawienia?

- Tak, szanowna pani, zwykle tak robię - potwierdził i Rose była już pewna, że nie wyobraziła sobie jego krzywego uśmiechu, choć trwał zaledwie przez kilka sekund.

Jakimś cudem udało jej się uciec. Nawet pamiętała o tym, żeby oddychać.

Co więcej, pamiętała nawet o tym, że niczego nie rozwiązała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Matt dopadł Bess w chwili, gdy zakładała kapelusz i rękawiczki, zamierzając udać się do wioski.

- Gdzie ona, do diabła, jest?

- Gdzie, do diabła, jest kto? - odpowiedziała pytaniem na pytanie starsza pani, nawet nie mrugnawszy okiem.

- Nie baw się ze mną w słowne gierki, zawsze poznaję, kiedy coś knujesz. Popełniłeś błąd, a teraz boisz się do tego przyznać, mam rację?

- Nie powiedziałam ci, że Dick Dixon przygotowuje się do przejścia na emeryturę? Parę dni temu pytał mnie, jakie masz plany na przyszłość.

- Psiakrew, Bess, nie próbuj zmieniać tematu. Gdzie, do diabła, jest moja żona?

- Cóż, nie stajesz się młodszy, przecież wiesz. Przedstawiciel władzy to poważna funkcja w...

- Bess - mruknął ostrzegawczo.

- No, dobrze. Siadaj, chłopcze. Nie mogę myśleć, kiedy wznosisz się nade mną jak jakaś cholerna latarnia morska.

Chłopcze. Pamiętała, jak zaleźć mu za skórę.

- Bess, daję ci szansę uspokojenia sumienia. Popełniłeś błąd w ocenie tej Magruder, prawda? Przyznaj to. Zamiast wzoru wszelkich cnót, który opisywałaś w listach do

mnie, okazała się taka sama jak cała reszta. Jej zobowiązanie nie było warte papieru, na którym je spisano. Nie poznałaby się na uczciwości, gdyby ta nagle stanęła dęba i kopnęła ją w tyłek.

- Na uczciwości? - Bess zrobiła minę niewiniątka. Musiało się za tym coś kryć. Jeśli chodzi o wykręcanie kota ogonem, ciotka nie miała sobie równej.

Matt przestał już liczyć na panią Magruder i ustalił własny tryb postępowania. Zaczął od tego, że zatrudnił Rose jako opiekunkę do Annie. W drodze na północ zamierzał odnaleźć tego prawnika, przyjaciela Bess, i zmusić go do anulowania małżeństwa. Ten cały szatański plan od samego początku był skazany na niepowodzenie. Matt winił Bess o to, że go uknuła, a siebie, że dał się nabrać. Bagby odpowiadał za prawną stronę całego przedsięwzięcia. Chcąc uniknąć przykrych niespodzianek w przyszłości, Matt zamierzał zapłacić mu za unieważnienie tego związku. Tyle, ile będzie trzeba. Ale najpierw musiał wyjaśnić wszystko do końca.

- Powiedz mi, Bess, czy w ogóle istnieje Augusta Magruder, czy obmyśliłaś ten cały plan małżeństwa przez pełnomocnika, żebyś nie musiała tu przyjeżdżać i pomagać mi w opiece nad Annie?

- Zaraz, zaraz, przecież tu jestem. Mogłabym teraz pływać na statku wycieczkowym w asyście fotografa i ornitologa po Albermarle i Chesapeake, a tymczasem tkwię tutaj i robię, co mogę, żeby się na coś przydać.

Było to tak jawnie przewrotne, że Mattowi pozostało tylko potrząsnąć głową z podziwu nad chytrnością ciotki.

- Przydać się? A to w jaki sposób? Przekupując moją

załogę, żeby zaopatrywali cię w brandy? Stukając na tej swojej przeklętej maszynie do pisania i nie dając im spać przez pół nocy? Robiąc...

- Ależ, Matthew, jesteś moim jedynym krewnym, synem mego rodzzonego brata. Spójrz na to z innej strony - tak długo jak potrafię zarobić parę centów swoją pisaniną, nie muszę być dla ciebie ciężarem na stare lata.

- Na stare lata, myślałby kto - mruknął, doskonale wiedząc, że ciotka się nie obrazi. Sama potrafiła przeklinać jak pijany marynarz, jeśli jej zdaniem sytuacja tego wymagała. W tej chwili bardziej odpowiadało jej udawanie męczennicy, poświęcającej własną wygodę dla dobra kogoś, kto miał mniej od niej szczęścia.

- Daj spokój, Bess. I tak nie dam się na to nabrać. Nie mam pojęcia, dlaczego tu jesteś, ale z pewnością nie dla mego dobra. Czyżbyś nakłoniła swego wydawcę, żeby zamówił u ciebie kolejną serię artykułów o pumach pożerających jelenie i pytonach duszących gęsi na Outer Banks? Ten kawałek, który napisałaś zeszłego lata, to największa bzdura, przez jaką kiedykolwiek spróbowałem przebrnąć.

- Przecież to ty opowiedziałeś mi, że w tutejszych lasach są dziki.

- A ty nie potrafisz odróżnić dzika od pumy? Do diabła, Bess, one nawet nie należą do tej samej rodziny.

- Dziki mogą być równie groźne jak pumy. Miałam okazję zobaczyć kiel jednego z tych stworzeń i pozwól, że powiem, iż widywałam całkiem dorosłe słonie z mniej imponującymi kłami.

- A poza tym jedno i drugie mają cztery nogi, prawda? A co z pytonem? Rysunek w czasopiśmie przedstawiał

olbrzymiego węża owiniętego wokół talii półnagiej kobiety i wciągającego ją w bagno. Czy tak wyglądała scena, którą opisałaś rysownikowi?

- Cóż, artyści, jako jednostki twórcze i tak dalej, pozwalają sobie na pewne niewielkie odstępstwa od prawdy

- to się nazywa swoboda twórcza. Ja sama z tego korzystam, od czasu do czasu. Poza tym na własne oczy widywałam groźne węże właśnie tutaj, w Powers Point. Skoro przy tym jesteśmy, Rose...

Matt niecierpliwie przeciął dłonią powietrze.

- Nie mówmy o wężach, nie mówmy o Rose. Chcę wiedzieć, czy kiedykolwiek widziałas moją żonę. A przede wszystkim, czy ja w ogóle mam żonę? Może należy do tej samej kategorii co te twoje dzikie zwierzęta?

- Cóż, masz żonę, zaślubioną zgodnie z prawem. Na własne oczy widziałam, jak podpisywała dokumenty.

- A może podpisałaś je za nią - mruknął pod nosem.

- Ile jej zapłaciłaś?

- Co takiego?

- Wysłałem ci czek na pokrycie kosztów jej podróży do Point i na ewentualne spłacenie jej długów. Pisałaś mi, że to wdowa, której bardzo źle się powodzi, i że musiałaś pożyczyć jej pieniądze na życie.

- Cóż, tak właśnie jest... to znaczy było i jestem pewna...

Bess obserwowała, jak muskularne ramiona Matta napinają się, a w skroni pulsuje tętno. Umiejętność panowania nad sobą zawsze wzbudzała w niej podziw. Było to dla niej niezbitym dowodem siły, a bratanek był silny, bez wątplenia. Silne ciało, silna wola. Godny przeciwnik.

- Przyznaj, Bess. Ta kobieta oszukała cię i uciekła, więc nasza umowa straciła ważność.
- Zaraz, zaraz, nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany. Spytamy Horace' a o...
- To kolejna sprawa. Twój przyjaciel prawnik także znikł z powierzchni ziemi. A może ta parka uciekła razem? Moja żona i twój prawnik?

Bess pociągnęła za zwisającą nitkę rękawiczki do powożenia. Opowiadanie naprawdę dobrej historii zawsze wiązało się z pewnym ryzykiem. Cała rzecz polegała na ' tym, żeby zbliżyć się do prawdy na tyle, na ile się da, a jednocześnie nie zamykać żadnej możliwości rozwoju wypadków. Starsza pani była przekonana, że Matt i Rose pasują do siebie, a skoro Rose zamieszka tu jako jego prawowita żona, rzadkie wizyty jej samej staną się znacznie przyjemniejsze. Dwaj starzy mężczyźni robili wprawdzie co w ich mocy, ale ostatnio nie wychodziło im to najlepiej, delikatnie mówiąc.

- Cóż, Horace, zdaje się, wspominał, że zamierza wyruszyć w podróż. - Ten tchórz dał jej jasno do zrozumienia, że nie ma zamiaru siedzieć w domu i czekać, aż jej podopieczni przyjadą się zemścić.
- A więc on też jest w to zamieszany. Powiedz mi tylko dlaczego, Bess? Dla paru setek dolarów? Dla czegoś takiego nie warto zadawać sobie tyle trudu. - Wysłał czek, gdy Bess opisała tragiczną sytuację tamtej kobiety.

- Posłuchaj, Matthew...

- Zaplanowałaś wszystko od początku do końca, żeby to opisać, utrzymując, iż to prawdziwa historia, czyż nie? O tym, jak pewien kapitan, chwilowo na lądzie, wziął

sobie żonę, ale nie potrafił jej odnaleźć? Może wpadłaś na ten pomysł pod wpływem tego kretyńskiego wiersza?

- Nie potrafił jej zatrzymać, nie odnaleźć. To był Peter. Peter z wierszyka dla dzieci. Posłuchaj, Matthew...

- Jak, do diabła, miałbym zatrzymać tę przeklętą kobietę, kiedy nie mogę jej znaleźć, to po pierwsze? Co się stało, Bess? Czyżby podpisała dokumenty i uciekła z pieniędzmi? Czy tak? Jeśli tak było, dlaczego po prostu tego nie powiesz? Od czasu do czasu każdy z nas przecież myli się w ocenie innych, mnie też się to parę razy zdarzyło. Jeśli cię oszukała, potraktujmy to jako nauczkę na przyszłość i zacznijmy wszystko od początku.

- Skoro przy tym jesteśmy, Matthew, właśnie przyszedł mi do głowy doskonały pomysł...

- O, nie, dziękuję bardzo. Ty i ten twój prawnik dostarczyliście mi ich aż nadto. Dam ci jednak pewną radę. Chyba powinnaś zacząć się rozglądać za nową sekretarką. Może tym razem uda ci się znaleźć kogoś, kto potrafi pisać na tej przeklętej maszynie.

- Ale Rose...

- Zapomnij o Rose. Ona będzie pracować dla mnie.

- Ależ, Matt, Rose jest...

- Nie ma sensu dłużej się sprzeczać, ona już się na to zgodziła.

Bess otworzyła usta, ale jeszcze szybciej je zamknęła. Żeglowała zbyt blisko wiatru, by ryzykować zdradzenie się jakimś nieostrożnym słowem.

Dlaczego, do diabła, wpakowała się w tę historię? Po co jej to było? Miała przyzwoity dochód - choć naturalnie od przybytku głowa nie boli. Przecież mogła podzielić się

otrzymanymi pieniędzmi z Rose, umyć ręce od całej sprawy i powiedzieć Mattowi prawdę - że jego żonę ogarnęły wątpliwości. Pewnie nawet nie byłby na nią zły z powodu pieniędzy. Chłopak był twardy jak konserwa wołowa, ale nie był skąpcem. Wiedziała, że wyjął pieniądze z własnej kieszeni i dał je wdowie po szeregowym marynarzu, który zginął w portowej bójce. Powiedział tej nieszczęśliwej kobiecie, że to roczne wynagrodzenie jej męża, podczas gdy prawda wyglądała tak, że gość przepił i przegrał w karty każdego zarobionego centa, zostawiając biedaczkę na lodzie.

- Cóż, co do tego... - zaczęła, nie mając najmniejszego pojęcia, co właściwie zamierza powiedzieć.

Była przecież pisarką, a co za tym idzie, posiadała umiejętność wymyślania na poczekaniu najróżniejszych historii, zależnie od potrzeb. - Pani Magruder, zdaje się, że o tym wspominałam, ma jakiegoś krewnego czy krewną... mówiła, że to stara ciotka czy ktoś taki... i tak się złożyło, że w dniu ślubu otrzymała...

- Dość tych głupstw, Bess. Próbowalaś, nie udało ci się i dajmy już temu spokój.

- Chciałam tylko powiedzieć, że...

Bess dałaby wszystko, co miała, żeby znaleźć się z powrotem w domu, spokojnie popijać brandy i gawędzić z Horace'em. Tymczasem będzie zmuszona jakoś się wywinąć bez jego pomocy.

Powinna była wyjechać przed paru tygodniami, zamiast tkwić tutaj, czekając na rozwój wypadków.

Ciekawe, co by się stało, gdyby powiedziała chłopakowi, że jego żona zaraz po ślubie wpadła w popłoch, więc ona

postanowiła ją tu przywieźć, by obejrzała go sobie przed podjęciem ostatecznej decyzji. Skreśliłby jej kark i tyle. Żaden mężczyzna z odrobiną ambicji nie pozwoliłby na to, by umieszczono go na podwyższeniu i oglądano niczym medalowego byka.

Myśl, Bess, myśl! Wychodziłaś cało z gorszych opresji, więc chyba teraz się nie poddasz. Możesz się wycofać, ale możesz też spróbować ciągnąć łódkę przez bagno, aż dotrzesz do wody.

Matt skrzyżował ręce na piersi i milczał. Najwyraźniej czekał, że ona coś powie. Zrobiła to, nie mając najmniejszego pojęcia, dokąd właściwie zmierza.

- Miałam właśnie powiedzieć, że moja przyjaciółka Rose...
- Przyjaciółka? Mówiłaś, zdaje się, że Rose jest twoją sekretarką
- Sekretarką i towarzyszką. Ktoś taki jak steward na statku. Zajmuje się tym i owym. -r Jak dotąd nieźle. Tylko co dalej?
- Nazywaj ją, jak ci się podoba. Tak czy inaczej chcę, żebyś powiedziała mi wszystko, co o niej wiesz, skoro już zatrudniłem ją do opieki nad Annie podczas mojej nieobecności.

Uwaga, rafa.

Ile Rose zdążyła mu powiedzieć? Gdyby ich opowieści okazały się sprzeczne, mogłoby to podać w wątpliwość wiarygodność Rose. Chociaż wolała to, niż wystawiać na szwank swoją prawdomówność, nie chciała szkodzić dziewczynie, skoro mogła tego uniknąć. Może lepiej zrobi, jeśli powie tak mało, jak tylko się da.

Opuściła głowę i ze skupieniem zaczęła wyciągać kolejną nitkę z rękawiczki.

- Cóż, co do...

Matt przymrużył powieki, skrywając za nimi przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu i ponownie skrzyżował ramiona na piersi.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że za każdym razem, kiedy zaczynasz zdanie od: „Cóż, co do...” ja już wiem, że zamierzasz przedstawić mi kolejną bajeczkę?

- To zwykły nawyk, chłopcze. Wszyscy mamy swoje przyzwyczajenia, nawet ty. Wystarczy, że zmrużysz oczy i staniesz w tej charakterystycznej postawie, a ja już wiem, że nie uwierzysz ani jednemu mojemu słowu.

- To dlatego, że kłamiesz.

- Nie kłamię - oburzyła się. - Staram się tylko przedstawiać fakty w możliwie najbardziej interesujący sposób. Za to mi płacą.

- Nie mam ochoty na rozrywkę, do diabła, potrzebuję informacji. Co wiesz o pani Littlefield? Twierdzisz, że to wdowa. Czy to prawda, czy kolejny wytwór twojej wybujałej fantazji?

- Matthew, przysięgam na grób mego ojca, że...

- Oboje wiemy, że twój ojciec został pochowany na morzu. Byłem przy tym, pamiętasz?

- Przysięgam na Ocean Atlantycki - poprawiła się, nie tracąc kontenansu - że Rose wyszła za mąż za człowieka, który utopił się niedługo przedtem, zanim zamieszkała ze swoją babką, a moją bliską przyjaciółką i stąd ją znam -to znaczy Rose, właśnie tak. Kiedy babka zmarła, biedna dziewczyna została bez dachu nad głową i bez żadnych

umiejętności, dzięki którym mogłaby zarobić na utrzymanie, dlatego wzięłam ją do siebie.

Bessy, moja droga, stąpasz po kruchym lodzie. Jeśli zdołasz przejść bezpiecznie, będziesz mogła zasiać do pisania swej pierwszej powieści.

- Ciekawe, skąd znam tę historyjkę? Czyżbyś wzięła się do pisania tych modnych powieści dla kobiet?

- Jakich powieści dla kobiet?

Właściwie czemu nie? Jeśli Matt postanowił zatrudnić swoją własną żonę w charakterze opiekunki do dziecka, co szkodzi rozbudzić w nim zazdrość o Rose, zanim sprawa się wyjaśni? Kiedy Matt dowie się prawdy, jej już tu ód dawna nie będzie. Trzeba by było Noego i czterdziestu dni deszczu, żeby skłonić Rose do wejścia na pokład jakiegokolwiek statku. Przez ten czas każdy prawdziwy mężczyzna zdążyłby raz czy dwa wesoło zabawić się z dziewczyną. A kiedy już do tego dojdzie, mogą ustalić własny kurs i zapomnieć o wszystkich nieporozumieniach, które kiedykolwiek miały miejsce.

Ściągnęła poszarpaną rękawiczkę i otworzyła szufladę komody w poszukiwaniu nowej pary.

- Jeśli to wszystko, pozwolisz, że pojedę do wioski. Mówiłam ci, że Dick Dixon zaprosił mnie na obiad, prawda? Jego syn przyjeżdża do domu na lato i chciałabym porozmawiać z nim o Rose.

- A co Rose ma wspólnego z synem Dicka Dixona? Znow puściła wodze wyobraźni i zrobiła wielkie oczy,

najlepiej jak umiała.

- Cóż, Rose może sobie być wdową, ale to jeszcze młoda kobieta. Jak rozumiem, chłopak zamierza zająć się

polityką. Odpowiednia żona to w takiej sytuacji nie miała zaleta, a Rose z pewnością przydałby się mąż. - Nie ma jak wpuszczanie kota między gołębie. Uwielbiała patrzeć, jak podrywają się do góry, i czekać, kiedy zdecydują się powrócić na ziemię.

Faktycznie, powieść to jest to. Pisanie artykułów do czasopism nie jest złe, ale dlaczego miałyby na tym poprzestać, skoro miała szansę zostać następczynią sióstr Bronte?

Ponieważ Bess wzięła wóz, Matt, kiedy tylko wypatrzył statek pocztowy wpływający do kanału, posłał do wioski Luthera na koniu. Wcześniej czy później ten przeklęty ad-wokacina będzie musiał przyznać się do tego, co zrobił, w przeciwnym razie zostanie zawleczony do palestry za ten swój nędzny kark. Matt pisał do niego co tydzień, chcąc ustalić, gdzie podziewa się zaginiona żona.

Bagby odpisał raz, a jego list niczego nie wyjaśnił.

Półtorej godziny później Luther wpadł z powrotem na podwórko, zeskoczył z grzbietu wierzchowca, rzucił wodze na ziemię i pobiegł z krzykiem do domu, wymachując listem.

- Jest list z „Czarnego Łabędzia”.

Właściwie list był od pośrednika, którego Matt wynajął, by odkupił statek w jego imieniu. Nie ośmielając się robić sobie zbytnej nadziei, Matt rozdarł kopertę i przebiegł pismo wzrokiem.

- Jedziemy do Bostonu? - spytał z przejęciem Luther, zaglądając mu przez ramię.

Matt, który czuł się tak, jakby ktoś zdjął mu z pleców

dwutonową kotwicę, skinął głową. Co więcej, szeroko się uśmiechnął.

- Tak, jedziemy do Bostonu. Zajmij się koniem, a ja pójdę i zaniosę wszystkim nowiny.

- Ja też? - Luther nie potrafił ukryć niepokoju. Najwyraźniej nie zapomniał bury, którą oberwał od Matta za to, że ośmielił się dosiąść Jericha.

- Tak, ty też, synu. Ktoś musi mi pomóc skompletować załogę. Myślę, że jesteś najlepszym, jakiego mam.

Najlepszym, jaki mu został. Te słowa wprawdzie nie padły, ale obydwaj mężczyźni spoważnieli, a ich spojrzenia pobiegły w stronę samotnego piaszczystego grobu nieopodal zagrody.

Matt udał się do kuchni, gdzie przeczytał list głośno Crankowi i Pegowi.

- „...negocjacje na końcowym etapie, musi pan natychmiast przyjechać w celu podpisania umowy”.

- Wreszcie ci się udało, kapitanie - skomentował Peg.

- Niech to diabli - zaklął z podziwem Crank. - My dwaj zaopiekujemy się gospodarstwem, nie musi się pan o nic martwić. Peg może zajmować się końmi, a ja - Annie. Mamy też dość solonych ryb, by starczyło nam do...

Matt wybiegł już myślami daleko w przód.

- Poślę Luthera do wioski, żeby wynajął kogoś, kto zaopiekuje się końmi. Chłopak może przyjeżdżać tu codziennie i przywozić wszystko, czego będziecie potrzebowali. Peg, ty będziesz czuwał nad inwentarzem. Bess

i Rose zajmą się Annie...

Rose. Przed wyjazdem będzie musiał zawrzeć z nią umowę. Nie miał złudzeń, że Bess będzie tu tkwić do jego

powrotu. Dokonanie przeglądu statku, podpisanie końcowych dokumentów, skompletowanie nowej załogi, zamówienie ładunków i rozmowy z przedstawicielami portu -to wszystko zajmie przynajmniej miesiąc, jeśli nie dłużej.

Powinien był przykładać większą wagę do otrzymywanych raportów - wiedziałby wówczas, gdzie szukać najlepszych kontraktów na dostawy towarów.

Z głową nabitą szczegółami udał się na poszukiwanie Rose.

Znalazł ją na podwórku na tyłach domu. Annie leżała w koszyku pod zaimprovizowaną markizą, a Rose klęczała przy rzędki zwiedłych roślin i ostrożnie podlewała każdą z osobna. Słyszac kroki, uniosła głowę.

- To sadzonki kapusty ogrodowej. Myślę, że powinny stać prosto, prawda?

Z tego, co wiedział, powinny znajdować się w garnku z kawałkiem mięsa od łopatki.

- Daj spokój kapuście. Muszę jechać do Bostonu, ale zanim wyjadę, chciałbym, żebyś dała mi słowo honoru, iż zostaniesz do mego powrotu.

Momentalnie zapomniała o kapuście.

- Do Bostonu?

- Nasza podróż może potrwać parę tygodni, a nawet więcej. Wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że Crank i Peg sami nie dadzą sobie rady z Annie, a na Bess można tak polegać jak na... - Nie dokończył wulgarnego porównania. - W każdym razie potrzebuję kogoś, komu mógłbym zaufać. Zrobisz to dla mnie, Rose?

Odchyliła głowę, strzepnęła piasek z rąk i popatrzyła na niego bezradnie.

- Matt, naprawdę musimy sobie coś wyjaśnić, zanim się na cokolwiek zgodzę.
 - Czy ta sprawa nie może poczekać? Muszę w kilka godzin zrobić to, co normalnie zajęłoby mi trzy dni. Podczas przyływu w wiosce zacumuje frachtowiec zmierzający w górę cieśniny. Z Elizabeth City złapiemy pociąg do Bostonu.
 - My?
 - Zabieram ze sobą Luthera.
 - Och. - Zastanowiła się, co miało oznaczać jego przelotne spojrzenie. Czyżby zadowolenie? - Chcesz, żebym została i zajęła się Annie? Nawet jeśli Bess wyjedzie?
 - Chcę, żebyś została, nawet jeśli pojawi się tu moja żona. Będzie potrzebowała pomocy, zanim rozpatrzy się w sytuacji. Zawarliśmy umowę, jeśli pamiętasz.
- Najwyraźniej spieszno mu było odejść do swoich spraw. Był bardziej podekscytowany niż niejedno dziecko w Wigilię.
- Oczywiście, że zostanę, ale, Matt...

Nietrudno było zauważyć, że już błędzi myślami daleko stąd. Stojąc na szeroko rozstawionych nogach, z rękami na biodrach, z głową odchylną do tyłu i oczami zmrużonymi przed słońcem, wyglądał po prostu wspaniale. Z łatwością mogła wyobrazić go sobie, jak stoi na statku, na mostku kapitańskim, z tym samym wyrazem niezwykłego podniecenia w roziskrzonych oczach.

- Nieważne - powiedziała spokojnie. - Skoro czekałam tak długo, myślę, że jeszcze kilka tygodni niczego nie zmieni. - Niech jedzie. A skoro tylko odzyska statek, będzie mógł wyruszyć na morze i zapomnieć o Annie, Po-

wers Point i... o żonie, którą tu zostawił. Jakie to mogło mieć teraz znaczenie? Już dawno dokonała wyboru, a teraz będzie musiała ponieść konsekwencje.

Odprowadziła go wzrokiem, kiedy skierował się do stajni, stawiając duże kroki po lśniącym, gorącym piachu. Przeniósłszy spojrzenie na nieszczęsne roślinki, które z taką nadzieją sadiła, zastanowiła się, po co zawracała sobie tym głowę. Dla Matthew Powersa Uczyła się jedna, jedyna rzecz: jego przeklęty statek.

Wszyscy, dosłownie wszyscy, wychwalali go pod niebiosa. Luther czcił go niczym Boga. Crank bez przerwy mówił o kuchni na statku, którą kapitan wyposażył we wszystko, co najlepsze. Peg szczyił się, że kiedy uległ wypadkowi, kapitan sprowadził najlepszych lekarzy, jakich się dało, by go poskładać, a potem wynajął stolarzy, którzy pracowali pod kierunkiem Pega, aż ten znów stanął na nogi.

- Święty Matthew. Niech go diabli - mruknęła. - Cholerny, arogancki marynarz. - Z tymi słowami wbiła łopatę w piach.

Tego przecież chciała, czyż nie? Chciała mieć własny dom i dziecko, którym mogłaby się opiekować bez wchodzenia w ryzykowne więzy małżeńskie. Teraz miała to wszystko, tak jak Bess obiecała.

W takim razie dlaczego czuła się tak, jakby słońce właśnie skryło się za chmurą?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mimo licznych zajęć Matt znalazł jeszcze czas, by pojeździć na Jerichu po raz ostatni. Poczował się do odpowiedzialności za tego ogiera i traktował go tak jak członka załogi. Kupując go, popełnił błąd, wiedział to już wtedy, ale właściciel miał oddać go do fabryki kleju.

- Diabeł, nie koń. O mały włos nie zabił jednego z moich ludzi. Po jego oczach można poznać, że nie jest normalny.

Matt wychowywał się na morzu, więc nie znał się zbyt dobrze na koniach, ale przeczytał każdą opowieść o Dzikim Zachodzie, która wpadła mu w ręce. Jeśli gdziekolwiek w pobliżu portu odbywał się pokaz sprawności kowbojskich, zwykle udawało mu się obejrzeć przynajmniej jedno przedstawienie, czasami więcej.

Teraz przedzierał się na koniu przez fale przybrzeżne i rozmyślał, ilu chłopców dorastających na ranchu marzyło o życiu na morzu?

- Mamy co najlepsze z obydwu światów, prawda, bracie? Spokojnie, uważaj, gdzie stąpasz - powiedział łagodnie.

Jeszcze raz wysłał Luthera do wioski, polecając mu rozejrzeć się za kimś, kto zająłby się żywym inwentarzem. Większość chłopaków na wyspie miała na koncie schwy-

tanie i ułożenie przynajmniej jednego konia pochodzącego z dzikiego stada, włączącego się po pobliskich wysepkach. Robili to po części dla zabawy, po części z konieczności. Jericho nie powinien sprawić zbytnich trudności komuś z tego rodzaju doświadczeniem.

Wkrótce po powrocie do Powers Point Matt popłynął na Currituck Banks, holując barkę na bydło, ponieważ zamierzał kupić krowę i kilka klaczy. Wrócił z pięcioma klaczami i z Jerichem. Długonogi, rasowy gniadosz wszedł za klaczami na barkę jak w lunatycznym śnie, łagodny niczym domowy kot. Dopiero kiedy znaleźli się na otwartym morzu, zbudził się ze stanu odrętwienia. Potoczył wzrokiem wokół, zaczął wierzgać i zanim zdolali go spętać, poturbował niemal wszystko, co napotkał na drodze, nie wyłączając Matta.

- Prawdziwy był z ciebie diabeł, prawda, stary? Nie ufałeś żadnemu stworzeniu chodzącemu na dwóch nogach. - Matt nie przestawał mówić do konia, zanurzając się wraz z nim w fale przyływu, aż woda sięgała do popręgu, po czym zawrócił i skierował się do brzegu. - Tak, wiem, jak się czułeś. - Jakiś czas temu nabrał zwyczaju wyrażania na głos swoich myśli, kiedy siedział na grzbiecie Jericha. Niekiedy pomagało mu to uporać się ze zdenerwowaniem, a od czasu do czasu pozwalało nawet spojrzeć na różne sprawy w innym świetle.

Gdy znów znaleźli się na brzegu, gdzie łagodna bryza chłodziła jego wilgotne ciało, poprowadził konia z powrotem przez wydmy.

- Zamierzam zaufać tej kobiecie, Jeri - podjął po paru minutach milczenia. - Nie mam wyboru. Zabawne, ale nie

wydaje mi się to tak trudne, jak początkowo sądziłem. Albo czegoś się w końcu nauczyłem, albo... - Po powrocie do obejścia skierował się prosto do poidła, zsunął się z końskiego grzbietu i zaczął polewać ogiera i siebie wiadrami deszczówki, zmywając sól. - ...albo nie nauczyłem się absolutnie niczego - ciągnął. - Pożyjemy, zobaczymy.

Różnica czasu między przyływem na oceanie a przyływem w cieśninie wynosiła trzy godziny, w sam raz tyle, żeby zapakować worek, pouczyć chłopaka, którego przyprowadzi Luther, jak należy obchodzić się z Jerichem, i omówić z Crankiem i Pegiem czekające ich obowiązki, a następnie udać się do wioski.

Już wcześniej doszedł do wniosku, że zostawianie jakichkolwiek poleceń Bess nie ma najmniejszego sensu. Jeśli właściwie zinterpretował to, co widział, ciotka zabierze się do pakowania bagaży, zanim jeszcze on odjedzie na dobre. Zastanawiał się tylko, czemu przebywała na wyspie tak długo.

Pozostawała jeszcze Rose. Dziwne, ale z czasem zaczął jej ufać bez żadnego konkretnego powodu, no, może poza tym, że patrzyła mu prosto w oczy. Albo tym, że natychmiast podjęła obowiązki, które do niedawna dzielili między siebie Billy i Luther, i uczyniła to bez narzekań, a tym bardziej bez jakiegokolwiek wzmianki o rekompensacie.

Zastanawiał się teraz, czy od początku zamierzała uwić tu sobie gniazdko. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy przebiegła wdowa zastawia pułapkę na kolejnego męża. Problem polegał na tym, że on miał już żonę. Nie robił z tego tajemnicy.

Jakiegokolwiek były jej zamiary, on powinien być zadowolony, jeśli będzie wywiązywała się ze swoich obowiązków. Jeśli zdarzy się, że będzie za długo przebywała na słońcu i jej skóra stanie się różowa i wilgotna, a sukienka przylgnie do piersi, nic go to nie obchodziło. Jego tu nie będzie, by to oglądać. Jeśli roześmieje się głośno z opowieści Pega albo będzie śpiewała Annie te swoje piosenki, jego tu nie będzie, by tego słuchać. Co za różnica, że przygryzała dolną wargę, kiedy była zakłopotana? Jego tu nie będzie, by na to patrzeć. Miał teraz swój statek. Kiedy znów poczuje pod stopami deski pokładu, żadna kobieta na ziemi nie skłoni go do zejścia z kursu.

Ociekając wodą, wszedł do domu, dokonując w myśli przeglądu spraw, które należało załatwić przed wyjazdem. Musiał przebrać się w suche ubranie, porozmawiać z mężczyznami, zostawić Crankowi pieniądze na domowe wydatki, przynajmniej na trzy miesiące, wrzucić parę rzeczy do żeglarskiego worka, napomnieć nowego pomocnika, który miał zaopiekować się końmi, by postępował z Jerichem łagodnie, i znaleźć kogoś, kto zabierze z przystani ich wierzchowce i przyprowadzi je do Powers Point.

Crank już spakował mu worek.

- Pomyślałem, że będzie pan potrzebował najlepszego czarnego ubrania, kapitanie. W końcu w Bostonie będzie pan miał do czynienia z tymi wszystkimi miastowymi waźniakami. Zapakowałem dwie koszule i krawat i wyczyściłem pana najlepsze buty. Te stare niech pan zostawi w domu.

Obaj spojrzeli na wysokie buty z plamami soli, które zapomniał zostawić na werandzie.

- Doceniam to, Crank. Zapomniałbym o połowie rzeczy. - Nie była to prawda i obaj o tym wiedzieli, ale stary kucharz wziął na siebie obowiązki stewarda, kiedy osiedli na wybrzeżu. - Pieniądze na życie znajdziesz w moim gabinecie, w pudełku. Jeśli będziesz potrzebował więcej, zawsze możesz skontaktować się ze mną przez biuro pośrednika. Wszystko wskazuje na to, że spędzę w Bostonie parę tygodni, może nawet dwa miesiące, zanim załatwimy wszystkie formalności i ruszymy w powrotną drogę.

Do kuchni wszedł utykający Peg, dźwigając naręczę drewna na podpałkę, które wrzucił do kosza za kuchenką.

- Przed wami mokry rejs. Wygląda na to, że czeka nas parę dni deszczu.

- Rozciągnij na strychu sznurki na pranie, jeśli będzie trzeba.

- Już to zrobiłem.

- Czy Rose jest gdzieś w pobliżu?

- Wróciła, kiedy pana nie było. Zdaje się, że poszła zajrzeć do Annie.

- Przekaż jej, że powiedziałem... - Urwał w pół zdania i przegarnął palcami włosy. - Nieważne, sam jej powiem.

Spojrzenie, które wymienili między sobą obydwaj starszaki, nie uszło jego uwagi, ale zanim zdołał zaprzeczyć temu, -cokolwiek myśleli, przez otwarte okno zawołał do niego Luther, więc skorzystał z okazji do wycofania się.

Jeszcze siedzieli na koniach, Luther na swojej ulubionej klaczy, a jego towarzysz na długonogim wałachu.

- Zna pan Johna, 'prawda? - Luther przedstawił ciem-

nego, żyłastego mężczyznę, którego Matt przypomina! sobie z widzenia. - Na pewno poradzi sobie z Jerichem. Zajmie się też inwentarzem i zastawi sieć, kiedy Crank będzie potrzebował świeżych ryb. Matt i nowo przybyły zmierzli się wzrokiem. Matt powziął decyzję, kierując się częściowo intuicją, częściowo doświadczeniem. Najwidoczniej tamten zrobił to samo. Ich oczy się spotkały, postanowienia zapadły i umowa została zawarta. Obaj mężczyźni skinęli głowami, wyraźnie usatysfakcjonowani.

- Będę zobowiązany - odezwał się wreszcie Matt.

- Widziałem pańskiego konia jeszcze na kontynencie. Cieszę się, że jest w dobrych rękach. Sam bym go kupił, ale pan był szybszy.

- Trzeba podchodzić do niego z przodu od lewej strony, stać przez chwilę i mówić do niego, żeby dać mu znać o swojej obecności. Niedowidzi na prawe oko.

- Będę tak robił.

Polecivszy Lutherowi, by oprowadził nowego pomocnika po gospodarstwie, Matt wszedł do środka. Zatrzymał się przed drzwiami do pokoju Bess, kiedy jednak do jego uszu dobiegł stukot maszyny do pisania, poszedł dalej. Postanowił najpierw pożegnać się z Annie, a potem porozmawiać z Rose. Może będzie miała jakieś pytania.

Rose była w pokoju Annie. Zatrzymał się w otwartych drzwiach i patrzył, jak obie dokazują na dywaniku na podłodze. Zaśmiewały się w głos: Nigdy nie słyszał śmiechu dziecka, zanim w jego życiu nie pojawiła się Annie.

- Rose?

Uniosła głowę, wyraźnie zaskoczona, z zarumienioną twarzą.

- Och, nie słyszałam, jak wszedłeś. - Nie wypuszczając z ręki małej stopki Annie, usiadła prosto i odgarnęła potargane włosy z twarzy. W czerwonych promieniach zachodzącego słońca padających na jej ramiona przez otwarte okno, przypominała witraż, który Matt widział kiedyś w kościele w Biloxi.

Sprawiła wrażenie nieco wzburzonej. Obciągnęła dół sukienki, zasłaniając nogi.

- Pewnie się zastanawiasz, co robimy na podłodze. Powód jest całkiem prosty. >Annie jest jak żywe srebro. Dotychczas bawiłyśmy się na moim łóżku, ale bałam się, że ona może się z niego zsunąć.

Pomyślałam, że tak będzie bezpieczniej. - Niezręcznym gestem wskazała zmięty dywanik. \ Zdecydowanie skinął głową.

- Przyszedłem powiadomić cię, że odjeżdżam. - Nawet w jego własnych uszach zabrzmiało to szorstko.

- Tak szybko? - Chyba to, co ujrzał na jej twarzy, nie oznaczało rozczarowania... a może?

- W ciągu godziny przyływ dotrze do cieśniny. Przed wyjazdem chciałem tylko powiedzieć, że... - Czekala, z głową przekrzywioną jak zwykle na bok, a on usiłował sobie przypomnieć, co takiego chciał powiedzieć. -Chciałem tylko powiedzieć: do widzenia.

Druga próba nie wypadła lepiej niż pierwsza. W jego głosie dawało się wyczuć złość. Tymczasem czuł się raczej zagrożony. A może nawet wiedziony na pokuszenie. Patrząc na nią w tej chwili, spoconą, zarumienioną i w lekko

zmiętym ubraniu - i przypominając sobie sztywne, niezgrabne stworzenie, które przed wielu tygodniami pojawiło się w jego domu - pomyślał, że te dwie kobiety mają ze sobą tyle wspólnego, co namalowany statek ze statkiem unoszącym się na falach, pulsującym życiem od kila po szczyt masztu, od dziobu do rufy.

Odchrząknawszy, spróbował jeszcze raz.

- Chciałem powiedzieć, że... do diabła... do widzenia! - Odwrócił się i uciekł, przeklinając własną głupotę. Był już w połowie korytarza, kiedy odezwało się w nim poczucie winy. Raptownie zmienił front i zawrócił.

Stała w progu, z wyrazem zdziwienia na twarzy. Gdy podszedł bliżej, zdziwienie ustąpiło ostrożności. Trochę się obawiał, że Rose ucieknie, zanim on zdoła się wytłumaczyć z tego, że na nią nakrzyczał. Jeszcze trzy kroki i znalazł się na tyle blisko, że widział zielone iskry w jej złotych oczach.

- Rose, przepraszam - wyrzucił z siebie. - Nie chciałem, żeby zabrzmiało to... to znaczy, chciałem tylko... musiałem...

Do diabła z tym. Jego umysł wyłączył się jak gasnąca lampa. Matt zgniótł Rose w mocnym uścisku, ukrył twarz w jej włosach i napełnił płuca ciepłym kwiatowym aromatem.

Zaskoczona Rose zesztyniała, ale wtem zdarzyło się coś najdziwniejszego pod słońcem. Zamiast wyrwać się z jego objęć, uświadomiła sobie, że w nich topnieje tak samo jak tamtego dnia, kiedy Angel zostawiła ją w tarapatach pośrodku wyspy, a on odnalazł ją, przywiózł do domu i pomógł zsiąść z konia.

Wtedy była wściekła, zakłopotana własną reakcją. Odurzona jego zapachem, świadomością, że przytulał ją do swego rozgrzanego, twardego torsu podczas długiej jazdy do domu, a kołyszący ruch konia powodował, że ich ciała poruszały się w jednym rytmie, nie była w stanie myśleć, nie mówiąc już o właściwym zachowaniu.

Gdy jazda wreszcie dobiegła końca, powoli zszedł ją z konia, ocierając jej ciało o swoje. Przez jedną pamiętną chwilę trzymał ją wówczas przy sobie, tak samo jak teraz.

I teraz, właśnie tak samo jak wtedy, serce zabiło jej szybciej. Czubkiem głowy otarła się o jego podbródek, wzięła głęboki oddech, napełniając płuca czystym męskim zapachem. Głęboko w ciele poczuła szalenie pulsowanie. Od pierwszych dni małżeństwa wiedziała, co to oznacza, ale tym razem pożądanie było silniejsze od wszystkiego, czego kiedykolwiek doświadczyła.

Annie, leżąca na podłodze po drugiej stronie pokoju, wydawała z siebie senne, pełne zadowolenia pomruki, zajęta ssaniem palców u nóg. Z dworu dobiegały krzyki mew na tle cichego szumu fal. Gdzieś w oddali zarżał koń, jakiś mężczyzna się roześmiał. Rose, opleciona ramionami Matta, pomyślała, że gdyby udało jej się uchwycić ten moment i zatrzymać go, nigdy nie prosiłaby o nic więcej.

Ostatnie wątpliwości rozwiały się jak dym. Nareszcie dokonała słusznego wyboru. Uniosła twarz, żeby to powiedzieć, ale słowa zamarły jej na wargach. Znów to poczuła. Tę sprzączkę od pasa. O Boże, co teraz?

- Matt? - szepnęła, otwierając oczy szerzej.

- Zaraz cię pocałuję. - Zabrzmiało to raczej jak groźba niż obietnica.
- Dobrze. - Z ulgą zamknęła oczy i rozchyliła wargi w oczekiwaniu.
- Nie mam prawa... możesz powiedzieć: nie, jeśli nie chcesz, Rose. Mam żonę... gdzieś na świecie.
- Dobrze. - Nie otwierając oczu, skinęła głową na znak, że jego słowa do niej dotarły. Wyznania mogły zaczekać. To, co działo się teraz, było o wiele ważniejsze.

Cały świat mógł zaczekać, pomyślała, gdy poczuła jego ciepłe wargi na swoich. Całe ciało ogarnęło mrowienie. Małe piersi zrobiły się ciężkie. Kiedy zaczął poruszać czubkiem języka w rytmie naśladującym szalone pulsowanie między jej udami, pomyślała, że zaraz umrze. Rozdzierana pożądaniem, a zarazem poczuciem winy nie miała wyboru. Musiała powiedzieć mu to teraz.

- Matt - wydyszała - jesteśmy związani małżeństwem.

Równie dobrze mogłaby mu wylać na głowę kubel zimnej wody. Cofnął się o krok. Jego twarz przypominała maskę.

- Zdawało mi się, że jesteś wdową.
- Nie, to znaczy tak... jestem wdową, ale ty i ja...
- Ja jestem żonaty, masz rację, ale zamierzam się tym zająć, jak tylko odzyskam statek. Na razie proszę cię tylko o to, żebyś zaopiekowała się Annie. To wszystko, czego od ciebie chcę.
- Oczywiście, że będę się opiekować Annie! - wykrzyknęła - ale...
- Przepraszam za to, co się stało. Porozmawiamy o tym przy innej okazji.

- Nie chcę twoich cholernych przeprosin, chcę... Chciała Matta.

Pragnęła go w taki sposób, w jaki nigdy nie pragnęła żadnego mężczyzny, ale on wyjeżdżał, a skoro nie było czasu, żeby bronić się jak należy, jakakolwiek próba wyjaśniania, co zrobiła i dlaczego to zrobiła, była skazana na niepowodzenie. A może nawet niebezpieczna.

Czas i przyływ nie czekają na nikogo. Crank prawdopodobnie również i to powiedzenie przypisałby Biblii. W tych okolicznościach mogła zrobić tylko jedno i tak też uczyniła. Przyjęła przeprosiny Matta, z całego serca życząc mu bezpiecznej drogi.

- W takim razie będę już ruszał - powiedział burkliwie. Gdyby miał kapelusz, pomyślała z irytacją, pewnie by dotknął go palcami.

A gdyby ona miała w ręku cegłę, pewnie by nią w niego rzuciła.

Poszedł dużymi krokami w głąb korytarza, nie bacząc na to, że ją rozplómił i zostawił. Patrząc za nim, złożyła sobie obietnicę. Pewnego dnia będzie musiał tu wrócić, a kiedy tak się stanie, wówczas ona będzie gotowa go przyjąć. Ustalą wszystko między sobą, zanim on przejdzie przez próg. Potem, jeśli będzie chciał wieść życie marynarza, może to uczynić z jej błogosławieństwem.

Pod jednym warunkiem. Będzie musiał zabrać ze sobą ją i Annie. Skoro Bess mogła żyć na statku, dlaczego z nią miałyby być inaczej. W końcu była jego żoną. Żoną poślubioną zgodnie z prawem, nawet jeśli on jeszcze o tym nie wiedział.

Pełna ufności podniosła Annie z dywanika, usadowiła się wraz z nią w bujanym fotelu i zaczęła się kołysać.

- On nas pokocha, Annie, poczekaj, a się przekonasz - oświadczyła stanowczo.

Annie złapała kosmyk włosów, który wysunął się z warkocza Rose, i pociągnęła go z zadziwiającą siłą, po czym zamruczała coś sennie w odpowiedzi.

- Wszystko dobrze, ale będziesz musiała mi w tym pomóc. Skoro zależy mu na tobie, będzie musiał mnie zatrzymać. Jesteś milutka - każdy by cię pokochał, pączusz-ku, musimy jednak zabrać się do pracy nade mną, jeśli chcemy, by dał mi szansę. Myśli, że może sobie odpłynąć i zostawić nas tutaj, ale my już mu pokażemy, prawda?

Rose oparła głowę o oparcie fotela, przymknęła oczy i rozmyślała nad tym, co powinna zrobić, by udowodnić, że jest coś warta. Poczowała ściskanie w żołądku, gdy wreszcie się zdecydowała. Powzięła decyzję. Teraz pozostało jej tylko spełnić to, co sobie obiecała.

Następnego ranka wzięła Annie na frontową werandę i przyglądała się, jak nowy pracownik zajmuje się końmi. Był spokojny i miał łagodny głos, więc wkrótce ogier Matta chodził za nim po zagrodzie, trącając nosem kieszeń jego koszuli w poszukiwaniu czegoś smacznego.

- Widzisz, kochanie? Nie ma rzeczy niemożliwych. Jeśli obcy człowiek mógł tak szybko ujarzmić tę dziką bestię, ty i ja z pewnością ujarzmimy naszego kapitana.

Przy nabrzeżu zacumowała niewielka łódź żaglowa. Siedzący w niej mężczyzna nie wyglądał na farmera ani rybaka. Patrzyła z ciekawością, jak zwinął żagiel i ruszył w kierunku domu. Dość tęgi, w wymiętym szarym garniturze i słomkowym kapeluszu, bardzo się pocił.

Staneła w drzwiach, z Annie na rękach.

- Niestety, kapitana nie ma. Zdjął kapelusz.

- Domyślam się, że pani jest panią Littlefield. Bess wszystko mi o pani opowiedziała.

- Naprawdę? - Wielkie nieba, mam nadzieję, że tego nie zrobiła. - Tak, to ja. Wejdzie pan do środka?

Zdaje się, że Bess jest w swoim pokoju.

- Cóż, prawdę mówiąc, nie miałbym nic przeciwko odrobinie cienia, zanim wyruszę w powrotną drogę. Ciepło, prawda?

Rose zgodziła się, że-jest rzeczywiście ciepło. Mężczyzna jeszcze się nie przedstawił, ale na szczęście Bess wybrała tę chwilę na pojawienie się.

- Zdawało mi się, że słyszałam głosy. Dick, jak miło z twojej strony, że do nas wpadłeś. Może wejdziemy do środka? Powiem Gankowi, żeby podał nam coś zimnego do picia.

- Rozumiem, że chłopak zabrał się wczoraj frachtowcem?

Chłopak? Chyba mieli na myśli Matta, a on z pewnością nie był chłopcem. Rose mogła o tym zaświadczyć, gdyby tylko zechciała.

- Wczoraj przyszedł list - wyjaśniła Bess. - Matt nie mógł się doczekać wyjazdu. Wiem, że chciałeś się z nim zobaczyć w tej sprawie, o której rozmawialiśmy, ale on przestępował z nogi na nogę niemal od chwili, kiedy dowiedział się, że „Czarny Łabędź” znów do niego należy.

- Moja strata - zauważył filozoficznie urzędnik. - Był mi bardzo pomocny dzięki swoim kontaktom. Szkoda, że sprawy nie ułożyły się po mojej myśli. Byłby świetny.

Zwracając się do Rose, wyciągnął rękę.

- Nazywam się Dick Dixon, pani Littlefield. Jestem miejscowym urzędnikiem. Tutaj, na Outer Banks, zajmuję się dosłownie wszystkim. Niemniej jednak to interesująca praca. Och, te wszystkie historie, które mógłbym pani opowiedzieć... - Miał dłonie delikatniejsze niż Rose. Ale jego uścisk był zadziwiająco mocny. - Zdaje się, że moja żona dała pani któregoś dnia trochę sadzonek z ogrodu.

Z których żadna nie przeżyła, pomyślała z żalem Rose, uśmiechnęła się jednak i powiedziała:

- Proszę podziękować jej w moim imieniu, panie Dixon.

Ciekawe, w czym pomagał mu Matt i co nie doszło do skutku. Annie zaczęła się wiercić, więc Rose odwróciła się do wyjścia, przepaszając towarzystwo.

Bess gestem ręki przywołała ją z powrotem.

~ Zostań tu, dziewczyno, może się czegoś nauczysz.

Ponieważ rzeczywiście zrobiło się nieco chłodniej, bo przez okna wlatywał lekki wiatr, usiadła w fotelu i zaczęła delikatnie huścić Annie na kolanach. Po chwili przyszedł Crank ze szklankami zimnej wody z wiadra przykrytego mokrym płótnem, stojącego na tylnej werandzie.

- Cóż, jak już mówiłem - powiedział Dick Dixon, opróżniwszy swoją szklankę - pomyślałem o Powersie, jak tylko dowiedziałem się, że mój chłopak nie pójdzie w moje ślady. Szkoda, że nie wiedziałem o tym wcześniej.

- Matt jako przedstawiciel władzy? Wątpię, czy by się tego podjął, tak czy inaczej. W jego żyłach płynie za dużo słonej wody. Aż dziw, że tak długo wytrzymał z dala od morza.

- Daj jednak mi znać, gdyby zmienił zdanie. Mniej więcej rok temu pytałem go, czy nie chciałby zostać pilotem. Handel w tutejszych zatokach rozwija się na tyle szybko, że coraz trudniej o wykwalifikowanych pilotów. Musiałby tylko poznać tutejsze wody, jak wszyscy pozostali. Tworzą się nowe melizny, kanały z dnia na dzień zmieniają kierunek. Potrzeba naprawdę sprytnego człowieka, by sobie z tym poradzić, powiadam ci.

Siedzieli w chłodnym, zacienionym pokoju. Rose pozwoliła sobie pobłądzić myślami. Annie wsunęła kciuk między spuchnięte dziąsła i wtuliła się w jej pierś, wytwarzając zadziwiająco dużo-ciepła jak na takie maleńkie ciało. Nie minęło parę minut, a zasnęła.

Po chwili Rose, zmęczona po kolejnej nieprzespanej nocy, poszła w jej ślady.

- Nie chrap w towarzystwie, Rose. To niegrzecznie.

- Ja nie...

Gwałtownie zamknęła usta i wyprostowała się, zdziwiona, że w pokoju już zapadł mrok, a po gościu nie ma śladu.

- Czyja... czy on...?

- Ty chrapałaś, a on wrócił do domu. Za parę dni przyjedzie tu jego syn. Dick obiecał przywieźć go do nas na kolację. Skoro Matt i Luther wyjechali, dobrze ci zrobi towarzystwo kogoś w twoim wieku.

Bess zabrała śpiące dziecko z kolan Rose. Trzymała je niezręcznie, a kiedy Rose wzięła je na powrót, ciągnęła:

- Gdybym to ja była żoną marynarza, na pewno nie spuszczałabym go z oka. Zbyt wiele szykownych kobiet naokoło. Widziałam na własne oczy, jak umalowane i wy-

pachnione do granic możliwości pakują się na szalupy i płyną na spotkanie każdego statku wpływającego do portu. O, nie, moja droga, wprowadziłabym się do jego kwatery i tkwiłabym tam, przeganiając te wszystkie babska, bo w przeciwnym razie zapomnialiby, że ma żonę. Pamięć mężczyzny nie jest dłuższa od jego nosa.

Rose przygryzła wargi, ale już nie była zaskoczona tym, co mówiła starsza pani, bo wiedziała, że wszystko ma na celu poruszenie słuchaczy.

Bess uśmiechnęła się krzywo, zadając jej ostateczny cios.

- Dorastałam w takich warunkach, że śmiało mogę powiedzieć, iż nie ma niczego, o czym bym nie słyszała czy nie widziała. Radzę ci, trzymaj go krótko, Rose, bo w przeciwnym razie go stracisz, pewne jak słońce na niebie.

Raczej trudno byłoby stracić coś, czego się nigdy nie miało. Niemniej jednak Rose postanowiła zacząć wprowadzać swoje postanowienia w życie już następnego dnia, w porze drzemki Annie.

Ale Bóg jeden wie, że nie wyglądała tego z utęsknieniem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Łódź - Peg, który dbał o nią po wyjeździe Luthera, nazywał ją żaglówką - była o wiele mniejsza od statku pocztowego i miała więcej wdzięku.

A jednak jej wydawała się równie groźna jak statek.

Rose stała niepewnie «a nabrzeżu. Zapragnęła uciec i zapomnieć o szalonym pomysle. Skąd jej przyszło do głowy, że to coś zmieni?

Matt od samego początku zamierzał zostawić ją w domu na gospodarstwie. Oto jedyny powód, dla którego ją poślubił. Chodziło mu wyłącznie o to, żeby zajęła się dzieckiem.

Popatrzyła na łódź, na wodę, gładką jak lustro, po czym z powrotem przeniosła wzrok na łódź.

Dostrzegła płaski, prostokątny pokrowiec ustawiony na sztorc mniej więcej pośrodku pokładu. Nie miała pojęcia, do czego służył. W przedniej ławce była dziura. Luther powiedział jej kiedyś, że służy do stawiania - stawiania? - masztu. Jak dotąd widziała tylko, jak wiosłował.

Rose nie miała zamiaru dotykać ani masztu, ani wiosła. Chciała tylko wejść na łódź i sprawdzić, jak długo uda jej się tam pozostać, zanim zbierze jej się na wymioty. Mając wystarczająco dużą praktykę, wcześniej czy później będzie mogła spędzać tam całe godziny bez wymiotowania

i dopiero wówczas nadejdzie czas na to, by zacząć się uczyć, jak funkcjonują te wszystkie urządzenia. Luther mówił, że podczas pierwszych rejsów, które odbył jeszcze jako mały chłopiec, był święcie przekonany, że umrze. Nagle któregoś dnia wszystko minęło, jak ręką odjął. Tak, po prostu.

Cóż, jeśli było jakieś lekarstwo, Rose zamierzała z niego skorzystać.

Kiedy wreszcie nadejdzie odpowiednia chwila na to, by przedstawić sprawę Mattowi, powie mu, że pozostanie na ładzie, jeśli takie jest jego życzenie, niemniej jednak wolałaby mu towarzyszyć tak samo jak te kobiety w rodzinie Power-sów, które podążały za swymi mężami marynarzami.

Teraz, mając drugiego męża, zamierzała być lepszą żoną. A jeśli ona będzie lepszą żoną, wówczas Matt, na ładzie i na morzu, będzie lepszym mężem.

W każdym razie nie ożenił się z nią dla pieniędzy, tak jak uczynił to Robert, choć wtedy była zbyt naiwna, by zdać sobie z tego sprawę. Oplakiwała zmarłych rodziców i nawet przez myśl jej nie przeszło, aby się zastanowić, dlaczego przystojny, czarujący dżentelmen nagle zakochał się do szaleństwa w niezdarnej, łatwowiernej dziewczynie, bez salonowych manier i w dodatku nie grzeszącej urodą.

Matt ożenił się z nią, nie widząc jej i niewiele o niej wiedząc. Gdyby dano jej wybór, wolałaby raczej zostać wybrana ze względu na swą użyteczność niż domniemany spadek.

Ale przecież Matt ją pocałował. A poza tym nie raz i nie dwa przyłapała go, jak dziwnie na nią patrzył.

Ośmielił ją

na tyle, że się w nim zakochała, co nie było fair, chyba że zamierzał odwzajemnić jej miłość. Jedno wiedziała o Matthew Powersie z całą pewnością - był uczciwym człowiekiem.

Ulokowanie się na dnie łódki zabrało jej kilka minut. Po mniej niż trzydziestu sekundach wygramoliła się z niej, machając rękami jak cepami. Przerażona, zadała sobie pytanie, czy nie powinna po prostu zadowolnić się tym, że ma dach nad głową i dziecko, które wypełnia jej czas i bolesną pustkę w sercu. Wyszli na nowej stacji kolejowej na głównej ulicy Norfolk. Matt zostawił tam Luthera, polecając mu pilnować bagażu, a sam wyszedł na ulicę w poszukiwaniu dorożki.

- Może pan zaczekać chwilę, kapitanie! - zawołał za nim Luther. - Chciałbym pana o coś spytać.

Luther głęboko się nad czymś zastanawiał, odkąd przekroczyli granice Wirginii. Prawdopodobnie chodziło o jego funkcję na statku i o to, kto zajmie miejsce Billy'ego. Matt zbył go milczeniem, bez reszty pochłonięty czytaniem każdego listu, każdego raportu od Quimby'ego od czasu, kiedy po raz pierwszy zwrócił się do tego człowieka, by odzyskał w jego imieniu „Czarnego Łabędzia”.

Z kolei teraz, kiedy zostały zaledwie dwie godziny do odjazdu pociągu do Bostonu, zamierzał przede wszystkim dotrzeć do źródła swoich kłopotów i usłyszeć odpowiedzi na parę pytań. Po tych wszystkich listach, które napisał, znał adres na pamięć.

- Później - rzucił przez ramię.

Godzinę i dwadzieścia pięć minut później z powrotem wyszedł na drobny deszcz, a na jego twarzy malowało się niedowierzenie pomieszane z gniewem. Zanim dotarł do stacji, gdzie już czekał na nich pociąg do Bostonu, niedowierzenie ustąpiło miejsca determinacji-

- O ile sobie przypominam - powiedział mu Horace Bagby, którego dopadł w jego własnym biurze - pańska żona wyjechała z Norfolk wkrótce po ślubie. Zdaje się, następnego dnia czy coś koło tego. Odniosłem wrażenie, że pańska ciotka zamierzała jej towarzyszyć, ale nie potrafię powiedzieć nic więcej ponad to, bo nie miałem okazji widzieć pańskiej... żony po tym, jak wyszła z mego gabinetu. Sądziłem, że do tego czasu na pewno się u pana zjawiała.

Matt zaczynał wyczuwać w tej sprawie coś złego. Zaczynał, dobre sobie! Czuł to od chwili, kiedy podpisał tę przekłętą umowę małżeńską.

- Według Bess - burknął z niecierpliwością - moja żona została nagle wezwana do jakiejś chorej krewnej. Tydzień lub dwa później Bess zjawiała się u mnie z towarzyszką, niejaką Rose Littlefield. Twierdziła, że przybyły pomóc mi w opiece nad dzieckiem do przyjazdu mojej żony.

Bagby wyraźnie się wzdrygnął.

- O Boże, tego się obawiałem - wyszeptał.

- Obawiał się pan? - Matt nagle poczuł nieznośny ucisk w żołądku.

- Proszę zauważyć, że nigdy nie brałem udziału w...

cóż, w niczym poza samym podpisaniem aktu małżeństwa. Jak przypuszczam, wie pan, że pełne nazwisko pańskiej żony brzmi: Augusta Rose Littlefield Magruder.

- Rose Littlefield? Z dokumentów wynika, że poślubiłem niejaką Augustę R. L. Magruder.

- Używa drugiego imienia i panińskiego nazwiska. Otrzymała imię po babce, Auguście Littlefield, która, tak się składa, była dobrą przyjaciółką Bess i moją klientką, aż do śmierci. Wyszła za człowieka nazwiskiem Magruder - to znaczy Rose, nie Augusta. Ten człowiek utonął, jak mi się zdaje, dlatego Rose zamieszkała z babką. To wówczas ją poznałem.

Teraz, kiedy było za późno, Horace Bagby nagle okazał się niewyczerpanym źródłem informacji. Matt był jak ogłuszony. Milczał, nie mając pojęcia, jakimi słowami wyrazić poczucie doznanej krzywdy.

Prawnik pospieszył wypełnić ciszę.

- Wie pan, teraz, gdy o tym pomyślę, widzę wyraźnie, co się stało. Bess wspomniała, zdaje się, że pana żona miała pewne... wątpliwości. Ostrzegłem ją, to znaczy Bess, żeby nie próbowała żadnych sztuczek. Powiedziałem, że cokolwiek zrobi, ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- To dlatego nie odpowiadał pan na moje listy? Starszy mężczyzna próbował zrobić oburzoną minę, ale mu się nie udało.

- Zdaje się, że na pierwszy odpowiedziałem w stosownym czasie.

- W stosownym, dobre sobie! Zajęło to panu trzy tygodnie!

- Wiem z doświadczenia, kapitanie, że tam, gdzie w grę wchodzi prawo, pośpiech nigdy nie popłaca. Matt prosił Boga o cierpliwość. W przeciwnym razie skręci kark temu mężczyźnie.
- Odpowiedział pan, rzeczywiście. List naszpikowany „zważywszy że” i innymi prawniczymi bredniami i ani jednego cholernego faktu.
- O ile mnie pamięć nie myli, pytał pan o swoją żonę. A ja, zdaje się, odpisałem panu wówczas, że choć jej nazwisko mogło pojawić się w jakiejś rozmowie, nie widziałem jej od dnia ślubu. Wkrótce potem, o ile sobie przypominam, wyjechałem z miasta w prywatnych sprawach.
- W prywatnych sprawach, dobre sobie. - Matt nawet nie próbował ukryć rozgoryczenia. Policzki Bagby'ego przybrały odcień ziemisty.
- Kapitanie Powers, znam pańską ciotkę od lat. Mam honor zaliczać ją do grona najbliższych przyjaciół, ale musi pan zrozumieć i jestem pewien, że ma pan tę świadomość, skoro Bess jest pańską krewną, że czasami... to znaczy od czasu do czasu, pańska...
- Ta kobieta kłamie jak z nut. Zawsze woli skłamać, niż powiedzieć prawdę.
- Cóż, nic z tego nie było moim pomysłem, co więcej, przypominam sobie, że ostrzegłem ją surowo...
- Nie wysilaj się, Bagby. Spieszę się na pociąg do Bostonu. Bess obmyśliła plan i okłamała nas obu, czy o to chodzi?
- Kłamstwo to względny termin. Ja użyłbym tu raczej słowa „wykręt”. - Prawnik zakaszłał dyskretnie.

- Jak pan zapewne wie, pańska ciotka ma twórczy umysł. Od czasu do czasu ta cecha, podobnie jak jej... no, wrodzony entuzjazm... może doprowadzić ją poza granice zdrowego rozsądku.

- Innymi słowy, kiedy moja żona postanowiła przybyć do mego domu pod fałszywym nazwiskiem i zaskarbić sobie moje względy, sprawdzając jednocześnie, czy warto zostać ze mną na stałe, Bess z ochotą jej w tym dopomogła. Zacznijmy od tego, że prawdopodobnie sama zaproponowała takie rozwiązanie. Czy właśnie to próbuje mi pan powiedzieć?

- Właściwie tak. Choć nie wierzę...

- Proszę to unieważnić.

- Nie rozumiem?

- Proszę unieważnić to małżeństwo. Niech pan zrobi, co trzeba, byle uwolnić mnie od jakichkolwiek zobowiązań wobec tej kobiety. Niech mnie diabli, jeśli zgodzę się na żonę oszustkę. Zacznijmy od tego, że nigdy nie chciałem się żenić, a mimo to pozwoliłem, by Bess mnie do tego namówiła. Powiedziawszy to, Matt wstał, z trudem panując nad gniewem. Musiał się wydostać z tego małego, zagraconego biura.

Znalazłszy się na chodniku przed domem, wystawił twarz na zimną mżawkę, zaczerpnął kilka głębokich oddechów, po czym szybko ruszył w kierunku stacji. Dwie przecznice dalej złapał dorożkę. Kiedy wyskoczył z niej na stacji, zapłacił woźnicy i ruszył na poszukiwanie Lut-hera, miał gotowy plan działania.

Już ona mu za to zapłaci. Dla Bess było za późno; po-

stępowala w taki sposób przez całe życie, ale tak czy inaczej zamierzał dać swej przewrotnej żonie lekcję, której ona nigdy nie zapomni.

Sanford Dixon przyszedł na kolację wraz z ojcem ostatniego wieczoru przez odjazdem Bess z Powers Point. Był młody i miał prezencję, a ponieważ Rose brakowało Matta bardziej, niżby się tego spodziewała, poświęciła mu sporo uwagi.

- W przyszłym roku kończę studia w Chapel Hill. - Między zupą rybną a puddingiem chlebowym opowiedział jej właściwie całe swoje życie. - Zamierzam zająć się polityką. Czy mój ojciec pani o tym mówił?

- Zdaje się, że coś wspominał - powiedziała półgłosem Rose.

- Widzi pani, pracuję nad projektem poprawy stanu szkolnictwa, a kiedy go skończę, zamierzam zrobić coś w sprawie transportu publicznego. Ma pani pojęcie, jak trudno dostać się z jednego miasteczka do drugiego?

Rose, której przypomniały się własne niedawne doświadczenia, przytaknęła. Taka zachęta w zupełności wystarczyła, by Sandy roztoczył przed nią plan stworzenia sieci dróg wysypanych tłuczniem, którymi będą jeździć sznury regularnie kursujących dorożek i szybkie wozy łączące wszystkie miasta między Charlestonem a Norfolk, zamieszkane przez przynajmniej kilkuset mieszkańców.

Kiedy goście wreszcie wyszli, Rose ziewała, Crank zdążył już pozmywać i wytrzeć ostatni talerz, Peg naniósł drewna na poranną podpałkę i obaj odeszli do swoich pokojów.

- Cóż, sądząc po tym, jak ten młody człowiek na ciebie patrzył, powiedziałabym, że mamy tu do czynienia z obiecującą sytuacją, nieprawdaż? - Bess uwielbiała „obiecujące sytuacje”.
- Rose zamknęła frontowe drzwi i na moment wsparła się czołem o chłodne drewno.
- Zanim powiesz jeszcze słowo... nie rób tego, po prostu nie rób.
- Nie robić czego? - spytała starsza pani, istne wcielenie niewinności.
- Rose odwróciła się twarzą do niej i pokręciła głową.
- Sandy to miły młody człowiek. Luther to miły młody człowiek i John też, skoro już o tym mówimy. Zdajesz się zapominać, że ja mam męża.
- Matt to moja krew i kocham go jak syna, ale ten chłopak nie ma pojęcia o kobietach, a tym bardziej o własnej żonie. Musisz rozbudzić jego zainteresowanie, zanim będzie za późno, bo inaczej ujrzysz go dopiero, jak oboje będziecie zbyt starzy, by pamiętać, po co właściwie się pobraliście.
- Pobraliśmy się, bo ja potrzebowałam pracy, a on opiekunki do dziecka - zauważyła beznamiętnie Rose. Zirytowana, podniosła rękę. - Poza tym, jego tu nie ma. Jeśli chodzi ci o to, bym wzbudziła w nim zazdrość, w jaki sposób mam to zrobić, skoro on jest w Bostonie? A nawet gdyby tu był, nic by go to nie obeszło.
- To twoje zdanie.
- Wiem, że nie powinnam była się na to godzić. Wiem, że oszustwo nie popłaca. Wiem...
- Bzdura. Gdybyś nie przyjechała tu incognito, nie

przyjechałabyś w ogóle. Zamiast tutaj, siedziałabyś teraz na jakimś rozgrzanym strychu i zarabiała tyle, co kot napłakał, urabiając sobie ręce po łokcie u jakiejś baby, która miałaby cię za nic, a jej mąż każdej nocy wślizgiwałby się do twego łóżka w wiadomych celach.

- Och, na miłość boską, przestań obracać wszystko, co się dzieje, w którąś z tych twoich obrzydliwych historii! Rozmawiamy o moim życiu! Próbuję powziąć poważną decyzję, podczas gdy ty...

- A myślisz, że o czym są powieści? Czy kiedykolwiek zadałaś sobie trud, by którąś z nich przeczytać, czy też wszystko, co czytałaś, to te wypełniacze półek, których tony zostawił twój dziadek? Gussy nie przeczytała żadnej z tych cegieł, mogę cię o tym zapewnić. Idę o zakład, że ten fajtłapa, którego poślubiła, również nie przeczytał ani jednej, ale imponująco wyglądały w jego bibliotece. Czyste marnotrawstwo, jeśli chcesz znać moje zdanie. Tyle zapisanych słów i żadne z nich nigdy nie przeczytane.

- Dobranoc, Bess.

- Zaczekaj, jeszcze nie skończyłam.

- Ten fajtłapa był moim dziadkiem.

- Nawet nie pamiętasz tego człowieka. Zmarł, zanim przyszedł na świat. Był fajtłapą. Teraz posłuchaj. Jutro odpływam statkiem pocztowym, ale zanim wyjadę...

- Ja zostanę. Incognito czy nie, dałam słowo. A do twojej wiadomości, potrafię już wysiedzieć w tej przeklętej łódce prawie pięć minut i nawet nie zbiera mi się na mdłości.

Wyszła z pokoju, nie spostrzegając uśmiechu Bess ani nie słysząc jej cicho wypowiedzianego komentarza.

- Cóż, czy to nie ciekawe? Teraz, gdy w garnku się gotuje, zobaczymy, co wypłynie na wierzch.

Kiedy pociąg wjechał na stację, zrobiło się późno. Zbyt późno, żeby udać się do portu. Matt był tak zmęczony, że powinien zasnąć, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki. Tymczasem rozmyślał nad tym, jakie kroki powinien poczynić przed przejęciem statku.

Na sąsiednim łóżku chrapał Luther. Chłopak przez ostatnie parę godzin zachowywał się jak lunatyk. Matt zamierzał wynająć dwa pokoje, ale w drodze na północ jeszcze raz przeanalizował stan swoich finansów, co uświadomiło mu, że powinien się ograniczać; Wyglądało na to, że samo odkupienie statku pochłonie wszystkie jego oszczędności, co do centa. Doprowadzenie Powers Point do porządku kosztowało go więcej, niż zakładał.

Luther wciąż chrapał. Matt zazdrościł chłopakowi zdolności zasypiania o każdej porze i wszędzie, gdzie się dało. Wbijał spojrzenie przekrwionych oczu w ciemność i powtórnie analizował listę spraw do załatwienia.

Naprawa - bez tego się nie obejdzie. Przegląd od dziobu do rufy. Skompletowanie załogi. Bez pośpiechu. Najważniejsze to znaleźć odpowiednich ludzi.

Ładunek. Kiedy przyjdzie do zdobywania ładunków, będzie musiał zabiegać o kontrakty, bo długo był nieobecny na rynku.

Rose. Przeklęta oszustka. Klęczała w piasku i próbowała zmusić zwiędłe zielsko do życia, unosiła zaróżowioną twarz i uśmiechała się...

Po drugiej stronie pokoju Luther wymamrotał coś przez

sen. Matt położył się na brzuchu, uderzył pięścią w poduszkę i nakazał umysłowi spokój. Do diabła, rano musiał być przytomny.

Wydawało mu się, że ranek nadszedł po kilku chwilach. Otworzył oczy, mrugnął dwa razy, by rozpatrzeć się w położeniu, pp czym jęknął i usiadł. W głowie mu huczało jak w kotle, ale na przekór wszystkiemu zaczął się szeroko uśmiechać.

Cztery lata. Po czterech długich latach „Czarny Łabędź” wreszcie znów do niego należy.

W każdym razie tak będzie, kiedy tylko podpisze papiery i wręczy czek na wszystkie oszczędności.

- Wstawaj, leniwy nicponiu, chcesz przespać swoje nędzne życie? - Wyskoczył z łóżka, przetarł pięściami oczy, po czym chwycił spodnie i podszedł do umywalni. - Muszę być u Quimby'ego o siódmej. Mamy w sam raz tyle czasu, by przegryźć śniadanie, a potem ty udasz się do hali i zaczniesz rozglądać się za załogą. Dołączę do ciebie, jak tylko załatwię wszystko z Quimbym.

Nie upłynęła godzina, kiedy Matt, wyjątkowo ożywiony, jeśli wziąć pod uwagę brak snu i pośpiesznie zjedzone śniadanie, kroczył w kierunku portowego biura Asa Quimby & Associates, a jego umysł przepełniało radosne oczekiwanie.

Luther podążał za nim, dłubiąc w zębach.

- Proszę poczekać, kapitanie. Nie zdążyłem pana spytać o...

- Odpowiedź brzmi: tak. Jesteś moim nowym pierwszym oficerem, jeśli to miałeś na myśli. Jak sądzisz, poradzisz sobie?

- Tak, na pewno, to znaczy, będę robił wszystko, co się da, żeby godnie zastąpić Billy'ego, ale nie o to chciałem zapytać.

- Nie? - Matt nie zwolnił kroku.

- Chodzi o Rose, kapitanie.

- O Rose?

- Tak, kapitanie, widzi pan, myślałem sobie... to znaczy, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym zacząć się o nią starać, kiedy ją znów zobaczę, tyle że nie mam wiele do zaoferowania. Dlatego zastanawiałem się... czy gdyby za mnie wyszła, mogłaby zostać w Powers Point, a kiedy przybędzie*1am pańska żona, mogłaby dotrzymywać jej towarzystwa... może pomagać przy Annie i tak dalej?

Do diabła! Matt powoli się odwrócił i utkwiał wzrok w przystojnym młodym marynarzu.

- Co takiego?!

Dwaj pijacy, którzy najwyraźniej udawali się do domu po nieprzespanej nocy, zderzyli się z Mattem. Instynktownie zacisnął dłoń na portfelu, przytrzymał dłoń wślizgującą się do kieszeni i mocno wykręcił nadgarstek napastnika. Kieszonkowcy wzięli nogi za pas, a Matt ponownie przeniósł uwagę na Luthera.

- Zamierzasz ożenić się z Rose?

- Jeśli będzie mnie chciała. Nie spieszy mi się, ale wydaje mi się, że mężczyzna powinien mieć żonę i dziecko albo dwójkę, bo inaczej, kiedy odchodzi na zawsze, nic po nim nie zostaje. Weźmy Billy'ego...

- Porozmawiamy o tym później - uciał Matt. - Mam już i tak za dużo na głowie.

Przyspieszył kroku i poszedł w kierunku biur na nabrzeżu, gdzie urzędowali brokerzy, kupcy, firma ubezpieczeniowa i całe mnóstwo prawników specjalizujących się w prawie morskim. Będzie potrzebował ich wszystkich do czasu ostatecznego załatwienia sprawy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ten widok złamał mu serce. Nie znajdował innych słów na opisanie bólu, który odczuwał, stojąc w doku i patrząc przez port na swój ukochany statek. „Czarny Łabędź” był niczym wielka dama, na którą przyszły ciężkie czasy. Dumna, młoda piękność zmuszona wyjść dla zarobku na ulicę. Zordynarniała, a duma, która niegdyś rozsadzała jej pierś, teraz należała do przeszłości.

Matt wyrzucił z siebie wiązkę przekleństw. Kiedy zabrakło mu słów, miał łzy w oczach.

- Zajmiemy się tobą - wyszeptał.

Poprzysiągł sobie, że nawet gdyby musiał sprzedać Powers Point - a było to całkiem prawdopodobne - ujrzy statek znów czystym i lśniącym, z porządnie naprawioną częścią nadwodną, z nowymi żaglami trzepoczącymi nad pokładem zamiast brudnych, byle jak połatanych szmat, które widział teraz.

To, co zobaczył z tej odległości, wystarczyło, by go załamać. Na myśl o tym, czego nie widział, zrobiło mu się niedobrze. Bóg jeden wie, w jakim stanie było dno statku. Przeżarte przez robaki, to pewne. Quimby uprzedził go, że podczas burzy w pobliżu Barbados uszkodził się kil i ster, ale Matt uznał, że uszkodzenie zostało szybko zreperowane. Żaden właściciel cennego statku nie dopuściłby

do tego, by uszkodzenia konstrukcji pozostały nie naprawione, a już z pewnością, jeśli w grę wchodziło coś tak istotnego.

Chyba że ubezpieczono go znacznie ponad jego wartość...

- O Boże. O Boże! Kapitanie, to chyba nie „Czarny Łabędź”, prawda?

Luther stanął za plecami Matta. Obaj mężczyźni milczeli, patrząc przez wodę na statek, który obydwaj kochali, jedyny dom, który Luther znał poza Powers Point, odkąd dwanaście lat temu wyruszył na morze jako dziesięcioletni wyrostek.

- Na razie nie będziemy się ubiegać o ładunki.

- Nie, kapitanie, domyślam się, że nie. Czy zdołamy dopłynąć na nim do Norfolk? Gdyby, z niewielką załogą, udało nam się doprowadzić go do tamtejszego portu, moglibyśmy posłać Pega, żeby nadzorował prace remontowe.

Matt skinął głową. Myślał mniej więcej o tym samym. Statek miał za dużą wyporność na to, by wpłynąć do jakiegokolwiek cieśniny w pobliżu Outer Banks, ale port w Norfolk nie był aż tak daleko. To o wiele lepsze niż Boston.

- John mógłby zostać w Powers Point do pomocy w gospodarstwie, a ja i Peg zamieszkalibyśmy na pokładzie „Łabędzia” - ciągnął Luther.

Chłopak ma głowę na karku, choć od czasu do czasu zajmuje się głupotami, pomyślał Matt.

- Zobaczymy. Przede wszystkim trzeba odpompować dno statku i przekonać się, czy można na nim popłynąć.

Nim dzień dobiegł końca, Matt polecił Lutherowi

zatrudnić możliwie najlepszych ludzi, zdolnych przeprowadzić wstępne oględziny „Czarnego Łabędzia” i naprawić go na tyle, by zdołał popłynąć na południe. Kiedy znajdą się już w porcie w Norfolk, przyjdzie czas na kapitalny remont.

Sam wrócił do banku i załatwił pożyczkę na pokrycie kosztów bieżących napraw; reszta mogła zaczekać, aż znajdą się bliżej domu.

Domu? Jak daleko zdołał sięgnąć pamięcią, jego domem był ten statek.

Dopiero dwa dni później, kiedy z dna „Łabędzia” wypompowano wodę i Matt osobiście obejrzał każdy centymetr kadłuba i części nadwodnej, pozwolił sobie na myślenie o czymś innym prócz bieżących spraw. Ponieważ długi zaczynały narastać, dotarł do towarzystwa ubezpieczeniowego, w którym kiedyś wykupił polisę. Dowiedział się, że ubezpieczenie wygasło blisko trzy lata temu. To bez wątpienia tłumaczyło, dlaczego dopuszczono do tego, żeby statek zmienił się w ruinę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ubezpieczyłby go w obecnym stanie.

Ponieważ wydał wszystko, co do centa, na odkupienie statku, prowizję Quimby'ego i niezbędne naprawy, umówił się na spotkanie w banku. Choć robił to wyjątkowo niechętnie, zamierzał oddać Powers Point w zastaw hipoteczny.

Urzędnik nie był skłonny do udzielenia pożyczki, z uwagi na lokalizację posiadłości.

- Gdyby była położona w którymś z waszych dużych miast - na przykład w Charlotte albo Charlestonie...

- Charleston znajduje się w Karolinie Południowej -zauważył Matt, zdeglustowany prowincjonalizmem jankeskiego urzędnika.

- Ale tam nic nie ma - ciągnął urzędnik, na co Matt odparł, że mówią o dziesięciopokojowym domu, stadzie koni, kilku budynkach gospodarczych i przystani. Nie można też zapominać o tym, że w pobliżu, zarówno od północy, jak i od południa, leży kilka dużych miast.

Można byłoby to uznać za pewną przesadę, ale skoro urzędnik nie miał na tyle rozumu, że przeniósł Charleston kilkaset kilometrów na północ, nie zasługiwał na nic lepszego.

Matt strawił cztery godziny na przekonywaniu przedstawiciela banku, by pożyczył mu trzy tysiące dolarów pod zastaw statku i majątku, rozciągającego się od cieśniny Pamlico do Oceanu Atlantyckiego i na sześć kilometrów z północy na południe.

Brzmiało to o wiele bardziej imponująco, niż było w rzeczywistości.

Tymczasem polecił Lutherowi zatrudnić czterech mężczyzn, najlepiej takich, którzy znają się na stolarce, na wypadek, gdyby podczas rejsu na południe trzeba było dokonać kolejnych napraw. Nigdy dotąd nie pływał na „Łabędziu” z załogą liczącą mniej niż dziewięciu ludzi, ale Luther mógł brać podwójne wachty. Co zaś do niego samego, wiedział, że nie zmruży oka, póki nie zawiną bezpiecznie do znajomego portu.

Był środek lata, za późno na wiatry z północnego wschodu, które często atakowały wybrzeże przez wiele dni z rzędu, a za wcześnie na huragany. Przy odrobinie

szczęścia może dotrą do Norfolk w ciągu trzech dni - góra czterech. Wcześniej zatelegrafowali i zabukowali miejsce na przystani, a we wtorek wyruszyli, z czterema nowymi członkami załogi, którzy po dwóch pełnili dyżury przy pompach.

Morze było spokojne, a wiatr zaledwie marszczył lustro wody. Oznaczało to niespieszny rejs, co w ich obecnej sytuacji było bezpieczniejsze niż szybkie tempo, o ile zdołają uniknąć przecieków. Ze względu na byle jak naprawiony ster statek miał tendencję do zbaczania z kursu. Matt stanął przy kole sterowym, przedtem ściągawszy buty, by wyczuwać najlżejsze drgnienia.

Godzina po godzinie prowadził „Łabędzia” do celu, przemawiał doń cicho, zachęcał do wysiłku, wspominał dobre dni, które przeżyli razem przed laty, i mówił o wielu, które jeszcze ich czekają. Minęli dwa parowce udające się na północ; trzy inne wyminęły ich w drodze na południe. Przy ujściu Delaware przepłynęli obok kilku stalowych okrętów wojennych, dopiero co zbudowanych w Newport News. To im uświadomiło, że złote czasy żeglugi mają się ku końcowi.

Przez dwie godziny z każdych dwudziestu czterech Matt pozwalał Lutherowi, by ten zastąpił go przy sterze. Chłopak był wszędzie, mierzył poziom wody na dnie, sprawdzając, czy pompy dobrze działają, oglądał olinowanie, szukając przetarć, których mogli nie zauważyć wcześniej, nadzorował załogę. Dwadzieścia dwa lata to niezbyt dużo na pierwszego oficera, ale Luther był dobrym, doświadczonym marynarzem. Matt znał jego mocne strony

i słabości. Jeszcze dziesięć lat i będzie z niego świetny kapitan.

Dzięki Bogu jeden z nowych ludzi cały czas trzymał na piecyku garnek z gorącą kawą. W regularnych odstępach podawał Mattowi kubek gęstej kawy i dwa bostońskie suchary z kielbasą i serem.

Kiedy mijali przylądek May, zerwał się wiatr, ale słońce paliło wyjątkowo mocno. Broda swędziała Matta i mógłby przysiąc, że włosy urosły mu przynajmniej o cztery centymetry. Luther w trakcie obchodu zaczerpnął tykwą wody z jałowcowej beczki stojącej na pokładzie i polał nią głowę i ramiona.

- Chce pan, żebym przyniósł panu brzytwę?

- Nie zamierzam się golić, póki nie spuścimy kotwicy - odparł Matt z czerwonymi z niewyspania oczami, jednak w jego tonie dawało się wyczuć ostrożny optymizm. Marynarze od zawsze byli przesądni. Matt był zbyt inteligentny, by wierzyć w takie bzdury, ale kiedy karta nie idzie, po co ryzykować?

Chłopak uśmiechnął się szeroko i ponownie zanurzył tykwę w beczce, zamierzając dolać wody do garnka z kawą, kiedy będzie przechodził koło kuchenki.

- Uda się nam, kapitanie. Może ten statek nie wygląda teraz najlepiej, ale jest wart swojej ceny.

Ciekawe, dlaczego, u diabła, te słowa przywiodły mu na myśl Rose? Bo Rose wygramoliła się z wozu przed paroma miesiącami, przypominając węzełek starych szmat wyrzucony na brzeg? Bo doszło do tego, że jest niemal ładna?

Co tam ładna, piękna.

Była również kłamliwą intrygantką, która postanowiła go oszukać, zanim jeszcze go poznała, pomyślał z goryczą. Wciąż jeszcze nie zdecydował, co z nią zrobi. W każdym razie nie była już jego żoną, o ile Bagby zastosował się do jego poleceń.

Wybiegł myślą naprzód, rozważając różne możliwości. Kiedy „Łabędź” zostanie zacumowany w porcie, trzeba posłać po Pega, który zajmie się doglądaniem remontu. Tym samym w Powers Point będzie mało rąk do pracy, Matt jednak nie zamierzał się godzić na to, żeby Luther wracał na wyspę. Postanowił wybrać się tam osobiście. Do tej pory na pewno wymyśli, jak postąpić z byłą żoną. Kłopot w tym, że jej potrzebował.

Poprawka: Annie jej potrzebowała. On nigdy nie potrzebował żadnej kobiety, a jeśli już, to tylko w tym najbardziej podstawowym sensie.

Tak, powtarzaj to wystarczająco często, Powers, a może nawet w to uwierzysz.

Klnąc, zdjął czapkę oblamowaną skórą, przejechał twardym przedramieniem po piekących oczach, po czym na powrót wcisnął czapkę na głowę. Był zbyt stary na to, by obywać się bez snu dłużej niż trzydzieści sześć godzin. Brak snu mącił mu umysł i sprawiał, że działy się z nim dziwne rzeczy.

- Musisz tylko pamiętać, że ta kobieta cię okłamała - powiedział wiatrowi.

- Podobają jej się rozwiane ogony - powiedział cicho John. Zawsze mówił cicho. Był spokojnym, zrównoważo-

nym mężczyzną, co Rose bardzo odpowiadało. Nawet kiedy Jericho zrzucił go na ogrodzenie padoku, a potem rozbił kolejną bramę, John po prostu podniósł się z ziemi, otrzepał z piachu i poszedł powoli za szalejącym ogierem, przemawiając do mego tak spokojnie jak zawsze.

Annie zatrzepotała rękami i zaśmiała się. Uwielbiała patrzeć na konie i tu John miał rację - kiedy wiatr rozwiewał im grzywy i ogony, wprost promieniała.

A wiatr wiał już od trzech dni, nie ustając ani na chwilę, nawet w porze, którą Peg i Crank nazywali spokojną godziną zero, tuż przed świtem. Nie było deszczu, a jednak chmury wciąż zwisały nisko nad ziemią. Rose, zmęczona siedzeniem w domu, wyszła na dwór, nie zważając na przyklejający się do ciała piach, przyglądać się, jak John pracuje z końmi.

Dobrze, że przynajmniej nie było żadnych dokuczliwych owadów. Wszystkie wywiało na Diamond Shoals, przynajmniej tak utrzymywał Crank, który teraz nieco zwawiej chodził, bo zażywał specyfik sprowadzony na specjalne zamówienie z kontynentu.

Rose miała powody przypuszczać, że specyfik zawierał przede wszystkim alkohol, ale jeśli pomagał, to kim ona była, by się oburzyć? Poza tym, skrzynka cudownego lekarstwa na wszystkie bóle kosztowała o wiele mniej niż skrzynka brandy. -

Nie było dnia, żeby nie wspinała się na drabinę prowadzącą na wdowi ganek, by wypatrywać stamtąd statku Matta, choć bardzo dobrze wiedziała, że „Czarny Łabędź” najprawdopodobniej zostanie zacumowany w porcie w Norfolk, o ile naturalnie zdoła dopłynąć tak daleko na

południe. Nasłuchiwała rozmów mężczyzn i zbierała strzępki informacji, aż potrafiła poskładać je w całość. Zona kapitana statku powinna wiedzieć przynajmniej tyle, żeby uchodzić za pojętą słuchaczkę.

Dwaj starzy marynarze opisali statek Matta w najdrobniejszych szczegółach, nie pomijając nawet złotych zakrętów na tabliczce z nazwą. Kiedy się ich słuchało, można byłoby pomyśleć, że to najszybszy żaglowiec na ziemi, najpiękniejszy statek, jaki kiedykolwiek pływał po oceanie, z wytwornymi pomieszczeniami dla załogi, a kabina kapitańska była stosowna dla perskiego księcia. Wszystko, o czym mówili, zamierzała zobaczyć pewnego dnia na własne oczy.

- John - zawołała, zdumiewając sama siebie - jak myślisz, czy mógłbyś nauczyć mnie jeździć konno? Ciemnooki młody człowiek z wioski odwrócił się i spojrzał na nią uważnie. Nigdy nie wiedziała, co myślał. W dodatku niewiele mówił.

- A to dlaczego?

Zakłopotana Rose zastanawiała się przez chwilę, czy nie powiedzieć mu prawdy - że chce zrobić wrażenie na mężu, kiedy ten, jeśli w ogóle, wróci do domu. Bóg jeden wie, że nie miała za bardzo czym się chwalić. Właściwie wszystko, co tak pieczołowicie posadziła, zwiędło. Najwyraźniej nie nadawała się na ogrodniczkę, może jednak, gdyby wykazywała większą samodzielność, on nie zwracałby uwagi na jej braki.

- Po prostu mnie naucz, to wszystko. Umiem powozić, ale nie ufam tej mulicy.

Wygiął wargi w uśmiechu, który znikł, ledwie się po-

jawiał. Przystojny młody człowiek, przyznała w duchu Rose. Ciekawe, czy ma żonę. A skoro tak, jak godzi się z tym, że jej mąż tak wiele czasu spędza w Powers Point?

- Nie mamy damskiego siodła - zauważył.

- To naucz mnie jeździć bez siodła, tak jak robicie to wy, mężczyźni.

- Szanowna pani, myślę, że kapitanowi by się to nie podobało.

- Kapitana tu nie ma.

- Dowie się o tym.

- W jaki sposób?

- Myślę, że ja mu to powiem. Zirytowana Rose potrząsnęła głową.

- Nieważne, sama się nauczę. - Potrafiła już bronić się przed chorobą morską. A w każdym razie nie dostawać mdłości, siedząc na ławeczce w łódce w spokojny dzień, naturalnie kiedy łódka była przywiązana do nabrzeża. W każdym razie początek został zrobiony.

Na drugi dzień, kiedy Annie słodko drzemała, a Crank siedział przed drzwiami jej sypialni, łuskając fasolkę, Rose miała odbyć pierwszą lekcję jazdy. Pożyczyła sobie parę spodni Luthera, przewiązała je w talii żółtą muślinową szarfą i teraz stała na odwróconej do góry dnem beczce, zbierając się w sobie, by ponownie przerzucić nogę przez koński grzbiet. Przy pierwszej próbie poniosła klęskę.

- Potłucze się pani - ostrzegł ją John.

- Już jestem poduczona. Równie dobrze mogę wynieść z tego jakiś pożytek.

John nie ukrywał dezaprobaty dla jej poczynań, ale

przytrzymał klacz. Widząc, że Rose zamierza to zrobić, z nim czy bez niego, z niechęcią zgodził się jej pomóc.

- Jeśli zamierza pani wsiąść na konia, musi pani wdrapać się na grzbiet. Nie, nie z tej strony. Zawsze trzeba wsiadać z lewej strony, bo inaczej koń się spłoszy.

Chyba jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się powiedzieć tylu słów za jednym razem. Rose, pod wrażeniem, wzięła głęboki oddech, ścisnęła w garści czarną grzywę i wskoczyła na koński grzbiet.

- No, Katie - powiedziała nerwowo, widząc, że klacz próbuje stanąć dęba. - Będziemy obchodzić się ze sobą delikatnie, prawda? ^

Dobry Boże, zrobiła to. Wreszcie siedziała na koniu. Powoziła od wczesnego dzieciństwa, kiedy niania woziła ją wokół domu w wiklinowym koszyku za pstrym konikiem pony, ale aż do tamtego dnia, kiedy Matt wyruszył jej na pomoc i przywiózł do Powers Point, nigdy nie dosiadała konia.

Matka nawet nie chciała słyszeć o tym, by kupić jej konia pod siodło. Jazda konna, oświadczyła, to niewłaściwy sposób spędzania czasu, jeśli idzie o młode dziewczęta.

- Później, kiedy wyjdiesz za męża, możesz spytać męża o zgodę. Ale wówczas nie będzie to już miało znaczenia.

W końcu, po kilku szeptanych rozmowach z dziewczętami w jej wieku, domyśliła się, że ma to coś wspólnego z dziewictwem. Najwyraźniej jazda na końskim grzbiecie powoduje jego utratę.

Bzdury, myślała teraz, żałując, że swego czasu była takim tchórzem. Obawiała się zrobić cokolwiek, co ściąg-

nęłoby na nią jeszcze większą niełaskę niż słuszny wzrost i brak urody. Kiedyś podsłuchiwała, jak matka żali się ojcu, że biedactwo nigdy nie znajdzie męża.

- W takim razie będzie nam pociechą na stare lata -odparł.

Żadne z nich nie pożyło na tyle długo, by się o tym przekonać, a Rose w końcu znalazła sobie męża. A właściwie on ją znalazł.

Teraz miała drugiego męża, który prawdopodobnie nie będzie jej chciał, kiedy tylko dowie się, kim ona jest, a więc co za różnica, jeśli nawet dosiadzie na oklep tuzina koni i pojedzie na plażę, gdzie spędzi cały dzień na tej przeklętej łodzi i ani razu nie wymiotuje?

- Podaj mi tylko wodze, jeśli można. Poradzę sobie -rzuciła.

- Tak, proszę pani - odparł John, a w jego czarnych oczach rozbłysło coś, co podejrzenie przypominało rozbawienie.

Crank przyniósł mały woreczek ryżu rozgrzany na płycie kuchennej, po czym taktownie wyszedł z pokoju, żeby Rose mogła przyłożyć go w miejscu, które bolało najbardziej. Dolał trochę swego specyfiku do herbaty, co nie poprawiło jej smaku.

Już za drzwiami zawołał:

- Gdy Dixon był tu ostatnio, mówił, że może będzie miał dobre wieści dla kapitana, kiedy ten wróci do domu.

- To miłe - odpowiedziała machinalnie Rose. Jęknęła, po czym popadła w zamyślenie. Może odziedziczyła po

babce coś więcej niż nie dające się ujarzmić włosy i parę oczu o barwie jasnego bursztynu?

- Nigdy więcej - przysięgła Annie, której łóżeczko zostało umieszczone obok jej łóżka. - Uszczypnij mnie, jeśli kiedykolwiek będę chciała dosiąść konia.

Szczypanie było najnowszym osiągnięciem Annie. Przede wszystkim w uszy, ale wargi plasowały się na drugim miejscu. Zwłaszcza poruszające się wargi. Ruch najwyraźniej ją fascynował.

- W porządku, możesz nawet nazwać mnie głupią. W swoim czasie wydało mi się to dobrym pomysłem. Mnóstwo kobiet jeździ konno^ Często widywałam, jak ubrane w modne stroje do konnej jazdy okrążały pomniki w parku Monroe.

Annie uderzyła drobnymi piąstkami w drewniane zabawki, które Peg wystrugał i powiesił jej nad posłaniem. Kiedy wyrosła z kołyski, zrobił dla niej małe łóżeczko ze szczebelkami, żeby nie mogła z niego wypaść.

- Ciekawe, gdzie on teraz jest. - Rose westchnęła. Ile razy wypowiadała tę myśl na głos? Tuzin? Więcej niż sto.

Wykrzywiła się pociesznie, obróciła na bok i potarła pupę, sprawdzając, czy ból zniknął. Niestety nie.

- Nikt mnie nie uprzedził, że spadnę jak worek owsa, kiedy ten przeklęty koń ruszy. Skąd miałam wiedzieć, że nie powinnam dotykać piętami jej boków? John mi tego nie powiedział.

Może nawet próbował, ale Rose uparła się, że wszystko będzie robiła po swojemu.

Okazało się to nie najlepszym pomysłem, o czym świadczyły jej liczne otarcia.

- Ktoś do nas idzie - obwieścił głośno Peg, który coś robił na podwórzu.

Rose jęknęła.

- O tej porze? - Wciąż jeszcze było jasno, choć kolację zjedli całe wieki temu. Mimo wszystko, lepiej będzie, jeśli wstanie i ubierze się, na wypadek, gdyby jej obecność okazała się pożądana. Po wyjeździe Bess to ona pełniła rolę pani domu. Któregoś dnia w ubiegłym tygodniu przyjechała tu konno z wizytą żona miejscowego urzędnika.

- No, niech mnie - usłyszała głos Cranka. Obaj mężczyźni usilnie pracowali nad poprawą słownictwa po tym, jak im uświadomiła, że Annie jest już na tyle duża, że uczy się nowych słówek. Któregoś dnia powiedziała nawet „mm, mm”. To zabrzmiało zupełnie jak „mama” i w oczach Rose zabłyśły łzy.

Z trudem naciągnęła sukienkę, którą zdjęła parę godzin temu, zanim nałożyła spodnie Luthera.

Wydała jej się wilgotna, tak jak prawie wszystko ostatnio. Przejechała szczotką po włosach, zaciesała je do tyłu i związała wstążką. To musi wystarczyć, powiedziała sobie w duchu, idąc z wysiłkiem do drzwi. Była poirytowana. Ktokolwiek przychodził o tej godzinie, zasługiwał...

- Matthew - wyszeptała. Litości, on jest w domu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Jego wyniosła postać odbijała się ciemną sylwetką na tle purpurowego zachodu słońca, a jednak robił wrażenie wycieńczonego, zupełnie jakby długo chorował. Rose stała i wpatrywała się w niego przez całą minutę, zanim uświadomiła sobie, że jest boso i ma na sobie cienką sukienkę włożoną na gołe ciało, bez jednej halki. A w dodatku nawet nie zaplotła włosów.

- Matt, jesteś chory? - szepnęła. Patrzył na nią tak przenikliwym wzrokiem, że przyszło jej do głowy, iż może ma gorączkę. Oczy płonęły mu jak rozżarzone węgle.

- Nie jestem chory. Gdzie jest Bess? Nawet jego głos brzmiał jakoś inaczej.

- Wyjechała kilka dni po tobie. Mówiła, że musi spotkać się z wydawcą w sprawie kolejnego projektu

- odparła bez zastanowienia, wybiegając myślą naprzód. On jest w domu. Jest wyczerpany. Dzieje się coś złego: On mnie potrzebuje.

Crank wyszedł na dwór po juki. Peg zajął się pożyczonym koniem, na którym przyjechał Matt. Święci pańscy, on nawet nie miał siły, by zrobić to sam, pomyślała. Matt, którego znała, rozsiodłałby i nakarmił konia, pożyczonego czy nie, a dopiero potem by się o siebie zatroszczył.

Wciąż stojąc w otwartych drzwiach, powiodła wzrokiem za jego ramieniem. Domyślił się, kogo szuka, i powiedział:

- Nie ma go tutaj.

- Czy wszystko w porządku? Odzyskałeś statek? Czy Luther jest...

- Odpowiadam na twoje pytania: nie, nie jest, tak, odzyskałem i tak, jest w porządku. A teraz, jeśli będzie pani uprzejma przesunąć się na bok, szanowna pani, chciałbym wejść do własnego domu.

Rose odskoczyła do tyłu jak oparzona.

- Nie miałam zamiaru... to znaczy, oczywiście, tak. Ja tylko...

Zwrócił się do niej per szanowna pani, ale w jego tonie nie było nawet odrobiny szacunku.

- Jak wróci Crank, powiedz mu, że zjem to, co zostało z kolacji. I niech nastawi garnek wody.

To było polecenie, nie prośba.

A czego się po nim spodziewałaś? Że weźmie cię w ramiona? Dla niego jesteś tylko kolejną parą rąk do pracy.

Zbyt szybko się odwróciła, zachwiała i oparła o ścianę, bo obolałe mięśnie dały o sobie znać. Zanim zdołała się pozbierać, mocno ścisnął ją za łokieć.

- Ostrożnie. Czyżbyś popijała brandy jak Bess? Blisko. Zażyła solidną dawkę środka przeciwbólowego, który dał jej Peg.

- Jeśli musisz wiedzieć, byłam już w łóżku.

- O tej porze? - Poprowadził ją do kuchni, ale nie ścisnął jej już tak mocno. Kiedy weszli, Rose zapaliła lampę, a tymczasem Matt odsunął krzesło od stołu i ciężko

usiadł. Ramiona mu opadły, zupełnie jakby do tej pory trzymał się prosto jedynie siłą woli. Choć sama czuła się wyjątkowo podle, ledwie się powstrzymała, żeby go nie objąć. Targana sprzecznymi emocjami, podeszła do skrzyni z podpałką, pochyliła się gwałtownie, jęknęła i złapała się za plecy.

Krzesło Matta uderzyło o ścianę, a on sam natychmiast znalazł się przy niej.

- Co ci się, u diabła, stało, kobieto?

- Nic mi się nie stało - rzuciła w odpowiedzi. To znaczy nic, jeśli nie liczyć utraty zdrowego rozsądku. Można by pomyśleć, że nigdy przedtem nie odczuwała bólu. Na litość boską, przecież to nie było nic takiego strasznego. Parę zadrapań, trochę otarć, kilka bolących mięśni...

- Siadaj, zaraz rozpalę ogień. Crank zostawił trochę gulaszu rybnego w chłodzie. - Odwróciła się do tylnych drzwi, nawet dość zręcznie jak na kogoś, kto ma naciągnięte mięśnie na plecach, podrapaną pupę i mocno obtarte uda.

- To ty siadaj - burknął Matt. Odsunął od stołu drugie krzesło i usadził ją na nim, nie zachowując należytej delikatności. Ponieważ wykrzywiła twarz w grymasie bólu, chciał wiedzieć, co się dzieje. - Do licha, Rose, jesteś nawet w gorszym stanie niż ja.

Trzaśnięcie drzwi wejściowych zapowiedziało przybycie obydwu starszych mężczyzn. Rose z jednej strony miała chęć uciec do siebie, z drugiej - pozostać w kuchni i wysłuchać nowin. Matt może nie zamierzał mówić jej o tym, co się wydarzyło, gdy pojechał odkupić statek, ale przecież nie mógł odmówić tego Pegowi i Crankowi.

- Widzę, że zniszczyłeś kolejną parę dobrych butów, kapitanie. - Crank spojrzał oskarżycielsko na zapiaszczone, pokryte zaciekami z soli obuwie Matta. - Siadaj, chłopcze, a ja naszykuję ci kolację. Peg, rozpal pod kuchnią. Rosie, co, u diabła, tutaj robisz? Powinnaś być w łóżku. Ta dawka, którą cię potraktowałem, powinna cię tam zatrzymać do jutrzejszego obiadu.

Na wynędzniałej twarzy Matta odbiła się konsternacja. Popatrzył od jednego do drugiego.

- Czy coś się stało Annie? - Nie przychodził mu do głowy żaden inny powód, dla którego Rose położyła się o tej godzinie do łóżka, zażywszy przedtem jedno z lekarstw Cranka.

- Z Annie wszystko w porządku. Rośnie tak szybko, że jej nie poznasz. - Rose posłała Crankowi ostrzegawcze spojrzenie, co tylko rozbudziło podejrzliwość Matta.

Coś było nie tak. Choć był wykończony, wiedział, że nie zaśnie, dopóki nie dowie się wszystkiego.

- Czy ktoś wreszcie zechce powiedzieć mi, co się tu, u licha, dzieje?

To Peg, kiedy już rozpałił ogień i nastawił wodę w kociołku, zapoznał go ze wszystkim. Rose miała ochotę czymś w mego rzucić, obawiała się jednak, że jakikolwiek gwałtowny ruch ją wykończy.

Boże, ależ ją bolało. Krochmal z mączki kukurydzianej, którym posmarowała sobie obtarte uda, był wilgotny

i lepki. Nie wiedziała tego na pewno, ale miała wrażenie, że spadając na ogrodzenie, podrapała sobie skórę na plecach.

- Nasza Rosie była bardzo zajęta od twojego wyjazdu

- oznajmił stolarz z zadowoloną miną. - Jak tylko nam powiedziała, co zamierza robić, Crank i ja zaoferowaliśmy się, że będziemy na zmianę pilnować Annie podczas popołudniowej drzemki. John też bardzo nam pomaga. Chłopak Dixona jest równie użyteczny jak sutki u knura, ale stara się jak może. Przyjeżdża tu konno niemal codziennie, sprawdzając, co u niej słychać.

Matt westchnął. Odchyliwszy się na krześle, ściągnął buty, pomagając sobie palcami u nóg, i zostawił je tam, gdzie upadły.

- Mów dalej - powiedział ponuro.

Traktując poważnie poiecenie, Peg odchrząknął i przygotował się do wyliczenia wszystkiego, co robiła Rose od dnia wyjazdu Matta.

- Jestem przekonana, że Matt wolalby usłyszeć, czego podczas jego nieobecności nauczyła się Annie - zasugerowała Rose.

Peg, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi, znów odchrząknął i przystąpił do opisu każdego najdrobniejszego szczegółu jej żalosnych wysiłków na drodze do samodoskonalenia.

- O ile sobie przypominam, wszystko się zaczęło, kiedy jej ogród diabli wzięli. Najpierw mieliśmy tu trzydniowy wiatr z północnego zachodu, a potem...

Niewielki zasób cierpliwości Rose wyczerpał się, więc przerwała:

- Krótko mówiąc...

- Jak mówi Biblia - wtrącił Crank, na co przeszła go wzrokiem, nakazując mu milczenie.

- Jeśli musisz wiedzieć, postanowiłam nauczyć się

żeglować i jeździć konno, skoro ogrodnictwo najwyraźniej mi nie idzie. Przez całe życie nie nauczono mnie ani jednej pożytecznej rzeczy, więc czas najwyższy, żebym zajęła się tym sama. Równie dobrze możesz się dowiedzieć, że kiedy tylko opanuję sztukę żeglowania i utrzymywania się na końskim grzbiecie, zamierzam uczyć się gotowania. Crank obiecał mi w tym pomóc. -Przeszyła Matta płomiennym spojrzeniem, prowokując do komentarza.

Oczy Matta w pokrytej trzydniowym zarostem twarzy przybrały wyraz stanowczości. Niech go lichy, jeśli w niej czegoś nie ma. Jeszcze nie zdołał ustalić, co to takiego, ale postanowił przyglądać się jej dotąd, aż zdecyduje, co z nią zrobić.

- A co Annie robiła przez cały ten czas? - spytał podejrzanie łagodnie.

- Bawiła się. Spała. To szczęśliwe dziecko. Nie wymaga mojej nieustannej uwagi. - Zabrzmiało to raczej jak wyzwanie niż wyjaśnienie.

Matt przeniósł wzrok na parujący kubek kawy przypominającej smołę, który postawił przed nim Crank.

- Rozumiem, że przygotowujesz się do objęcia następnej posady.

Jej wojowniczość ustąpiła miejsca ostrożności.

- Następnej posady?

- Po wyjeździe stąd. Kiedy przybędzie tu moja żona, nie będę potrzebował twoich usług.

Na jej twarzy odbiła się konsternacja. Rose chyba miała zamiar coś powiedzieć, ale przygryzła dolną wargę i zamilkła. Gdyby nie to, że ostatnio sypiał trzy godziny na

dobę i był nieludzko zmęczony, odczułby pewną satysfakcję. Zapędził ją w kozi róg, czyż nie? Nawet jeśli się domyślała, że wykorzystał pobyt w Norfolk, by spotkać się z Bagbym, nie mogła mieć pewności, czego właściwie się dowiedział. Najwyraźniej zamierzała kręcić dalej.

Pomyślał sobie, że w tej grze mogą brać udział dwie osoby.

- Idź do łóżka, Rose, wyglądasz jak siedem nieszczęść.

To, co wydarzyło się później, nie było wprawdzie buntem, ale niewiele brakowało. Peg spojrział na niego wilkiem, udzielając mu w tön sposób reprimendy, a Crank pokiwał głową i rzekł:

- Ależ, synu, co to za sposób zwracania się do damy. Rose, on nie chciał urazić twoich uczuć. Ten chłopak nie jest sobą, każdy to widzi.

Matt posłał staremu mężczyźnie spojrzenie, które powinno go zmiażdżyć. Jednakże Crank miał rację. Lepiej poczekać z atakiem do czasu, kiedy nie będzie zbyt zmęczony, by trafić do celu.

Crank zamasyście postawił przed nim talerz gulaszu rybnego i ziemniaków. Peg spojrział chmurnie na gotującą się wodę. Rose, z trudną do rozszyfrowania miną, skłoniła się wszystkim uprzejmie, życząc dobrej nocy, i sztywno wyszła z pokoju, a jej efektowne wyjście tylko trochę popsuł fakt, że lekko się zataczała.

Jeszcze długo po tym, jak wyciągnął się tej nocy we własnym łóżku, przeświadczony, że natychmiast zapadnie w sen i obudzi się dopiero, gdy głód wygoni go z pościeli w poszukiwaniu jedzenia, Matt przypominał sobie wyraz

twarży Rose tuż przed tym, zanim opuściła kuchnię. Gdyby nie wiedział, że świadomie wzięła udział w tej intrydze, przysięgłby, że jej uczucia zostały zranione.

Coś się działo. A dwaj najstarsi członkowie jego załogi, całkowicie od niego zależni na łądzie i morzu, byli w to zamieszani. Obiecał sobie, że zanim znów uda się na północ, ustali, co to takiego.

Rose otworzyła oczy, ziewnęła i przeciągnęła się, ale zaparło jej dech i zastygła bez ruchu. Odczekała chwilę i spróbowała ponownie.

Och, do licha! Crank ostrzegał ją, że tak będzie. Opowiedział jej, jak niósł na plecach dwudziestokilogramowy worek fasoli, kiedy potknął się o kota i spadł po schodkach prowadzących pod pokład.

- Jakoś się pozbierałem i cały dzień pracowałem - powiedział z dumą. - Za to następnego dnia nie mogłem wstać z koi. Prawie przez tydzień nie mogłem się ruszać. Ból był nie do wytrzymania. Takie sprawy zawsze wyglądają gorzej, zanim zaczną wyglądać lepiej.

W jej przypadku nie było to nic poważnego, nic, czego nie mógłby wyleczyć mocny, pokrzepiający sen. Zacisnęła zęby i powolutku zmusiła się do wstania z łóżka, nie zważając na ból mięśni. Annie już się przebudziła. Do tej pory jest na pewno przemoczona na wylot, głodna i gotowa obwieścić to całemu światu.

Matt wrócił do domu.

Świadomość jego obecności uderzyła ją jak fala przyływu, a choć ciało Rose było w fatalnym stanie, wstąpił w nią nowy duch.

Matt zachował się jak gbur, ale to zrozumiałe. Był zupełnie wyczerpany, policzki miał wymizerowane i nie ogolone, oczy bez wyrazu i obwiedzione czerwonymi obwódkami. Pogłębiły mu się zmarszczki na twarzy, a może nawet przybyło kilka nowych. Najwyraźniej odzyskanie statku nie poszło tak gładko, jak tego oczekiwał.

- Moja kochana Annie, jest całkiem nowy dzień. Wypawszy się we własnym łóżku, Matt będzie z pewnością czuł się o wiele lepiej, zwłaszcza kiedy zobaczy twój piękny uśmiech, mam rację? Rose nie należała do osób, które chowają urazy. Cóż, może niezupełnie tak było. Cale nie z powodu paru grubiańskich słów. Dziś słońce rzucało złote błyski; bryza z południowego zachodu wiała wystarczająco mocno, by przegnać moskity, a ona, obolała czy nie, była gotowa przebaczyć i zapomnieć.

Miała tylko nadzieję, że Matt okaże się równie wspaniałomyślny.

Energicznie ruszyła w kierunku łóżeczka, biorąc po drodze czystą pieluszkę, pochyliła się nad dzieckiem i ledwie powstrzymała jęk.

- Nawet nie myśl o jeźdźeniu konno, kochanie. Matt może kupić ci dwukólkę i ładną małą klaczkę i będziesz jeździła jak damie przystało.

Zdjęła małej moką pieluszkę, wrzuciła do wiadra i zamyśliła się, jak to możliwe, że zwykłe siedzenie na końskim grzbiecie może wyrządzić tak dotkliwie szkody.

Cóż, rozumie się, nie było to takie proste. Za pierwszym razem, kiedy John przytrzymał jej stopę i podsadził ją na konia, ześliznęła się z grzbietu zwierzęcia i spadła

na ogrodzenie, objając sobie plecy. John pospiesznie podbiegł, wyraźnie zaniepokojony, ale z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Gdyby w tym momencie nie uznał, że lekcja dobiegła końca, może wówczas zrezygnowałaby na dobre.

Druga próba zaczęła się o wiele lepiej. Rose udało się wdrapać na grzbiet klaczy i pozostać tam prawie całą minutę, zanim to głupie zwierzę nie umyśliło sobie ruszyć galopem. Nie mając wielkiego wyboru, chyba że zdecydowała się zeskoczyć i narazić na stratowanie, mocno, chwyciła powiewającą grzywę wraz z uzdą i trzymała się jej kurczowo, podskakując jak gumowa piłka, co bez wątpienia przyczyniło się do obicia pupy.

John ruszył biegiem za nimi, wykrzykując polecenia i śmiejąc się tak, że o mało nie pękł.

- Trzymaj się! - wrzasnął.

- Próbuję! - Trzymała się na każdy sposób, jak tylko mogła, obiema rękami i nogami, co tłumaczyło jej pokryte pęcherzami ręce i obtarte uda. Miała wrażenie, że zanim uderzyła o ziemię po raz drugi, minęły godziny, tymczasem spędziła na koniu najwyżej kilka minut.

- Nie zamierzam dać za wygraną - powiedziała do Annie, wyjmując ją z łóżeczka i wyciskając pocałunek w fałdkach na szyi.

Dziewczynka zaśmiała się. Była taka słodka, więc Rose pocałowała ją jeszcze raz i powiedziała:

- Jednak następnym razem obsypię się mąką kukurydzianą, zanim wsiądę na konia. Nic dziwnego, że mężczyźni chodzą w taki sposób. Gdybym ja musiała nosić takie szorstkie paskudne spodnie, też pewnie bym

tak chodziła. Jak myślisz, może powinniśmy doradzić Mattowi, żeby pudrował sobie uda, zanim naciągnie spodnie?

Umyła różowy pulchny tyłeczek dziecka i założyła małej świeżą pieluszkę. Postanowiła wykorzystać słoneczną pogodę i z samego rana zabrać się do prania pieluszek i pościeli Annie. Doskonała wymówka, by odłożyć kolejną lekcję jazdy.

Co do nauki żeglowania, Sandy zwykle zjawiał się popołudniami, kiedy Annie zapadała w poobiednią drzemkę. Rose poznawała, do czego służą różne sznury, które na statku nazywano olinowaniem. Prawdę mówiąc, wszystko to było dość skomplikowane, ale jak dotąd żeglowanie nie przyniosło jej żadnego uszczerbku na zdrowiu.

- Chodź, kochanie, pójdziemy zobaczyć, czy Crank naszykował już śniadanie. Założę się, że Matt nigdy nie widział młodej damy, która potrafi pić z kubeczka, rozlewając przy tym najwyżej połowę mleka.

Rose, wyłącznie na podstawie codziennie zdobywanego doświadczenia, uznała Annie za wyjątkowe dziecko, i to pod każdym względem. Biedny Billy musiał być cudem świata. W każdym razie musiał mieć mnóstwo wdzięku, jeśli Annie była tak bardzo podobna do zmarłego ojca, jak twierdzili Crank i Peg.

- Ruszamy, błękitnooka, pokażemy się Mattowi.

Śniadanie już czekało. Jajka na bekonie dla Rose, mleko i owsianka dla Annie. Teraz, kiedy dziewczynka domagała się czynnego uczestnictwa w tym procesie, śniadanie trwało dwa razy dłużej.

Ani śladu Matta. Rose nawet przed sobą nie przyznałaby się, że jest rozczarowana.

- Jak się czujesz? - spytał Crank, kiedy już nalał sobie kubek kawy i usiadł, gotów na przedstawienie.

- Wspaniale, dziękuję.

- Boli cię, prawda? Mówiłem ci, że tak będzie. Rose posłała mu piorunujące spojrzenie i skierowała rączkę Annie, w której dziecko trzymało łyżeczkę, do jej buzi. Palila ją ciekawość, czy Matt już wstał, nie miała jednak ochoty narażać się na znaczący uśmiech Cranka. Pod pewnymi względami starsuszek był nawet gorszy od Bess. Dla Bess świat był sceną, a ona najbardziej lubiła doprowadzać do tego, by aktorzy poruszali się zgodnie z jej wolą.

Kiedy Crank i Peg zdecydowali, że ślub kapitana na papierze był jednym z trików Bess, postanowili znaleźć mu inną żonę. Wkrótce po wyjeździe starszej pani Peg zauważył:

- Minęło już dużo czasu, odkąd podpisał te papiery. Nie pojawiła się tu żadna kobieta, podająca się za jego żonę, co oznacza, że z tamtej strony coś poszło nie tak.

- Lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu - dodał Crank, nie czyniąc sekretu z tego, jakiego to ptaka Matt trzyma w pełnej odcisków garści.

Kiedy Rose uświadomiła sobie, o co im chodzi, z początku korciło ją, żeby wyznać im prawdę, ale doszła do wniosku, że Matt powinien dowiedzieć się o wszystkim pierwszy. Naprawdę zamierzała mu to powiedzieć. Kiedy tylko znajdzie się z nim sam na sam.

- Jeśli szukasz kapitana, wziął konia i pojechał nad morze. Nawet nie zjadł śniadania.

Rose, udając brak zainteresowania, wytarła owsiankę z ramienia.

- Chyba słońce utrzyma się na tyle długo, że zdążę wysuszyć pranie, jak sądzisz?

- Odzyskał go, ale jest w fatalnym stanie.

- Wiaderko z pieluchami kipi, a... - Urwała i utkwiała w nim wzrok. - Kto kogo odzyskał?

- Kapitan. Odkupił „Czarnego Łabędzia”, ale poprzedni właściciel haniebnie się z nim obchodził. Peg płynie dziś po południu do Norfolk, żeby dopilnować remontu.

Teraz, naturalnie, musiała wysłuchać całej historii o tym, jak Matt, Luther i garstka marynarzy popłynęli na „Czarnym Łabędziu” z Bostonu do Norfolk, jak musieli stać prawie dwadzieścia cztery godziny, zanim wpuszczono ich do portu i jak Luther został tam, czekając na Pega, który ma nadzorować naprawę.

- Nic dziwnego, że Matt wyglądał tak... tak...

- Tak, był wykończony. A także przybity. Kocha ten statek tak, jak kocha się kobietę. - Crank pokręcił głową, po czym podjął: - To nie znaczy, że nie potrzebuje żony. Nie, moja droga, każdy mężczyzna potrzebuje kobiety, jeśli chce się dochować synów. Po co gromadzić bogactwa tego świata, skoro nie spłodzi się synów, którzy obejmą dziedzictwo. Tak mówi Biblia.

Zanim Rose zdążyła wymyślić sensowną odpowiedź, w otwartych drzwiach kuchni stanął Sandy Dixon.

- Słyszałem, że Powers wrócił. Nie wiedziałem, czy będziesz chciała dziś pływać, czy nie, jeśli jednak masz ochotę, mogę przyjechać, kiedy Annie będzie spała.

Nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka i usiadł za stołem, uchylając się przed bryzgami papki, którą Annie hojnie rozmieszczała na wszystkim, co znalazło się w jej zasięgu.

Prawdziwe lekcje pływania rozpoczęły się nieco ponad tydzień temu. Kiedy Rose opanowała sztukę siedzenia w łódce bez obawy o niespodziewane zwrócenie obiadu, Sandy zaproponował, że nauczy ją żeglugi.

- Jeśli będziesz miała na czym się skupić, łatwiej ci przyjdzie panować nad żołądkiem - zapewnił. Jak dotąd ta metoda okazała się skuteczna, przynajmniej na tyle, na ile dotyczyła jej żołądka. Rose nie była żeglarzem i nic nie wskazywało na to, żeby nim kiedykolwiek została. Dwa razy o mało nie posłała Sandy'ego za burzę, puszczając linę podtrzymującą maszt od tyłu, a kiedy wrzasnął, żeby ją złapała, zdenerwowała się jeszcze bardziej. Kij przymocowany do masztu, podtrzymujący żagiel u dołu, okręcił się i uderzył Sandy'ego w plecy, bo nie zdołała go przytrzymać. Było to jedno z szeregu drobnych niepowodzeń, ale przynajmniej nie skompromitowała się chorobą morską.

- Sandy, dziś naprawdę nie jest najlepszy czas, ale dziękuję za propozycję. Wczoraj zaczęłam uczyć się jazdy konnej.

- I? - spytał zaciekawiony. Sandy Dixon był wyjątkowo sympatyczny, wręcz rozbrajający. Byłby z niego wspaniały brat. W obecnym stanie rzeczy przypadła mu rola dobrego przyjaciela.

- Czy wystarczy, jak powiem, że jestem równie dobrą amazonką jak żeglarzem?

- Aż tak źle?

- Czy pęcherze i otarcia to wystarczający dowód? Śmiali się - nawet Crank zachichotał raz czy dwa - kiedy do kuchni wkroczył Matt. Popatrzył od jednego do drugiego, skinął głową Dixonowi, przeszył ponurym wzrokiem Rose, po czym odwrócił się do Annie. Ukląkł i ujął malutką, lepką rączkę.

- Zmieniła się. - Zabrzmiało to niemal jak oskarżenie. - Ma dłuższe włosy.

Teraz również umazane owsianką. Annie mrugnęła i utkwiała w nim poważne spojrzenie wielkich oczu. Nawet wysmarowana owsianką miała nieodparty wdzięk. Jeśli ktokolwiek był w stanie zmiękczyć jego serce, to Annie, pomyślała Rose. A komu jak komu, ale jej zależało, żeby jego serce było miękkie jak wosk, kiedy powie mu, kim naprawdę jest.

- Nawet zaczynają się kręcić - powiedziała z dumą. - Ma na przedzie jeden ząbek i tak szybko się uczy - pokaż, słonko. Pokaż, jak potrafisz pić z kubka. - Ostrożnie przysunęła kubek do ust Annie. Dziecko posłusznie siorbnęło, po czym uśmiechnęło się szeroko znad kubka. Mleko pociekło z kącików warg i zmoczyło polepiony śliniak.

Rose uśmiechała się promiennie na znak aprobaty. Crank niemal piał z zachwytu.

Dixon sprawiał wrażenie kompletnie znudzonego.

Co zaś do Matta, wyglądał prawie... cóż, nie wiedziała, co to znaczy, ale oczy podejrzenie mu błyszczały.

Po chwili, znów z groźną miną, powiedział jej, że zaraz po powrocie z wioski chce ją widzieć w swoim gabinecie.

Rose przypinała ostatnie pieluszki do sznura, kiedy Peg przyszedł się pożegnać. Powiodła wzrokiem od niego do miejsca, gdzie czekał Matt z końmi. Jeśli ona była zajęta, on był zajęty jeszcze bardziej. Ich ścieżki nie skrzyżowały się od śniadania.

Peg miał na sobie zrudziałe czarne ubranie i czapkę ze skórzaną lamówką. Roztaczał wokół podejrzany zapach wanilii.

- Dbaj o niego, dobrze? Nie może spać, kiedy jest przygnębiony, a naprawdę się martwi „Łabędziem”. Nie dopuść, żeby się niepokoił. Jeśli będzie bardzo cichy i zamyślony, postaraj się go trochę rozruszać. Pewnie na ciebie naskoczy, ale to nic nie znaczy, on po prostu taki jest. Jest naprawdę wrażliwy, tylko nie lubi się do tego przyznawać. Potrzebuje kobiety, która by go podtrzymała, kiedy się pogrąża. Mam wrażenie, że ty jesteś właśnie taką kobietą. Poradzisz sobie.

Zakłopotana Rose wyjąkała:

- Aleja... on...

W wyblakłych oczach pojawiły się wesołe iskierki, a starszy mężczyzna dodał nieśmiało:

- Nie zawsze byłem taki brzydki. Swego czasu znałem kilka porządnych kobiet. Wiem, o czym mówię, Rosie. Niewłaściwa kobieta może doprowadzić mężczyznę do zguby, za to właściwa jest jak dobra kotwica. Gdy przyjdzie mocny wiatr, nie dopuści, by rozbił się o skały. Kłopot w tym, że ten chłopak nigdy się nie nauczył, jak odróżniać dobre od złego.

- Ale... ale o czym... chodzi o to, że on ma żonę. Peg posłał jej znaczący uśmiech. Chyba chciał jeszcze

coś powiedzieć, ale cierpliwość Matta wreszcie się wyczerpała.

- Do diabła, ruszajmy! Statek odpływa zaraz po przekazaniu poczty i lepiej dla ciebie, żebyś był na pokładzie!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Doprowadziła do tego, że teraz wszyscy jedzą jej z ręki, pomyślał Matt ze złością. Co do jednego. Gdyby nie wiedział, co się święci, też mógłby się nabrać na jej sztuczki. Dzięki Bogu, w samą porę zorientował się, że jest równie kłamliwa, jak cała reszta kobiet, nie wyłączając Bess. W przeciwnym razie mógłby się skusić i...

Z trudem oderwał myśli od sprawy, która mogła zaczekać, powracając do tej, która wymagała natychmiastowego działania. Oznajmił Pegowi:

- Załatwiłem w banku, żeby honorowano twój podpis. Niemniej jednak przedstaw się, zanim wystawisz pierwszy czek. Mamy otwarty kredyt w Stevens's Lumber Yard i Shoemaker's Chandlery. Luther zajmie się zbieraniem załogi. Przypomnij, że będą mu podlegać bezpośrednio. Spróbujcie znaleźć starszych, bardziej doświadczonych ludzi, lecz wybierajcie starannie. Płaćcie premie, jeśli uznacie to za niezbędne, ale znajdźcie solidnych marynarzy, a nie pijaków, awanturników czy malkontentów.

- Krotko mówiąc, mamy po prostu zorganizować chór kościelny.

Matt skwitował tę uwagę krzywym uśmiechem. Nie znał marynarza, który nie pije; trochę utyskiwania to też nic zdrożnego, ale nie zamierzał tolerować awanturników.

- Na początek wystarczy czwórka, którą Luther najął do pracy w Bostonie, o ile jeszcze nie zrezygnowali.

Peg skinął głową.

- Przede mną jeszcze parę dobrych lat, jeśli nie znajdziemy innego stolarza.

- Jestem ci zobowiązany - powiedział Matt, choć obaj wiedzieli, że takie rozwiązanie nie wchodzi w grę. Po więcej niż czterdziestu latach spędzonych na morzu Peg zadziwiająco dobrze odnalazł się na lądzie. Mając Cranka do towarzystwa i wystarczająco dużo pracy, by nie odczuwać nudy, był całkiem zadowolony z tego, co przypadło mu w udziale. Podczas gdy Peg będzie tęsknił za dawnym życiem, Mattowi z pewnością będzie brakować człowieka, który służył jeszcze pod dowództwem jego ojca, pomagając wychować i wyszkolić wyrostka, którym "był wówczas Matt. Jednak żadnemu z nich nawet nie przy-szłoby do głowy wyrazić tych uczuć słowami.

- Na tych nowych stalowych statkach nie potrzeba stolarzy - mruknął Peg pod nosem. - Założę się, że połowa załogi od świtu do nocy usuwa rdzę.

- Nie gorsze to niż szorowanie pokładu, ale masz rację. Czasy się zmieniają - przytaknął Matt.

Obydwie klacze, pełna wdzięku gniada Pega i koścista kasztanka Matta, z trudem stąpały po sypkim piachu. Gdyby nie przypływ, pojechaliby brzegiem morza, szybciej i wygodniej, ale podczas przypływu woda dochodziła aż do wydm i wybrali wyżłobioną koleinami drogę dla wozów.

- Swego czasu myślałem, że będziesz dowodzić całą flotą - zauważył Peg.

- Swego czasu ja też tak myślałem - przyznał Matt, który przejął marzenie ojca, kiedy starszy z Powersów wycofał się z czynnego życia.

„Na początek wystarczy jeden dobry statek, sprawdzona załoga i odrobina szczęścia, synu. Systematycznie odkładaj pieniądze, wypracuj sobie markę szybkiego i wiarygodnego przewoźnika. Po paru latach zarobisz wystarczająco dużo, by kupić drugi statek”.

A potem trzeci. Matt szybko dał się ponieść marzeniom. Lekkie, szybkie szkunery, budowane z myślą o przewozach ładunków z Indii Zachodnich do każdego portu wzdłuż środkowego wybrzeża Atlantyku. Było to dość skromne marzenie w czasach, kiedy potężne statki żeglowały po morzach całego świata.

O, tak, odziedziczył marzenie ojca wraz z jego nazwiskiem i reputacją szybkiego, wiarygodnego przewoźnika. Reputacją, która, jak z dumą podkreślał, nigdy nie została narażona na szwank. Dzięki Bogu, zadbał o to, by od dnia, w którym sprzedał „Łabędzia”, nie kojarzono statku z Powersami. Kiedy to marzenie zaczęło blaknąć? I czy kiedykolwiek było naprawdę jego marzeniem? Pełne nerwowego oczekiwania lata spędzone na wybrzeżu skłaniały do zastanowienia. Urodził się na morzu, wychował na morzu, a ojciec traktował go jak szeregowego członka załogi, dopóki nie zdobył wiedzy i funkcji pierwszego oficera.

Za niewidzialną ścianą oddzielającą kapitana od załogi, tak istotną dla utrzymania dyscypliny, znalazł się także syn kapitana. Po tym, jak matka opuściła statek, kiedy Matt miał osiem lat, chłopiec został przeniesiony do kwater załogi,

jadał z nią posiłki, nie oczekiwał od ojca ani ćwierćdolarówki i nie dostawał ani centa. Jego rodziną stała się załoga. Ojca zastępowali mu Crank i Peg, którzy wymierzali kary za chłopięce przewinienia i bronili go przed złośliwościami jednego czy dwóch ciemnych typów, aż dorósł na tyle, by pod tym względem zatroszczyć się sam o siebie.

Matt objął dowództwo w tym samym roku, w którym jego ojciec wycofał się z czynnego życia. Na statek zaciągnęli się niemal wszyscy, którzy pływali pod komendą jego ojca. Byli z nim jeszcze dwa lata później, kiedy kupił „Czarnego Łabędzia”, dobrzy marynarze, jeden w drugiego. Do tej pory nauczył się, że istnienie tej niewidzialnej ściany między kapitanem a załogą jest nieodzowne.

Przez ostatnie cztery lata, które spędził na lądzie, ściana padła, cegła po niewidzialnej cegle. Ostatni fragment zawalił się wraz z tragiczną śmiercią Billy'ego. Od tamtej pory Matt nawet nie spróbował utrzymać pozorów hierarchii. Niewiele dobrego by mu z tego przyszło, a już na pewno nie miało to sensu wobec dwóch starych marynarzy, którzy znali go od czasów, kiedy biegał po pokładzie na czworakach, z gołym tyłkiem.

Odrzuciwszy przez głupotę wszystko, co stworzyły dwa pokolenia mężczyzn z rodziny Powersów, dopiero teraz zaczynał zdawać sobie sprawę, co naprawdę liczy się w życiu. Nie statek, którym dowodził, ale ludzie, którzy stali przy nim ramię w ramię.

A to z kolei oznaczało, niech Bóg ma go w swojej opiece, że zasady, którymi kierował się dotychczas, mogą już dłużej nie mieć zastosowania.

Statek pocztowy miał właśnie odbić od nabrzeża. Peg rzucił worek z zapasowym ubraniem na pokład, po czym skoczył ze zwinnością, która zaprzeczała jego wiekowi i chorobie.

- Wróć, jak tylko doprowadzę „Łabędzia” do porządku - zawołał przez szybko poszerzający się pas wody.

Matt skinął na znak, że go usłyszał, ale myślami błędził między portem w Norfolk a Powers Point. W innych okolicznościach osobiście nadzorowałby wbijanie każdego gwoźdźca w kadłub statku, oglądałby każdą deskę, każdą garść pakuł, którymi uszczelniano szpary między deskami. Było to jego obowiązkiem, zarówno jako kapitana, jak i właściciela.

Ale okoliczności, tłumaczył sobie, zawracając i kierując się na powrót do domu, były dalekie od normalności. Miał nie tylko dziecko, za które czuł się odpowiedzialny, ale również żonę. Żonę, której nie chciał, od której właśnie usiłował się uwolnić. Żonę, która miała zaopiekować się Annie i tym samym umożliwić mu powrót na morze.

A teraz, do diabła, wszystko wskazywało na to, że nie potrafił trzymać się kursu bez względu na kierunek wiatru.

Wiedział, co powinien zrobić.

Wiedział też, że ten rejs nie będzie spokojny, nie wtedy, gdy wystarczyło tylko wyjrzeć przez okno, kiedy wieszala pranie, a wiatr przyklejał jej sukienkę do ciała, podkreślając krągłość piersi, wcięcie talii, nawet lekkie zaokrąglenie brzucha i niewielki wzgórek w złączeniu smukłych nóg.

Natychmiast robił się twardy jak trzonek siekiery.

Do diabła, już nabrzmiewał. Wystarczyło, że o niej pomyślał.

Po rozmowie z Bagbym był przekonany, że zrobiła to specjalnie. Ale od tamtej pory trochę nad tym myślał i teraz nie był już taki pewny. Czy nawet najlepsza aktorka na świecie potrafiłaby tak długo grać swoją rolę? Podczas pierwszego tygodnia pobytu w Powers Point była bojaźliwa, bała się własnego cienia. Z czasem doszła do siebie, przede wszystkim za sprawą Annie. Musiał przyznać, że bez względu na to, jaką grę prowadziła, trafiła go w najczulsze miejsce.

Kiedy po raz pierwszy głośno się roześmiała, stanął jak wryty. Kto by pomyślał, że taka ponura kobieta, wiecznie ubrana w grube, paskudne suknie, potrafi wydawać z siebie dźwięki przypominające szemranie wody na kamykach w strumieniu?

Wkrótce potem zaczęła śpiewać małej. Nie raz i nie dwa przyłapał się na tym, że przystaje pod jej drzwiami i nasłuchuje.

Czy to możliwe, że o tym wiedziała? Czy robiła to rozmyślnie?

Nabrała zwyczaju szycia na dworze, na werandzie, gdzie było lepsze światło. A może dlatego, że wystarczyło, by uniósł głowę i oderwał się na chwilę od tego, co w danej chwili robił, żeby ją tam zobaczyć? Widzieć, w jaki sposób marszczy czoło i przygryza dolną wargę? Powiedział sobie, że to dlatego, iż potrzebowała okularów, ale może była to tylko gra.

Nie potrafiłby zliczyć nocy, podczas których leżał bezsennie, płonąc z pożądania, przeklinając własną słabość. Powtarzając sobie, że Rose jest kobietą godną szacunku, przyjaciółką jego ciotki, a on jest żonaty.

Niebawem zaczęła chodzić bez gorsetu. Spostrzegł to natychmiast - inaczej się poruszała, inaczej oddychała. Nawet wyraz twarzy jej się zmienił. Malowała się na niej ulga, a zarazem poczucie winy, zupełnie jakby się spodziewała, że zostanie przywiązana do masztu i obnażona.

O, tak, chciał ją obnażyć, to prawda. Odsłonić i zbadać każde delikatne zaokrąglenie, każdą miękką wypukłość, każdy ukryty skarb...

Kasztanka aż zastrzygła uszami, gdy zaczął kłąć. Gnia-da z gracją podążała za nimi.

- Niech diabli wezmą twój kłamliwy język, droga pani Littlefield - powiedział na głos.

Moja żona, przypomniał sobie z goryczą. I pomyśleć, że przez ten cały czas, kiedy pożądał tej kobiety, mógł mieć ją w swoim łóżku.

Czyżby bawiło ją znęcanie się nad nim w taki sposób? Musiała przecież zdawać sobie sprawę, w jakim on jest stanie. Nie było to coś, co mężczyzna mógłby ukryć.

Poza tym była już raz mężatką, chyba że to również było kłamstwem. Zapewne dobrze się bawiła, robiąc z niego durnia, ale on z całą pewnością będzie śmiał się ostatni.

Gdy zbliżył się do domu i z wiecznie obecnej słonej mgły zaczęły wyłaniać się zabudowania Powers Point, przystąpił do obmyślenia planu działania. Gdyby bez ogródek powiedział jej, czego sam się dowiedział, nie miałby innego wyjścia, jak kazać jej się pakować.

A gdyby ją odesłał, znalazłby się dokładnie w tym samym punkcie, w którym się znajdował, kiedy rozpoczął się ten nieszczęsny ciąg wydarzeń. Potrzebowałby kobiety, która mogłaby zająć się Annie, i tkwiłby tu jak na

mieliżnie, dopóki nie znalazłby kogoś, komu mógłby zaufać.

Choć tak bardzo nie chciał się do tego przyznać, nawet przed sobą, wciąż jej potrzebował.

Co gorsza, wciąż jej pragnął.

- Niech to nagła krew zaleje - wybuchnął. - Jak, do diabła, wpakowałem się na tę rafę? Mój statek ledwie utrzymuje się na wodzie, zaciągnąłem dług na hipotekę, a moją żoną jest bezwstydną oszustka. Jedyne jasnym punktem na horyzoncie była Annie. Matt nawet nie próbował ubrać w słowa swoich uczuć do córki Billy'ego. Wiedziaffylko, że od pierwszego dnia - no, może od drugiego czy trzeciego - ta kruszynka zawładnęła częścią jego serca. Dla jej dobra był gotów na wszystko, a jeśli oznaczało to wchodzenie w układy z Rose, niech i tak będzie.

Zatopiony w rozważaniach, skręcił na padok. Miał do wyboru dwie drogi postępowania. Mógł wygarnąć Rose prawdę w oczy i czekać, co ona zrobi, żeby wyplątać się z matni. Mógł też udawać, że nie ma pojęcia o niczym, i czekać na rozwój wypadków.

Wciąż nie do końca zdecydowany, rozsiadł klacz Pe-ga, wytarł ją, zaprowadził na padok, po czym zrobił to samo z kasztanką. Sądząc po słońcu, musiało być tuż po czwartej. Godzina do kolacji.

Zaburczało mu w brzuchu. Uświadomił sobie, że nie zdążył zjeść obiadu. Czy miał przystąpić do ataku z pustym żołądkiem?

Wiał wiatr z południowego wschodu, przesycony wilgocią, której nabrał, przebywając tysiące mil nad ciepłymi

wodami południowego Atlantyku. „Zły wiatr” - jak mawiał stary bosman ojca, Jerome Guidry, nieżyjący od dziesięciu lat. Kiedy wiał południowo-wschodni wiatr, miał w zwyczaju ostrzegać załogę przed kłótniami, twierdząc, że w tym okresie nieodmiennie prowadzą do rozlewu krwi. Matt nigdy nie przywiązywał zbytnej wagi do przesądów. Niemniej jednak uznał, że nic się nie stanie, jeśli zaczeka jeszcze jeden czy dwa dni, zanim wprowadzi swój plan w życie. Do diabła, właściwie nie miał nawet planu. Uwiedzenie tej kobiety, a następnie odesłanie jej do domu trudno byłoby nazwać planem. Już raczej katastrofą.

Ponieważ ociekał potem, zaczerpnął wody z drewnianego koryta i wylał ją na siebie, rozkoszując się chwilowym uczuciem chłodu. Skierował się do domu, ale zanim zdążył przejść kilka kroków, od strony cieśniny dobiegł go śmiech.

Śmiech Rose. Rozpoznałby go wszędzie. Była tu prawie od dwóch miesięcy, zanim usłyszał jej śmiech po raz pierwszy, ale teraz był mu aż za dobrze znany.

I z jakiegoś powodu doprowadził go do szału.

Rose postawiła koszyk z Annie w jedynym zacienionym miejscu, pod poskręcany dębem, a sama stanęła w półcieniu i drapała się dyskretnie w miejsca po rozlicznych ukąszeniach, patrząc jednocześnie na dwóch mężczyzn, którzy, jeden przez drugiego, usiłowali jej zaimponować.

Rozbawiło ją to, a zarazem odrobinę zasmuciło, bo przyszły jej na myśl te wszystkie lata, kiedy dałaby

wszystko, by choć jeden młody człowiek chciał zrobić **na** niej wrażenie.

Jedyna rzecz gorsza od tego, że jest się brzydką, niezdarną i bez odrobiny wdzięku, to fakt, że jest się na tyle inteligentną, by zdawać sobie z tego sprawę. Na swoje nieszczęście miała wszystkie te cechy. Ależ oni są młodzi, zamyśliła się, patrząc na przystojnych mężczyzn popisujących się jak mali chłopcy na placu zabaw. I tacy słodcy. Sandy miał dwadzieścia dwa lata, więc był od niej dwa lata młodszy, ale starał się robić wrażenie starszego. John był prawdopodobnie jej rówieśnikiem, ale pełną powagi mina i poorana zmarszczkami twarz sprawiały, że wyglądał poważniej.

- Patrz, Rose - zawołał Sandy. - Zaraz zarzucę bulinę na ten słup.

Ponieważ nie miała nic lepszego do roboty, wybrała się z nim na nabrzeże, gdzie jniał pokazać jej kilka nowych węzłów. Niestety, nie zaproponował, że poniesie koszyk z Annie, który robił się dla niej za ciężki. Wkrótce dołączył do nich John, na klaczce, którą, jak twierdził, odłowił od dzikiego stada włóczącego się po Outer Banks.

- Mam ją niespełna tydzień, a już chodzi pod siodłem - powiedział z tą tak charakterystyczną dla siebie spokojną dumą.

Rosy pochwaliła kosmatą klacz, po czym odwróciła się i posłusznie patrzyła, jak Sandy rzucił sznur w kierunku słupa, strzepnął nadgarstkami i cofnął się o krok, demonstrując coś, co wyglądało na całkiem zwyczajny węzeł.

- Lubisz sztuczki ze sznurem? - spytał John. - A co

powiesz na tę? - Zakreślił sznurem nad głową raz czy dwa, po czym wyrzucił go w powietrze. Pętla mignęła przed zaskoczoną twarzą Sandy'ego i ścisnęła go w pasie.

Na widok miny Sandy'ego Rose wybuchnęła śmiechem. Śmiała się tak głośno, że nie zauważyła Matta, który bezszelestnie podszedł do niej po miękkim piachu.

- Jeśli nie masz nic lepszego do roboty, moja pani... Zaskoczona Rose za szybko się odwróciła, zaplątała

stopę w zwój winorośli i zamachała ramionami, by nie stracić równowagi.

- Ze wszystkich przebiegłych, fałszywych rzeczy...! -krzyknęła.

Nie chodziło nawet o to, że ją przestraszył, tylko o to, że zobaczył ją owianą wiatrem i ociekającą potem, a pasma włosów wymknęły się z warkoczy i przylgnęły do wilgotnej twarzy. Planowała, że do jego powrotu z wioski weźmie kąpiel i przebierze się w najładniejszą sukienkę. Wspomniał, że chce zobaczyć się z nią w gabinecie, a wtedy naprawdę zamierzała wszystko wyjaśnić.

Mimo to takie zachowanie było do niej niepodobne. Nie miała pojęcia, co w nią wstąpiło. Może to z powodu gorąca. No i nieczystego sumienia.

Wzięła głęboki oddech, opanowała się i powiedziała:

- Wybacz mi, proszę. Annie i ja już idziemy do domu. Jak tylko dam jej butelkę, przyjdę do ciebie do gabinetu, jeśli można.

Sandy, całkiem zbity z tropu, wyplątał się z lassa, przeszył Johna ponurym wzrokiem i mruknął coś o tym, że wpadnie do niej jutro o zwykłej porze.

John, jak zwykle z nieodgadnionym wyrazem twarzy,

spokojnie zwinął sznur i powiesił go na łęku siodła. Nie zwracając uwagi na Matta, skinął jej głową.

- Daj mi znać, kiedy będziesz gotowa na następną lekcję-

Rose z westchnieniem podziękowała obydwu młodym ludziom. Jak mogło jej przyjść do głowy, że umiejętność żeglowania i konnej jazdy na coś jej się przyda? Patrzyła, jak Matt bierze koszyk z Annie, schodzi po piaszczystym stoku w kierunku domu, wyprostowany jak struna i długimi silnymi nogami przemierza ziemię, nie zwracając najmniejszej uwagi na te wszystkie niebezpieczeństwa, przed którymi ją ostrzegano.

Przejęta lękiem, a zarazem pełna oczekiwaniami, przedzierała się przez kłujące trawy, kaktusy i roje moskitów, które najwyraźniej zwabiła jej spocona, opalona skóra.

Przysięgła sobie, że tym razem powie mu prawdę, nawet gdyby musiała przywiązać go do krzesła, by zmusić go do słuchania. Powie mu wreszcie wszystko, od początku do końca.

No, może niezupełnie wszystko.

Jeśli po tym będzie chciał ją odesłać, odejdzie bez słowa skargi. Odejdzie i spędzi resztę życia na opłakiwaniu kolejnego niespełnionego marzenia.

Stała w drzwiach gabinetu dopiero wówczas, gdy zachodzące słońce oświetliło purpurowym blaskiem pasmo chmur. Matt celowo zostawił drzwi otwarte, dzięki czemu docierał tu nawet najłżejszy powiew wiatru. Jakiś przemyślny przodek rozplanował dom tak, by wykorzystać nieustannie wiejące wiatry. Wybudował go na tyle wysoko,

że nie zagrażały mu fale przyływu, a jednocześnie owi wały go najłżejsze podmuchy powietrza. Czasami nawet to nie wystarczało, by zmniejszyć nie-; znośny żar. Na szczęście dzisiejszego wieczoru wiatr wiał bardziej na wschód. Przy odrobinie szczęścia skreśli na północny wschód i przyniesie trochę wytchnienia.

- Wejdz - powiedział Matt, nie podnosząc głowy znad biurka. Po powrocie z wioski wykapał się i przebrał w czystą koszulę, lecz znów lepił się od potu.

Piekielna pogoda. Gorsza niż cisza na morzu.

- Chciałeś się ze mną widzieć? - Weszła do środka z tak ciasno zaciśniętymi rękami, że dostrzegał biel kostek pod skórą. - To znaczy, ja chciałam ci coś powiedzieć. Widzisz. ..

- Usiądź. - Bez. Do diabła, musiała chodzić i roztaczać woń bzu.

Opadła na twarde krzesło, po czym wyprostowała się. Matt właściwie już się zdecydował. Powie jej o tym, że i unieważnił małżeństwo, a następnie zawrze z nią umowę o opiekę nad Annie.

Czekał. Odetchnęła głęboko, na chwilę zamknęła oczy,; po czym powiedziała na jednym wydechu:

- To ja jestem kobietą, którą poślubiłeś. To znaczy przez pośrednika. Nie zamierzałam cię oszukiwać, tylko... widzisz, tak naprawdę nie chciałam wychodzić za mąż... byłam już raz zameżna i... cóż, nieważne. Liczy się tylko to, że kocham Annie i chciałabym dalej się nią opiekować. Oczywiście jeśli się na to zgodzisz.

Najwidoczniej czekała na jego reakcję. Matt złożył dłonie przed sobą, ani na moment nie odrywając wzroku od

jej twarzy. Takim spojrzeniem doprowadzał dorosłych mężczyzn do tego, że drżeli ze strachu. Jeśli nawet spieszył Rose, nie dała tego po sobie poznać. Była zbyt przejęta swoją opowieścią, bardziej niż prawdopodobną.

- Mów dalej - mruknął.

- Tak, cóż... widzisz, potrzebowałam pracy, tyle że nie udało mi się znaleźć niczego odpowiedniego, toteż kiedy Bess powiedziała, że jej bratanek ma małe dziecko i poszukuje kogoś do pomocy, zgodziłam się, ale ona uznała, że nie byłoby rzeczą właściwą, gdyby kobieta zamieszkała w domu pełnym obcych i frtryczn, no więc...

Wstrzymała oddech, gotowa skoczyć głową naprzód. Musiał ją podziwiać za to, że patrzyła mu prosto w oczy, mimo iż wiedział, że z jej ust wydobywały się same kłamstwa, odkąd wygramoliła się z wozu i stanęła na progu tego domu.

- Gdy tylko to zrobiłam, próbowałam wszystko odwołać, ale pan Bagby powiedział, że jest za późno. Zapewnił mnie jednak, że w każdej chwili mogę się wycofać, dopóki małżeństwo nie będzie... to znaczy tak długo jak my nie... A my oczywiście nie, więc...

Obserwując rumieniec obejmujący jej szyję i powlekający policzki, Matt zastanawiał się, czy przesunął się również w dół jej ciała.

- Nie?

- Oczywiście, że nie - odparła szybko. - W każdym razie my... to znaczy ty... chodzi o to, że gdybyś chciał...

Chciałbym i to jak. I zrobię to, moja pani, zanim ta farsa dobiegnie końca. Myślę, że tyle jesteśmy sobie winni.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nie dzisiaj, postanowił Matt. Lepiej trochę odczekać, aż będzie w stanie patrzeć na nią bez złości i poczucia krzywdy. Kiedy ostatnim razem stracił głowę z powodu kobiety, przyniosło to opłakane skutki, a był na tyle uczciwy, by przyznać, że Rose działa na niego tak, jak nigdy nie działała Gloria. Ponieważ z natury był ostrożny, pomyślał, że lepiej zaczekać, aż będzie widział swój kurs na tyle wyraźnie, by ominąć każdą mieliznę i rafę, każde potencjalne niebezpieczeństwo. Jako kapitan, kierował się zasadą wymierzania kary od razu po udowodnieniu winy. Nie zależało mu na tym, by winowajca całymi dniami żył w strachu i niepewności. Poczytywał sobie za powód do dumy, że jest sprawiedliwym człowiekiem, a chęć zemsty jest mu obca.

Wina Rose została udowodniona ponad wszelką wątpliwość. Ona sama się do niej przyznała, o ile tę chaotyczną przemowę można było uznać za wyznanie winy. Jaka kara mogłaby być odpowiedniejsza niż wzięcie jej za słowo? Potraktowanie jej jak żonę?

Nie była to ani zemsta, ani dochodzenie swoich praw. Kierowało nim wyłącznie poczucie sprawiedliwości.

Jednak nie chciał tego robić tej nocy. Nie, dopóki na

samą myśl o tym, czego się dopuściła Rose, miał ochotę skrócić jej tę kruchą szyję.

Niespokojnie odwrócił się do okna. Jego uwagę przyciągnął wschodzący księżyc i złoty szlak na powierzchni wody. Czy jest coś piękniejszego na tym stworzonym przez Boga świecie niż odbicie światła księżyca w wodzie?

Wkrótce będzie wolny. Będzie mógł stąd wyjechać, podążyć tą złotą drogą za linię horyzontu i dalej. Ale najpierw...

Najpierw pośle tych dwóch młodych zarozumiałców do diabła. Dopóki pozostanie tutaj, w Powers Point, dopóty sam potrafi zająć się żywym inwentarzem, a jeśli Rose ma ochotę na naukę żeglowania, proszę bardzo. On zrobi to o wiele lepiej niż jakiś zadufany urzędniczyna w kołnierzyku i krawacie. Dopóki nie będzie o tym myślała, wszystko będzie w porządku.

Dopóki będzie mogła siedzieć w bujanym fotelu, trzymając w ramionach ciepłe ciało Annie, i wpatrywać się w odbicie światła księżyca w wodzie, może tu tkwić godzinami, nie myśląc o niczym. Gdzieś w głębi domu zaczął bić zegar. Od czasu do czasu stary dom wydawał z siebie ciche trzaski oznaczające, że uchodzi z niego żar dnia. Ten znajomy odgłos wydał się Rose dziwnie uspokajający. Cóż, powiedziałaś mu. Nie odprawił cię. Co teraz?

Nie wiedziała, po prostu nie wiedziała.

Zdawała sobie sprawę z tego, że Matt jej potrzebuje, i to nie tylko ze względu na Annie.

Miała świadomość, że jej pragnie i że jest wściekły z tego powodu, bo nie chce jej pragnąć. Nawet najgłupsza kobieta mogła się nauczyć rozpoznawania pewnych symptomów. Wszystko było kwestią czasu i doświadczenia.

Robert chciał jej pieniędzy, ponieważ jednak była kobietą, w dodatku pod ręką, wykorzystywał ją tak, jak mu było wygodnie. Matt potrzebował opiekunki do Annie, lecz pragnął: również jej, Rose.

Niebu wiadomo, że ona też go pragnęła. Nieszczęście polegało na tym, że chciała o wiele więcej niż jego ciała, bo sprawy seksu nigdy do niej nie przemawiały. Nie była w tym dobra. Słyszała to tyle razy, że w końcu uwierzyła.

Chciała tych rzadkich uśmiechów, którymi obdarzał Annie, czasem Cranka czy Pega, aleją nigdy. Chciała jego siły, kiedy odwaga zaczynała ją opuszczać, i dobroci, która skłoniła go do zaopiekowania się nowo narodzonym dzieckiem, choć nie miał pojęcia, w jaki sposób się nim zajmie. Chciała tej odrobiny czułości, którą tak bardzo próbował ukryć.

Na pewno nie chciała jego gniewu. Nie, dopóki nie będzie pewna, że jest wystarczająco silna, a pracowała nad tym. Z każdym dniem i z każdym nowym osiągnięciem stawała się bardziej pewna siebie.

Ale tak bardzo chciała, żeby ją kochał, przynajmniej trochę. Żeby myślał, że jest piękna i odważna, i uwodzicielska, by dostrzegł w niej te wszystkie cechy, których jej brakowało.

Och, Augusto Rose. Czego ty oczekujesz? Gwiazdki z nieba?

Następnego dnia od rana padało. Deszcz czasami ustawał, by po chwili rozpadać się na nowo. W końcu Rose poddała się i zrobiła pranie w domu. Wygotowała rzeczy Annie i rozwiesiła je na sznurach na strychu. Powinna obrębić więcej pieluszek. Trzy tuziny to stanowczo za mało.

Annie marudziła. Pewnie dlatego, że wyrzynał jej się kolejny ząbek. Rose potarła jej dziąsła palcem zanurzonym w miodzie. Miała ochotę zanurzyć go w brandy, jednak się nie odważyła. Świadoma, że Matt obserwuje jej każdy krok, stąpała jak po lodzie.

- Zamierzam przestawić łóżeczko Annie z powrotem do jej pokoju - zakomunikował jej z samego rana, jeszcze przed śniadaniem. - Musi nauczyć się samodzielności.

Potraktowała jego słowa jak oskarżenie i postanowiła przejść do defensywy.

- Mam najszerszy zamiar uczyć ją samodzielności, nie sądzisz jednak, że jest trochę za mała za naukę?

- Nie, nie sądzę.

- Tak, cóż, ja... - Chciała powiedzieć, że jest przeciwnego zdania, szczęściem w porę się powstrzymała. To by jej w niczym nie pomogło.

- Pewnie masz rację. Poprosiłam Cranka, żeby przestawił łóżeczko do mego pokoju na wypadek, gdyby Annie budziła się w nocy, ale prawdę mówiąc, chodziło o to, że lubię mieć ją przy sobie.

- Chyba nie boisz się ciemności?

- Nie boję się niczego - powiedziała szybko. W tym momencie przypomniała sobie o złożonej sobie samej obietnicy, że od teraz będzie uczciwa pod każdym względem, więc pospieszyła z wyjaśnieniem:

- W każdym razie

nie ciemności. Trochę boję się piorunów. Boję się także węży i pajaków, ale John obiecał, że mi pokaże, które są niebezpieczne, a które są naszymi przyjaciółmi.

- Naszymi przyjaciółmi? - Matt zaczynał znajdować w tym przyjemność. Rose była rozbijająca, a on nie mógł sobie pozwolić na to, aby zostać rozbijonym. Nie mógł dopuścić do tego, by ją polubić, w każdym razie nie teraz, kiedy miał szczerzy zamiar ją uwieść, a następnie zdemaskować.

- Węże jedzą myszy, a ja nie lubię myszy. Żaby i jaszczurki zjadają owady, a ja nie przepadam za owadami, ale z drugiej strony węże zjadają żaby i jaszczurki, więc właściwie nie wiem, jak to wszystko działa.

- Węże zjadają również ptaki. Pisklęta, prosto z gniazda - oznajmił jej z powagą.

Otworzyła szeroko oczy, lecz szybko się opanowała.

- Wiedziałam o tym, naturalnie. Są takie sprawy, o których wolę nie myśleć - oświadczyła z godnością.

Matt dobrze się bawił tą małą rozgrywką, co uznał za wystarczający powód, żeby ją zakończyć. Nigdy nie był dobry w grach, zwłaszcza w gierkach z kobietami.

- Założę się, że tak jest - mruknął i odszedł, nie czekając na odpowiedź.

Niemal czuł, jak jej spojrzenie wwierca się mu w plecy. Kocie oczy, bardziej żółte niż brązowe. Nawet włosy zrobiły jej się ostatnio bardziej żółte niż brązowe, z jaśniejszymi pasemkami od długiego przebywania na słońcu z gołą głową.

Pragnąc znaleźć się tam, gdzie będzie mógł w spokoju przemyśleć parę spraw, trzasnął frontowymi drzwiami,

jednym skokiem pokonał pięć schodków i wielkimi krokami ruszył do stajni. Po paru minutach siedział na oklep na grzbiecie Jericha i galopował po wilgotnym piasku. Drobną deszcz przylepiało mu koszulę do pleców, a włosy do czaszki.

- Przeklęta kobieta - mruknął.

Ogier, który nie mógł się doczekać, kiedy dotrą do przybrzeżnej fali, nawet nie zastrzygł uchem.

- Ty masz ich aż sześć, stary druhu. Byłbym ci głęboko wdzięczny za każdą radę.

W ten sposób włókł się dzień. Rose rzuciła się w wir zajęć. Niestety, prace, które dawały zajęcie rękom, nie zajmowały jej myśli.

Z okazji powrotu Matta Crank przyrządził kolejną z jego ulubionych potraw. Tym razem była to pieczona flądra z ziemniakami i cebulką, posypana paseczkami chrupiącego bekonu.

Rose nie zdołała przełknąć ani kawałka. Obojętna na wspaniały widok rozpościerający się za kuchennymi drzwiami, gdzie pasmo różowych chmur zapowiadało zachód słońca, zgmiotła widelcem rybę i ziemniaki na papkę i usiłowała nią nakarmić Annie. Machinalnie podetknęła jej kubek z mlekiem i zapomniała o nim. Crank uśmiechnął się na widok siorbiącej Annie, po czym zachichotał, kiedy mleko ulało z kącików ust dziecka prosto na śliniak.

Matt już wcześniej nałożył porcję na swój talerz i zabrał wszystko do gabinetu. Od powrotu nie zjadł z nimi ani jednego posiłku. Najwyraźniej nie przebaczył jej, że go oszukała. A może doszedł do wniosku, że nie chce być

jej mężem, i próbuje obmyślić jakiś taktowny sposób, by jej o tym powiedzieć.

Czyżby? Od kiedy to kapitan Powers jest taktowny?

Już raczej próbuje znaleźć kogoś, kto by tu przybył i zaopiekował się Annie.

- Cóż, po prostu zajmiemy się tym, prawda, kochanie? - Marszcząc czoło, starła szarą papkę z ryby i ziemniaków z podbródka Annie i dała jej kolejną łyżkę.

- Rośnie jak chwast, prawda? - Stary marynarz, siedzący po przeciwnej stronie stołu, uśmiechnął się z dumą.

- Nie jak jeden z moich chwastów - zauważyła z powagą.

Nieco później przeciągnęła fotel bujany do pokoju Annie, ukołysała ją do snu i bujała się, aż zaszło słońce, a na niebie pokazały się pierwsze gwiazdy.

Z pewnością Matt nie przyjdzie do niej tej nocy. Zupełnie niepotrzebnie doprowadziła się do stanu hysterii. Przez cały dzień była podenerwowana. Od momentu, kiedy zostawił ją i pojechał na tym swoim koniu nad morze, czekała, że coś się wydarzy. Gdyby nie zabrał kolacji do gabinetu i nie zamknął za sobą drzwi, może próbowałaby z nim porozmawiać, ale w tym domu, gdzie dobre samopoczucie zależało od swobodnej cyrkulacji powietrza, zamknięte drzwi trzeba było traktować z całą powagą.

Deszcz wreszcie przestał padać. Powietrze było całkiem nieruchome. Rose kąpała się rano, ale kiedy już położyła Annie na noc, wykąpała się ponownie, zużywając resztkę mydła o zapachu bzu.

Była jego żoną. Jeśli przyjdzie, to przyjdzie.

Jeśli jej pragnie, niech tak będzie. Jeśli nie, w takim razie ona wyjedzie i wszystko się skończy. Przyszedł. Miała na sobie najcieńszą nocną koszulę, bo noc była ciepła. Tak się złożyło, że była to również jej najładniejsza koszula. Zanim poddała włosy obowiązkowemu rytuałowi stu pociągnięć, pokropiła szczotkę wodą

● zapachu bzu, bo chciała się ochłodzić, nie dlatego, że był po temu jakiś inny powód.

Okłamywała się, bo wolała nie myśleć, że zakochała się po raz pierwszy w życiu, i panicznie się bała, że on nigdy nie pokocha kobiety bez urody, bez pieniędzy, a w dodatku tchórzliwszej od ślimaka.

Kobiety, która tak długo żyła w kłamstwie.

Ledwie zdążyła się wśliznąć do łóżka, a on stanął w progu. Przebrał się i zamiast zniszczonych drelichowych spodni

i postrzępionej bawełnianej koszuli, którą zakładał do pracy przy koniach, miał teraz na sobie najlepszą koszulę z białego lnu i parę czarnych spodni, które opinały mu łądzwie niczym rękawiczki.

Jeśli chciał wyrzeć na niej dobre wrażenie, lepiej by zrobił, gdyby przystroił się w uśmiech.

- Potrzebujesz czegoś? - Jej głos zabrzmiał tak piskliwie jak zawias wymagający naoliwienia.

- Twierdzisz, że jesteś moją żoną. Pomyślałem, że równie dobrze możemy ustalić nasze stosunki, zanim znów wyjadę.

Podszedł bliżej i stał teraz przy łóżku, Żółte światło lampy podkreślało ostre, kanciaste rysy twarzy.

Rose, zdecydowana nie dać się onieśmielić, wykrztusiła:

- Nie musisz... to znaczy, nie oczekuję od ciebie...
- Rose. - Miał łagodny głos. Jej był ledwie słyszalny.
- Tak?
- Posuń się.

Umknęła na drugą stronę łóżka, zatrzymując się na samym brzeżku. Zahipnotyzowana, patrzyła w migotliwym świetle lampy, jak Matt zdejmuje koszulę, po czym powoli rozpina spodnie i ściąga je przez wąskie biodra.

Nie miał nic pod spodem. Na próżno próbowała oderwać wzrok od ciemnej strefy powyżej mocnych ud. Był w pełni, dumnie pobudzony. W ustach jej zaschło. Po kilku miesiącach pierwszego małżeństwa przywykła myśleć o tej części męskiego ciała jak o broni.

Dziwne, ale nie bała się Matta. O wiele bardziej przerażała ją własna reakcja.

Matt zaczekał, aż mu się dokładnie przyjrzała. Teraz, kiedy na dobre uporał się z gniewem, zamierzał poświęcić tyle czasu, ile będzie trzeba, żeby dać jej rozkosz. Nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego chciał widzieć jej oczy pociemniałe z namiętności. Może z powodu urażonej ambicji. Rose zwlekała wystarczająco długo, nie zamykając sobie drogi odwrotu. To wciąż bolało. Oszukała go, toteż zamierzał się zemścić, ale, prawdę mówiąc, nie był do końca pewien swych umiejętności, jeśli chodzi o kochanie się z uczciwymi kobietami. Kobiety lekkich obyczajów - jedyne, z jakimi dotychczas sypiał - zwykle przejmowały prowadzenie. Płacono im, żeby się wiły i jęczały, bez względu na to, czy czerpały przyjemność, czy nie. Im prędzej posłały zadowolonego

klienta w swoją drogę, tym szybciej mogły zająć się następnym.

Miał prawie piętnaście lat, kiedy Peg zaprowadził go do pierwszego w jego życiu burdelu.

Zaopatrzone w ośmiotygodniowe zarobki plus pieniądze, które towarzysze wygrali w karty i dali mu z tej okazji, spędził tam całą noc i wyszedł dopiero późnym popołudniem następnego dnia, mając zaledwie tyle siły, by dowlec się do statku.

Niemniej jednak uśmiechał się od ucha do ucha. Szczyrzył zęby przez wiele dni. Wystarczyło, że o tym pomyślał. ^

- Wolisz być na górze czy na dole? - Uznał, że wypada o to spytać, a świadomość, że Rose jest tuż obok niego, ciepła i pachnąca bzem, sprawiała, że ledwie pamiętał o niedawnym gniewie.

- Ja... jak chcesz.

- Jestem ciężki. Nie chciałbym, żeby było ci niewygodnie - wyrzucił z siebie przez zaciśnięte zęby. Siedzieli obok siebie, opierając plecy o chłodne, metalowe pręty zagłówka, bo Rose nie poprawiała poduszki.

Potał stopą jej stopę pod lekkim prześcieradłem i przeszedł go prąd. Wciągnął powietrze w płuca. Dlaczego po prostu jej nie bierzesz, do diabła? Rozłóż jej nogi, weź i nie zawracaj sobie tym więcej głowy!

- Moglibyśmy poczekać - zasugerowała niepewnie. - Nie ma takiego prawa, które mówiłoby, że w ogóle musimy to robić, skoro nie chcesz.

- Moglibyśmy tak się spierać przez całą noc, ale nie będziemy.

Nagle się odwrócił, ujął ją za ramiona i obrócił tak, że znalazła się z nim twarzą w twarz. Wbił palce w jej ciało, ale kiedy otworzyła szeroko oczy, w których czaił się strach, rozluźnił uścisk i zaczął niezgrabnie gładzić jej skórę, zupełnie jakby chciał uśmierzyć ból.

Przecież nie zamierzał jej skrzywdzić, do diabła, ale przez cały dzień chodził jak nieprzytomny, myśląc tylko o tym, co będzie robił dzisiejszej nocy. Jeśli teraz nie doprowadzi tego do końca, oszaleje.

Albo eksploduje.

A więc pocałował ją. Już raz to zrobił i trochę za bardzo mu się podobało, ale musiał jakoś zacząć.

Było to coś więcej niż początek. Wystarczyło, by ogarnęło go szaleństwo. Zapach jej skóry mącił mu zmysły, kwiatowy aromat zmieszał się teraz z czymś korzennym, egzotycznym.

Musiał jej posmakować. Przywarł do jej ust i rozdzielił je. Kierując się bardziej instynktem niż doświadczeniem, rozpoczął penetrację. Delikatnie przygryzł jej wargi zębami, a językiem uwodzicielsko naśladował pulsowanie, które odczuwał w dole brzucha.

W trakcie pocałunku ułożył ją na pościeli i pochylił się nad nią, ani na chwilę nie odrywając od niej ust. Koszula zwinęła jej się na plecach, więc niezgrabnie spróbował ją unieść. W końcu dał temu spokój, przerwał pocałunek

i powiedział:

- To na nic.

Powinien był przyciemnić lampę. Widząc Rose w tym stanie, z wargami wilgotnymi i obrzmiałymi od pocałunków, z pociemniałymi oczami, którymi wpatrywała się

w jego twarz, musiał przypomnieć sobie o pierwotnym planie: że ma ją wziąć, a potem powiedzieć jej, że podjął kroki w sprawie unieważnienia małżeństwa.

Niepewnymi dłońmi posadził ją na pościeli, wyszarpnął spod niej cienką bawełnianą koszulę i ściągnął jej przez głowę.

- Nie rób tego - ostrzegł, kiedy skrzyżowała ramiona na piersi i na wszelki wypadek uniosła kolana. - Chcę cię widzieć. Ty miałaś mnóstwo czasu, by mi się przyjrzeć -przypomniał.

Nawet jeśli go usłyszała, nic na to nie wskazywało. Delikatnie ujął jej nadgarstki i opuścił ręce wzdłuż boków. Miała małe piersi, ciemne brodawki sterczały sztywno zupełnie jakby dopraszały się uwagi.

Podniecony aż do bólu, uniósł się na kolana i ulokował między jej uniesionymi udami, a wszystkie ambitne plany zemsty wyleciały mu z głowy. Dotknął jej piersi najpierw wargami, potem językiem. Kiedy jego nozdrza wypełnił kobiecy zapach, korzenny, piżmowy, niewiarygodnie upojny, Matt zaczął ssać jej pierś.

Spazmatycznie zaczerpnęła tchu, więc przeniósł wargi z piersi na usta i znów ją pocałował, tuląc kruche piersi w swoich wielkich dłoniach. Wciąż klęczał między jej udami. Zdając sobie sprawę, że ledwie nad sobą panuje, rozmyślnie się odsunął i odetchnął głęboko. Ochrypłym, pozbawionym modulacji głosem szepnął:

- Proszę, nie opieraj się, Rose. Postaram się zrobić to tak szybko, jak się da, a potem zostawię cię samą.

Dał jej czas na przygotowanie, tłumacząc sobie, że nie może rzucić się na nią jak ogier w rui. Nawet Jericho miał

na tyle delikatności, by obwąchać i pogryźć delikatnie partnerkę, zanim przeszedł do rzeczy. Wyciągnął rękę i przykręcił lampę, zostawiając tylko maleńki żółty płomyk. Powinien był ją zgasić. Kiedy odwrócił się do Rose, leżała z rękami ułożonymi sztywno po bokach. Powieki miała mocno zaciśnięte - zbyt mocno. Widział albo wydało mu się, że widzi, jak po jej płaskim brzuchu przebiegł dreszcz.

Co, do diabła, zrobi, jeśli ona zacznie płakać? Żadna kobieta nie płakała po tym, kiedy się z nią kochał. Kiedy poszedł z nią do łóżka, poprawił się w myślach. Nigdy nie było mowy o miłości. Po prostu płacił, zażywał przyjemności i odchodził. Aż do następnego pobytu w porcie.

Żadnej miłości, przypomniał sobie, pochylając się nad Rose.

- Nie bój się, nie skrzywdzę cię - szepnął, zdziwiony, dlaczego tak mu na tym zależy. Ciekawe, skąd w ogóle przyszła mu do głowy ta myśl. Przecież Rose nie była dziewicą.

Gotów eksplodować przy pierwszym dotknięciu, powiedział sobie jeszcze raz, że gdyby była dziwką, zdążyłby już dawno zrobić swoje, pieniądze leżałyby na komodzie, a po nim nie byłoby śladu.

Kłopot w tym, że była to Rose. Kobieta, którą poślubił. Kobieta, która przywlokła ze wzgóрка setkę zwiedłych chwastów i troskliwie posadziła je wokół jego domu. Kobieta, która śpiewała Annie, prała jej pieluszki i śmiała się ze starych dowcipów, powtarzanych bez przerwy przez Pega i Cranka.

Usiłując o tym wszystkim nie myśleć, wsunął dłoń między ich ciała, by ją otworzyć i kontynuować to, po co tu przyszedł.

Była gorąca, obrzmiała i gładka i o mały włos nie eksplodował, zanim ułożył się, jak należy. Serce waliło mu tak mocno, że je słyszał. Dygotał na całym ciele i z trudem utrzymywał równowagę, nie chcąc opaść na Rose całym ciężarem. Ujął swoją męskość w dłoń i przesunął ją powoli tam i z powrotem po jej najwrażliwszym miejscu, by przygotować ją na najważniejsze.

Usłyszał, jak westchnęła. Spazmatycznie złapała powietrze, zadrżała, a kiedy uniosła biodra na jego spotkanie, stracił resztki zdrowego rozsądku. Wbił się w nią, i jeszcze raz, i jeszcze, nieświadomy niczego poza wstrząsającymi doznaniem, które rozrywały jego świat na części...

Zbudził się w środku nocy, z bolącym ramieniem, z napiętym, spragnionym przyrodzeniem. I nagle wszystko wróciło w pospiesznym, upajającym tempie. Nie dó końca przekonany, że to zdarzyło się naprawdę, odtworzył w myślach całe niewiarygodne doświadczenie. Stan, w którym się znajdował, sprawił, że przez moment zastanawiał się, czy jej nie zbudzić i wszystko powtórzyć.

Lepiej zrobi, jeśli zaczeka do czasu, kiedy będzie w stanie myśleć trzeźwo. Fakt, że wciąż był tutaj, w jej łóżku, z jej głową na swoim ramieniu i pięścią zwiniętą ufnie na jego piersi, mówił sam za siebie. A przecież miał być czujny. Obiecywał sobie, że wróci do siebie, kiedy będzie po wszystkim.

Wymknął się tuż przed wschodem słońca. Był w poło-

wie drogi do swego pokoju, kiedy przypomniał sobie o ubraniu, więc wrócił na palcach do sypialni Rose i zebrał rzeczy z podłogi, gdzie rzucił je wieczorem. Fizycznie był wykończony, wiedział jednak, że już nie zaśnie. Wobec tego ubrał się i cicho wymknął na dwór.

Wrócił z plaży z Jerichem, kiedy płomienne słońce przedzierało się przez poranną mgłę, ale w dalszym ciągu nie mógł pogodzić się z tym, co się stało.

Miało być zupełnie inaczej. Plan zemsty był słuszny, a jednocześnie nie miał nic wspólnego z okrucieństwem. Rose go okłamała. Nie mógł pozwolić, by uszło jej to na sucho. Miał zamiar wymierzyć jej sprawiedliwą karę, a następnie oznajmić, że unieważnił ich małżeństwo, i zaproponować jej godziwe wynagrodzenie za opiekę nad Annie.

Ale faktem było, że kłamali oboje. Jedno kłamstwo wynikało z obawy, drugie z chęci zemsty. Czy rachunki zostały wyrównane?

ROZDZIAŁ PIETNASTY

Po powrocie z porannej przejażdżki po plaży Matt zmył sól, która osiadła mu na skórze, przebrał się w suche rzeczy, po czym ruszył na poszukiwanie śniadania. Zjadł swoją porcję do czysta, poprosił o dokładkę i jeszcze raz zmiotł wszystko z talerza. Morska woda zawsze dobrze mu robiła na apetyt. Potem napisał długi, pełen szczegółów list do Pega, choć doskonale wiedział, że stary marynarz najprawdopodobniej zignoruje zawarte w nim wskazówki, a następnie udał się do kuchni i spytał Cranka o listę zakupów.

- Zaraz po śniadaniu wybieram się na południe. Jeśli potrzebujesz czegoś, mógłbym podjechać, skoro i tak będę w okolicy.

Stary kucharz spojrzał na niego z miną kogoś, kto wie, co w trawie piszczy.

- Rosie powiedziała, że po śniadaniu weźmie małą na wzgórek. Mówiłem jej, że zanoszą się na upał, ale wie pan, jaka ona jest.

Nie wiedział, jaka ona jest.

Do diabła, nawet nie wiedział, jaki on jest. Wiedział tylko, że znalazł się w zagmatwanej sytuacji i pokompli-kował ją jeszcze bardziej.

Na domiar złego, zanim zdążył wyruszyć w drogę, po-

jawili się obydwaj zakochani młodzieńcy. John przyjechał na tym swoim kosmatym, półdzikim mustangu, a młody Dixon przyplął żaglówką ojca, służącą do połowu ryb.

Matt wziął listę zakupów, którą wręczył mu Crank, przejrzał ją pobieżnie, chcąc się upewnić, że potrafi odczytać niewyraźne pismo starego człowieka, po czym wcisnął kartkę do kieszeni i odwrócił się do wyjścia. Właśnie wtedy w drzwiach do kuchni stanęła Rose. Przynajmniej raz umknęła przed jego wzrokiem, uparcie wpatrując się w punkt tuż nad jego lewym ramieniem. Twarz miała tak spokojną, ale nic nie mogła poradzić na krwisty rumieniec, który wypłynął jej na policzki.

Matt, ni stąd, ni zowąd pełen animuszu, powitał ją:

- Dzień dobry, Rose.

- Dzień dobry, Matthew.

Zamierzała go wyminąć. Jakiś diabeł podkusił go, by zablokować jej przejście, jednak Matt postarał się, żeby wyglądało to na przypadek.

- O, przepraszam. Ładny dzień, prawda?

- Tak, ładny - odparła lekko zdławionym głosem.

Postanowiła obejść go z drugiej strony. Przesunął ciężar ciała na drugą nogę i uśmiechnął się szeroko. Chciał unieść ją nad ziemią i okręcić dookoła. Całować te ściągnięte, pełne dezaprobaty wargi, aż staną się miękkie i obrzmiałe tak jak ubiegłej nocy.

- Czy mogę przejść? - W jej głosie wyczuwało się chłód, za to policzki płonęły.

Miał ochotę się skłonić, tylko po to, by zobaczyć, jak zareaguje, lecz cofnął się o krok i gestem wskazał jej

przejsście. Kiedy go mijała, roztaczając ciepły zapach bzu, szepnął:

- To naprawdę piękny dzień, Rose. Przywiozę ci coś z wioski.

Odwróciła się z nieszczęśliwą miną.

- Nie musisz tego robić. Proszę, wo... wołałabym, że* byś tego nie robił.

Odprowadzała go wzrokiem przez całą drogę do zagrody dla koni. Czy naprawdę ubiegłej nocy to wszystko się wydarzyło? Czy sprawił, że doznawała uczuć, dla opisanego których nie potrafiła nawet znaleźć słów? Czy tak właśnie jest, kiedy kobieta kocha mężczyznę?

Poza kilkoma niejasnymi pragnieniami, które w końcu przygasły albo uleciały, nigdy przedtem nie czuła niczego, co przypominałoby choć w najmniejszym stopniu to, co przeżyła teraz, a przecież na początku kochała Roberta. W każdym razie wmawiała sobie, że tak jest, aż on swoim zachowaniem sprawił, iż nawet udawanie stało się niemożliwe.

Matt powiedział, że jej coś przywiezie. Czyżby się do niej zalecał? Skąd kobieta ma wiedzieć takie rzeczy?

John już przyjechał dać jej kolejną lekcję, a ona nawet nie zdążyła zjeść śniadania. Zarówno on, jak i Sandy co dzień pojawiali się tu wcześniej. Nie była pewna, czy próbowali pokonać upał, czy jeden drugiego. John siedział na końskim grzbiecie, z jedną nogą ugiętą przed sobą, zupełnie jakby siedział na kuchennym krześle. Robił takie rzeczy, zwłaszcza kiedy w pobliżu znalazł się Sandy. Popisywał się tak samo jak wtedy, gdy pokazał tę sztuczkę z lassem.

Jednak był naprawdę miły. Pod pewnymi względami niesłychanie poważny jak na swój wiek, pod innymi zaskakująco młody, ale miły. Zauważyła, że Matt zatrzymuje się przy nim. Mężczyźni zamienili kilka zdań, po czym John zawrócił koniem i odjechał. Przez chwilę rozważała, czy go nie zawołać. Jeśli miała ochotę na naukę konnej jazdy, Matt nie miał prawa się do tego wtrącać. Kłopot w tym, że nie chciała się uczyć. Jedni ludzie potrafili dogadywać się z końmi, inni nie. Ona należała do tej drugiej grupy. Później, kiedy Matt wróci na statek, może spróbuje jeszcze raz. A może po prostu przestanie na Angel i wozie.

Matt osiodłał klacz i płynnym ruchem wskoczył na jej grzbiet, zaskakująco zwinnie jak na tak potężnego mężczyznę. Przez chwilę stał w miejscu, przyglądając się żaglówce, płynącej wzdłuż nabrzeża, następnie skierował się w tamtą stronę i porozmawiał chwilę z Sandym, a wreszcie zawrócił koniem i ruszył na południe.

Żeglowanie. Kolejne z jej niepowodzeń. Ale przynajmniej spróbowała, na co nie zdobyłaby się dawna Rose. Gdyby nie miała innego wyjścia, prawdopodobnie byłaby w stanie wdrapać się na koński grzbiet i zmusić zwierzę do jazdy. Mogłaby wsiąść do łódki, podnieść żagiel, a nawet odważyć się na niewielki rejs w głąb cieśniny, naturalnie w spokojny dzień.

Tyle jeśli chodzi o jej marzenia o biegu. Ledwie zdołała dobrać do poziomu nowicjusza. Mogła najwyżej liczyć na to, że Matt od czasu do czasu przyjedzie do domu, może nawet da jej kolejne dziecko, brata czy siostrę

dla Annie. Umiała zajmować się dziećmi, jeśli nawet nie nadawała się do niczego innego. Dziwne, Sandy odpłynął i nawet do niej nie zajrzał. Kiedy Matta nie było już widać, wróciła do domu. Zamierzała powiedzieć Crankowi, że nie jest głodna i nie ma ochoty na śniadanie, ale, ku swemu zdziwieniu, uświadomiła sobie, iż umiera z głodu.

- Za pięć minut będę z powrotem. Zostawiłam Annie z butelką. Czy mogę poprosić dziś o dwa jajka? I o bekon? Czy to biszkopty tak ładnie pachną? Och, to dobrze!

Matt wyjechał z wioski dopiero późnym popołudniem, a mimo wszystko nie zdołał wypełnić najważniejszej części misji. Powiedziano mu, że Dick Dixon chce się z nim zobaczyć, więc zmartwił się na wieść, że go nie ma w domu. Ponieważ sprawy ułożyły się tak a nie inaczej, chciał mu zadać parę osobistych pytań, dotyczących swego stanu cywilnego. Co prawda, znów napisał do Bagby'ego, sądząc jednak z poprzednich doświadczeń, mogły upłynąć tygodnie, a nawet miesiące, zanim się czegoś dowie.

Dixon nie był prawnikiem, ale jako przedstawiciel władzy miał za zadanie egzekwowanie, a nawet interpretowanie prawa, naturalnie w ograniczonym zakresie. Jeśli nie będzie potrafił udzielić odpowiedzi na pytania Matta, może przynajmniej ma jakąś książkę traktującą o tym zagadnieniu. Matt był wyjątkowo skrepowany. Ostatnie, czego potrzebował, to dostarczenie tematu do plotek, musiał jednak wiedzieć, na czym stoi. Poniewczasie pomyślał o reputacji Rose jako młodej wdowy mieszkającej sam na sam z dwoma mężczyznami i dzieckiem. Kiedy była tu Bess,

sprawy wyglądały inaczej, ale teraz Bess wyjechała, on wrócił i wszystko się zmieniło.

A więc wręczył listę zakupów Cranka i swój list do Bagby'ego kapitanowi frachtowca, który raz w tygodniu dostarczał towary do wioski, po czym ruszył na poszukiwanie miejscowej krawcowej.

Wdowa, panna Sal, jak ją nazywano, utrzymywała się z szycia żagli i całunów, a od czasu do czasu szła ubrania dla tych, którym oczy i palce odmawiały posłuszeństwa.

Zamówił u niej sukienkę dla Rose.

- Coś żółtego - zasugerował. - Nie w kolorze żółtka jajka, ale bledszego, jak te kwiaty rosnące na wybrzeżu.

- To będzie kosztowało pięćdziesiąt centów, jeśli pan kupi materiał. No i muszę mieć wymiary tej osoby.

- Zapłacę trzy dolary, ale to pani zamówi materiał, a ja za dzień czy dwa dostarczę wymiary. Widziała pani panią... - Odchrząknął. - Widziała ją pani. Jest mniej więcej o, taka, szczupła, ale nie za szczupła

- zbudowana jak normalna kobieta.

Panna Sal obiecała posłać po materiał, a Matt obiecał dostarczyć wymiary, ale zanim uciekł, miał jeszcze jedną prośbę.

W Norfolk, w Bostonie czy w każdym innym portowym mieście na świecie udałby się na poszukiwanie kwiaciarni. Tutaj skończyło się na tym, że pożyczył od krawcowej łopatę i wiadro, wręczył jej jeszcze jednego dolara i wykopał krzak róży z ogródka przed domem.

Udał, że nie zauważa jej szczerbatego uśmiechu, kiedy odjeżdżał z krzakiem, a uszy płonęły mu żywym ogniem.

- Tak się złożyło, że zobaczyłem go i pomyślałem, że

równie dobrze mogę zabrać go do domu. Może znajdziesz dla niego jakieś miejsce - oznajmił Rose po przyjeździe. - Nie ukradłem go, jeśli o to chodzi. - Widział krzak w rozkwicie i zapragnął go dla Rose. Róża dla Rose. Gdyby wcześniej pomyślał, że będzie musiał przewieźć to rozłożyste, kolczaste krzaczysko na końskim grzbiecie, może nie zawracałby sobie głowy. Akurat... zrobiliby to i tak. Postawił wiadro obok werandy i odszedł, mrużąc pod nosem:

- Weź go lub zostaw, pewnie i tak go zmarnujesz.

Pod nieobecność Luthera i Pega miał dość pracy do zmroku. Nakarmił inwentarz, przejechał się na Jerichu na wybrzeże, zreperował kojec do wysiadania jaj i nastawił sieć. Wiatr powinien wkrótce zmienić kierunek. Oznaczało to, że kiedy nadejdzie ranek, on upaprze się po pas łuskami i wnętrznościami, za to pragnajmniej będą mieli świeże ryby, miła odmiana po solonym kielbku, ulubionej potrawie Cranka.

W podupadłym pensjonacie w portowym mieście Beaufort Tressy Riddle stuknęła o zęby pogniecioną kopertą, rozmyślając nad tym, co właśnie przeczytała. Nic dziwnego, że Cat nie odpowiedziała na żaden z jej listów. Była martwa, zamordowana przez tego swego nic niewartego męża.

Tressy, młodsza, ale o niebo, sprytniejsza, radziła siostrze, żeby się tak nie spieszyła. Tłumaczyła jej, że jeśli zdobędzie się na odrobinę cierpliwości, na horyzoncie może pojawić się coś lepszego. Ale Cat twierdziła, że ma dość ludzi patrzących na nie z góry.

- Tylko dlatego, że nie mamy pieniędzy. Tylko dlatego, że tatko zapił się na śmierć, a mama uciekła, narobiwszy długów u połowy mieszkańców miasteczka, myślą, że jesteśmy jakimiś wyrzutkami. Skończyło się na tym, że Cat wyszła za męża za jakiegoś starego dziada, którego poznała w porcie. Tressy przestrzegała ją, żeby się tam nie kręciła.

- Nigdy nie spotkasz właściwego człowieka, jeśli nie nauczysz się rozmawiać, ubierać jak należy i chodzić tam, gdzie oni.

- Gdzie oni chodzą?

- Do kościoła episkopalnego, głupia.

- Byłam tam dwa razy. Nie można powiedzieć, żebym się dobrze bawiła.

- Pozwól, że ci coś powiem. To, co przytrafia się dziewczętom, które włóczą się w dokach, też nie jest za-, bawne. To znaczy jest, na chwilę, tyle że kiedy statek wypływa z portu, ty zostajesz z bękartem w brzuchu, bez mężczyzny i bez pieniędzy. To właśnie przydarzyło się Louelli.

- Jestem od niej sprytniejsza.

- Jesteś głupia jak but, i tyle.

Cóż, popatrzcie, kto miał rację, pomyślała Tressy z satysfakcją, wkładając list pana Dixona z powrotem do koperty.

Abner Murdoch, za którego wyszła jej siostra, miał przynajmniej dom. Tressy, która pilnie potrzebowała dachu nad głową, dopóki jej zła passa nie minie, zastanawiała się, czy nie należałoby złożyć wizyty państwu Murdochom. Napisała do Cat, a ponieważ nie otrzymała

odpowiedzi, napisała ponownie. Na ten list odpowiedział mężczyzna o nazwisku Dixon, wyjaśniając, co zaszło.

„Pani siostra zostawiła dziecko, które obecnie jest pod opieką niejakiego kapitana Matthew Powersa z Powers Point”.

Te słowa zrobiły na niej piorunujące wrażenie. Ludzie, których nazwiska brzmiały tak jak nazwy ich posiadłości, mieli pieniądze. Następna linijka listu potwierdziła jej przypuszczenia.

„Kapitan Powers jest dość zamożny i cieszy się powszechnym szacunkiem. Może pani być pewna, że, choć nieżonaty, zaopiekuje się pitni siostrzenicą, dopóki nie zostaną podjęte inne kroki”.

- Hm. - Tressy jeszcze raz uderzyła rogiem koperty o przednie zęby. Zamożny gość, nic dodać, nic ująć. Nieważne, z żoną czy bez.

Cóż, może po prostu powinna wydać te ostatnie parę dolarów, które jej jeszcze zostały, kupić bilet na statek i na własne oczy przekonać się, jak się sprawy mają. Mniejsza o dziecko, ale Cat i jej stary mieli dom, a może jeszcze parę innych rzeczy, na przykład meble, które można byłoby sprzedać. Marynarze zwykle zwozili do domu najdziwniejsze rzeczy z dalekich krajów, po prostu po to, by udowodnić, że naprawdę byli tu czy tam.

Matt spóźnił się na kolację, więc zaczęli bez niego. Niespiesznie umył się i przebrał w czystą koszulę, po czym przypomniał sobie, kto pierze i prasuje jego rzeczy, i pożałował, że to zrobił.

- Za dużo pracujesz - powiedział na przywitanie.

- Słucham?

Oboje poczerwienieli. Crank uśmiechał się od ucha do ucha, a Annie, siedząca w wysokim krzeselku z blatem, które zrobił dla niej Peg, bawiła się jedzeniem i bryzgała nim, gdzie popadnie.

- Chodzi o prasowanie. Jest za gorąco na prasowanie.

- Na gotowanie też - wtrącił się Crank.

- Jeśli chcesz jeść surowe ryby, proszę bardzo, ale ja życzę sobie, żeby jedzenie Annie było jak należy, dobre i gotowane.

Padło jeszcze kilka takich uwag i stopniowo napięcie zelżało, tyle że do czasu kiedy Crank wstał, by podać pudding z melasy, Matt przynajmniej sto razy spojrzał przez stół, myśląc o tym, co zrobił ubiegłej nocy.

I co zamierzał powtórzyć dziś, gdy tylko wszyscy udadzą się na spoczynek.

Rose próbowała udawać, że to nic wielkiego, kiedy , znów przyszedł do jej sypialni. Przecież byli małżeństwem. Mężem i żoną, choć on nie zachowywał się jak mąż. W każdym razie nie jak jej pierwszy mąż, jedyny, którego do niedawna znała.

- Myślisz, że przeżyje? - spytał, przymykając okno, bo na dworze szalał wiatr.

- Włożyłam w dołek trochę nawozu ze stajni. Luther przed wyjazdem powiedział mi, że jeśli będę używała nawozu z najstarszego stosu, kwiaty będą lepiej rosły.

Matt wiedział tyle o nawozach, co o różach, ale pokiwał mądrze głową.

- Chyba tak. Myślę, że od czasu do czasu powinnaś ją podlewać.

Głośno przełknęła ślinę.

- Zrobię tak.

- Cóż, to był długi dzień. - Przeciągnął się i udał, że ziewa. W tym momencie poczuł się jeszcze większym głupcem niż do tej pory. Jak powinno się traktować uczciwą kobietę? Rzucenie się na nią w łóżku nie wydawało mu się właściwe. W jaki sposób zrobił to ubiegłej nocy?

Za żadne skarby nie potrafił sobie przypomnieć. Wiedział tylko, że czegoś takiego nie doświadczył nigdy przedtem. Musi zachować czujność, bo inaczej może zgodzić się na podjęcie pracy na wybrzeżu, o której wspomniał Dixon. Tylko po to, żeby mieć Rose w łóżku co noc.

- Matt?

Szybko odwrócił się od okna.

- Tak? Jesteś zbyt śpiąca? Jeśli wolisz, żebym sobie poszedł, nie mam nic przeciwko temu. To znaczy...

- Dlaczego nie kładziesz się do łóżka?

Zbudził się w środku nocy i leżał bez ruchu, wpatrując się w ciemny sufit. Czuł, jak północno-wschodni wiatr owiewa mu nagą skórę. Czuł też ból w ramieniu, tam, gdzie ciężar jej głowy odciął obieg krwi, małą pięść zwiniętą na jego piersi, smukłe udo przełożone przez jego udo.

Był gotów do tej samej szalonej rozkoszy, której dzisiejszej nocy doświadczył już dwukrotnie.

Pewnie była zbyt obolała. Nie oszczędzał jej.

- Mmm... - wymruczała przez sen. Odgarnął jej wło-

sy z twarzy. Czy nie było jej za ciepło? Za zimno? A może od opierania głowy na jego ramieniu skręciła szyję?

- Rose - szepnął. - Obróć się, bo może chwycić cię kurcz w szyję.

Po chwili usłyszał:

- Nie, nic mi nie będzie. Ramię cię boli? I to jak. Głowa musi ważyć prawie tyle co arbuz, ale wolałby zginąć, niż przyznać się, że go boli.

Przekręciła się na bok i trąciła gołą pupą jego biodro. To było nawet gorsze. Jeden raz poprzedniej nocy, dwa razy dzisiejszej - sprawy wymykały się spod kontroli. Naprawdę był jej winien wyjaśnienie. Powinien powiedzieć jej, co zrobił, zanim zabrnije jeszcze dalej, tylko jak miał. Jej to powiedzieć, skoro sam nie wiedział, na czym stoi? i Jeśli Bagby się nie spieszył, wciąż mogła być jego żoną. Skoro tak, niech tak już zostanie. Ale jeżeli będzie musiał, poślubić ją ponownie, zrobi to. Im wcześniej, tym lepiej.

Obrócił się i przytulił do pleców Rose, przerzucając ramię przez jej biodro, ale było mu niewygodnie, bo znów był gotów.

Westchnęła, znów się odwróciła i tym razem znalazła się z nim twarzą w twarz.

Matt uniósł ją do góry, tak że udami objęła mu boki, i posadził na sobie. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa, ale Matt jęknął. A ona gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca, kiedy wsunął się w jej wilgotne, śliskie wnętrze.

„O, och” - zawołała, kiedy pchnął. „Och, och” - znowu, kiedy odnalazła swój rytm i zaczęła poruszać biodrami. Trwało to jakiś czas, a kiedy zbliżali się do końca,

chwycił ją za ramiona i przytrzymał, wbijając się w nią, szybko, szybciej, najszybciej. Potem zadrżał - może nawet krzyknął. Gdy opadła na niego, przytulił ją do siebie i poczuł, że ma ochotę wybuchnąć śmiechem, płaczem - a może umrzeć.

Z sąsiedniego pokoju dobiegło kwilenie.

- Nie zbudziłem jej? - Nie myślał jasno, a mówienie przychodziło mu z widocznym trudem.

- Zaraz zaśnie z powrotem, jeśli będziemy cicho. Dotknął ustami jej ucha i szepnął:

- Będę cicho, jeśli ty będziesz cicho.

Zachichotała, więc położył dłoń na jej ustach. Gdy poczuł jej zęby na pokrytym odciskami kciuku, wsunął wskazujący palec do środka i poruszał nim powoli tam i z powrotem, nie mając pojęcia, dlaczego to robi. Wiedział tylko, że chce jej na wszystkie możliwe sposoby. Jeśli będzie miał wystarczająco dużo czasu, powinno mu się to udać. Może razem odkryją jeszcze parę innych sposobów, dotychczas nieznanymi.

Ale przede wszystkim musiał jej powiedzieć o tym, co zrobił.

Z pokoju Annie nie dobiegał żaden dźwięk.

- Nie jest ci zimno? - spytał cicho.

- Och, nie - szepnęła w odpowiedzi. - Czy kiedykolwiek leżałeś tuż przy ognisku?

- Nie przypominam sobie.

- Jesteś jak rozgrzane polano.

- Kochanie, jestem twardy i gorący, ale nie wydaje mi się, żebym przypominał kawał drewna.

- Cii - szepnęła, trzęsąc się od powstrzymanego

śmiechu, co nie za bardzo pomagało mu w zachowaniu opanowania.

- Boli cię? - odważył się spytać, z nadzieją, że odpowiedź będzie przecząca.

- Troszeczkę. Właściwie... piecze.

- Mógłbym... - zaczął, właściwie nie wiedząc, co zamierza powiedzieć, kiedy jednak poruszył się, by wstać ; z łóżka, złapała go za ramię i przytrzymała.

- Nie, proszę... nie odchodź. To tylko... cóż, minęło dużo czasu, odkąd...

- Odkąd zostałeś wdową. Poczuł, jak przytaknęła. Chciał wiedzieć więcej. Chciał wiedzieć o niej wszystko. Gdyby był pewien swoich praw - nie chodzi o to, że miał prawo do jej przeszłości - byłby , nalegał, ale tak się złożyło, że nie musiał tego robić.

- Nie wiem, co Bess powiedziała ci o... o moim pierwszym małżeństwie. Nie jestem nawet pewna, ile ona sama wie. Straciłam dziecko.

Odruchowo zacieśnił uścisk.

- Jak to, straciłaś?

- Urodziło się przedwcześnie, tej nocy, podczas której zginął mój mąż.

Chciał coś powiedzieć, ale przemyślał to i wreszcie mruknął:

- Przykro mi. - To niewiele, ale co właściwie powinno się mówić w takiej sytuacji? Zaczynał właśnie rozumieć, jak bolesna może być utrata dziecka. Gdyby cokolwiek przytrafiło się Annie...

- Tak, cóż... Annie pomogła mi ukoić ból.

To proste stwierdzenie sprawiło, że do oczu napłynęły

mu łązy. Zacieśnił uścisk, lecz tym razem nie było w tym nic zmysłowego. Trzymał ją w objęciach aż do świtu, kiedy, tuż przed wschodem słońca, wiatr ucichł i zaczął padać deszcz. Bębnił o dach, zagłuszając pytania, nie do końca uformowane myśli, które chodziły mu po głowie.

Oboje spali, aż Annie objawiła światu, że ma mokro i jest głodna i ani jedno, ani drugie jej się nie podoba.

Zanim Rose przygotowała Annie do śniadania, Matta nigdzie nie było widać. Nie była pewna, co ma myśleć

o ich wzajemnych stosunkach, nie mówiąc o tym, jak on się z tym czuł. Albo czy'w ogóle coś czuł.

Najprzyjemniejsze w tym wszystkim było to, że oboje się śmiali. Leżeli w łóżku, tulili się do siebie i śmiali. Cóż, może nie to było najprzyjemniejsze, pomyślała i zalała ją fala ciepła.

- Goście idą - zawołał Crank, kiedy Rose, wciąż w szlafroku, zapinała sukieneczkę Annie.

Wczesna pora na gości. Nawet statek pocztowy przyplýwał zwykle po południu. Może to John... albo Sandy, pomyślała.

Nie był to żaden z nich.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Rose nie widziała powodu do pośpiechu. Przez okno sypialni zobaczyła czarną dwukółkę pana Dixona z płócienną markizą chroniącą od słońca i szerokimi drewnianymi kołami, które ułatwiały jazdę po piachu. Choć pojazd wyglądał dość osobliwie, świetnie się sprawdzał w tutejszych warunkach.

Otworzyła szafę i przerzuciła skromną kolekcję sukienek. Niebieska, a może znów żółta? Obie z dnia na dzień coraz bardziej płowiały od słońca. Różowa jedwabna nie wchodziła w grę. Była namacalnym dowodem jednego z jej sławetnych niefortunnych wyborów.

Tak się złożyło, że urodziny Rose przypadły w tym samym dniu co urodziny jedynej córki najlepszych przyjaciół jej rodziców. Choć dziewczynki nigdy nie były przyjaciółkami, rok w rok zmuszano je do wspólnego przyjęcia. Na ostatniej takiej imprezie Serena miała na sobie suknię z różowej tafty, dopasowaną w talii, z przybraną falbanami spódnicą i wyzywającym dekoltem. Nic dziwnego, że została obwołana najpiękniejszą dziewczyną na balu i wszyscy goście zachwycali się, jak do twarzy jej w różowym.

Rose wymogła na matce, by uszyto jej suknię w tym samym kolorze i w podobnym stylu. Niestety, głęboki dekolt

podkreślił brak biustu, a odcień materiału - ziemisty kolor cery. Miała ją na sobie tylko raz i przez cały wieczór dręczyła ją świadomość, że zarówno krój, jak i kolor są dla niej wybitnie niekorzystne. Zanim zdołała się pozbyć tego paskudztwa, rodzice zginęli w wypadku. Ktoś - zapewne służąca - zapakował suknię do kufra, kiedy Rose zaczęła nosić żałobne stroje.

Postanowiła włożyć suknię z błękitnego woalu. Co to miało za znaczenie? To tylko pan Dixon przybył w odwiedziny do Matta.

Matt. O Boże! Uśmiechając się do swoich myśli, szybko naciągnęła parę białych bawełnianych pończoch i sięgnęła po buty.

- Nie denerwuj się, słonko, dostaniesz swoje gu gu, jak tylko mamusia założy buty.

- Gu gu! - Annie nazywała owsiankę gu gu, co zdaniem Rose było wyjątkowo trafnym określeniem.

Podczas gdy Rose sznurowała białe wysokie buciki z koźlecej skóry, Annie ćwiczyła repertuar, który z dnia na dzień stawał się bogatszy.

- Dobrze, kochanie, powiedz: mama.

Z początku Rose czuła się winna, że ją do tego zachęca, ale dziecko musiało przecież jakoś ją nazywać. A skoro Matt najwyraźniej jej wybaczył i postanowił zatrzymać, zgodziła się na „mame”, uznając to za logiczne rozwiązanie.

Ubrana i uczesana, ruszyła do kuchni na śniadanie. Była w połowie korytarza, kiedy dobiegł do niej czyjś piskliwy głos, przypominający skrobanie widelcem po blaszanym talerzu. Nie był to pan Dixon, jego głos słyszała już wcześniej. Z pewnością nie należał też do Matta.

A może to pani Dixon? Nie mogła sobie przypomnieć jej głosu. Tak czy inaczej było stanowczo za wcześnie na grzecznościową wizytę.

- ...zaraz ją sprowadzę. - To powiedział Matt. Sprowadzi kogo? Mnie?

Cóż, jeśli trzeba, to trudno.

- Chodź, kochanie, zajrzemy do pokoju, przywitamy się i raz-dwa wymkniemy na śniadanie. Dzięki tobie nie będę musiała tam tkwić.

Zatrzymała się przed drzwiami, przyglądała warkocz, zwinięty w kok z tyłu głowy, poprawiła kołnierzyk sukienki Annie i przywołała uśmiech na twarz.

- Dzień dobry, panie Dixon, pani...

Uśmiech znikł. Nieznajoma z pewnością nie była panią Dixon. Ta kobieta nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Chociaż jej spojrzenie...

W niebieskich oczach, które skierowały się w jej stronę, dostrzegła swego rodzaju doświadczenie życiowe, może wyrachowanie. Zwróciła się do Matta w poszukiwaniu wyjaśnienia, ale go nie uzyskała. Jego twarz przybrała ten znajomy, kamienny wyraz. Wykorzystując nauki, które pobierała przez całe życie, weszła do pokoju z Annie przytuloną do ramienia i wyciągnęła rękę na powitanie.

Pierwszy odezwał się Matt, dziwnie beznamiętnym głosem:

- Rose, zdaje się, że znasz już pana Dixona. Panna Riddle, pani Littlefield.

Pani Littlefield?

Ogarnął ją dziwny niepokój. Czy nie czas już zakończyć tę farsę?

Z kolei przemknęło jej przez głowę, że Matt posłał po kogoś, kto mógłby się zająć Annie, zanim odkrył, kim ona, Rose jest naprawdę, a teraz ten ktoś się tu pojawił.

- Witam, panno Riddle - powiedziała uprzejmie. Matt z pewnością odeśle ją tam, skąd przybyła. Nie potrzebują jej. Poza tym robiła wrażenie osoby, która sprawia kłopoty. Rose odgadła to na pierwszy rzut oka. Z wymuszonym uśmiechem ciągnęła: - A to nasza Annie. Powiedz: pa,pa, kochanie. Annie już dawno powinna zjeść śniadanie, spodziewam się zatem, że nam państwo wybaczą?

- Och, a więc to jest słodka mała Annie, córeczka Cat! Zanim Rose zdołała zareagować, kobieta znalazła się

przy nich i próbowała wyszarpnąć zaskoczone dziecko z jej objęć. Annie wczepiła się w błękitny woal i zaczęła kwilić. Rose zrobiła krok do tyłu. Niezrażona tym kobieta spróbowała ponownie.

- Niech mi ją pani da. Och, mój ty skarbie.

Teraz Annie piszczała prosto w ucho Rose. Matt powiedział:

- Do diabła, proszę mi wybaczyć, proszę pani, ale mówiłem, żeby pani zaczekała.

- Ależ, panno Riddle, proszę o trochę cierpliwości, mała jeszcze pani nie zna - wtrącił się Dick Dixon.

Pod pachami jego zmiętego szarego garnituru pojawiły się wielkie plamy potu.

Rose, tuląc rozkrzyczane dziecko w objęciach, przeszła gniewnym spojrzeniem kobietę, a potem obydwu mężczyzn.

- Czy ktoś powie mi, co tu się właściwie dzieje? Kim jest ta kobieta, Matt?

- To ciotka Annie, z Beaufort. Niedawno się dowiedziała, co spotkało jej siostrę, i przyjechała po Annie. - Powtórzył to, co powiedział mu urzędnik, ale był najwyraźniej tak samo zaszokowany jak Rose. - Wyjaśniłem, że Billy... jeszcze raz proszę o wybaczenie, proszę pani, lecz ojcem dziecka był Billy, nie Murdoch, a Billy powierzył ją przed śmiercią mojej opiece.

- Cóż, bardzo źle się stało, bo Cat była moją siostrą, a cokolwiek zostawiła, należy do mnie, czy... czy nie mam racji, panie Dixon?

Dixon wyglądał, jakby bolał go brzuch.

- Byłoby tak, gdyby sprawy potoczyły się jak należy, tak się jednak składa, że, jak już próbowałem pani wyjaśnić ubiegłej nocy, to nie jest zwyczajna sytuacja.

- 'Nie mnie nie obchodzi, czy jest zwyczajna, czy nie. Cat napisała mi, że ma dom, który teraz należy do mnie.

- Odwróciła się do Matta, jakby u niego szukała poparcia.

- Chciałam wprowadzić się tam od razu po przyjeździe, ale było już późno, a pan Dixon powiedział mi, że to niemożliwe, bo ktoś tam mieszka, musiałam więc spędzić noc z nim i z jego żoną.

Rose miała nadzieję, że nie dosłownie. Matt wyglądał, jakby nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi.

- Wyobraża pan to sobie? Ktoś obcy mieszka w moim domu, a ja nawet o tym nie wiem!

- Jak już mówiłem, panno Riddle, rodzina Abnera...

- zaczął Dixon. Pocił się coraz obficie.

- Nie obchodzi mnie, co to za ludzie. Cat była wdową po tym starym, a więc to, co należało do niej, należy teraz do mnie, może więc pan polecić im w moim imieniu, żeby

się stamtąd wynieśli. Jest pan przedstawicielem prawa, muszą zrobić, co pan im każe. Ma pan im powiedzieć, że zamierzam sprzedać dom i chcę, żeby się wynieśli. Jeszcze dziś!

- Widzi pani, ta sprawa jest...

- I niech pan im powie, żeby nie próbowali niczego ukraść, bo Cat powiedziała mi, że stary Abcess dał jej wszystko.

- Abcess? - powtórzyli równocześnie Rose i Matt.

- Tak właśnie mówiła o nim Cat. W każdym razie on nie żyje, więc cały jego majątek przeszedł na nią, a teraz jest mój, bo jestem jej najbliższą krewną. - Posłała Dixonowi triumfalne spojrzenie. - Znam swoje prawa.

- Cóż, jak już próbowałem wyjaśnić ubiegłej nocy, panno Riddle, nie ma tak wiele tego... majątku. A ponieważ nie ma testamentu, obawiam się, że to, co zostało, należy do najbliższych krewnych Abnera. Panna Riddle otworzyła usta i szybko zamknęła je na powrót. Jej oczy o zachwycającym odcieniu błękitu przesunęły się od Matta do urzędnika i z powrotem, podczas gdy Rose obserwowała ją, zafascynowana i w coraz większym stopniu przekonana, że tej kobiecie nie zależy na Annie bardziej niż Annie na niej. Rose natychmiast powzięła decyzję. Nowo przybyła może wziąć wszystkie doczesne dobra, które pozostawiła po sobie jej siostra, ale od Annie jej wara.

- Nie powiedział jej pan? - spytał Matt urzędnika.

- Czego mi nie powiedziano? Ze Annie dziedziczy wszystko? Jestem jej ciotką, kimś w rodzaju opiekuna prawnego, więc to chyba moja sprawa, jeśli chcę sprzedać

dom i zainwestować pieniądze z myślą o przyszłości Annie.

Dixon, którego okrągła twarz wyrażała całkowitą bezradność, zwrócił się z kolei do Matta.

- Próbowałem wszystko wyjaśnić, ale najwidoczniej nie za bardzo mi się to udało. Tak jak powiedziałem, kiedy kilka miesięcy po fackie, że tak powiem, przyszedł list zaadresowany do pani Murdoch, przekazano go w moje ręce. Wziąłem na siebie poinformowanie najbliższej krewnej pani Murdoch o tym nieszczęśliwym wypadku. Wyjaśniłem też, że pan zaopiekował się dzieckiem, a teraz po wyjeździe Bess zajmuje się nią pani Littlefield i że ona - to znaczy panna Riddle - nie musi się o nic martwić.

- Jak widzę, naprawdę dobrze się pan nią zaopiekował, kapitanie Powers. Mogę mówić do pana Matthew? A pan może mówić mi Tressy. Naprawdę mam na imię Theresa, ale wszyscy nazywają mnie Tressy. Tak czy inaczej, teraz, skoro tu jestem, nie będziemy już potrzebować usług panny Littlething. Małą zajmę się ja. Pokaże mi pan tylko, co trzeba robić. Naprawdę szybko się uczę. Matt nachmurzył się jeszcze bardziej. Stojąca nieco z boku Rose pomyślała ni stąd, ni zowąd, że gdyby była tu Bess, pisałaby jak szalona w tym swoim notesie, układając kolejną niestworzoną historyjkę.

Dziwne, lecz nie obawiała się utraty Annie. Tej kobiecie zależało na rozwrzeszczanym, ząbkującym dziecku w równym stopniu co jej samej na zatruciu bluszczem. Czegoś jednak z pewnością chciała i mogła nawet próbować posłużyć się Annie, żeby to zdobyć.

Po moim trupie, przysięgła Rose w duchu. Ponieważ

w ciągu ostatnich paru lat dokonała więcej niefortunnych wyborów niż przeciętny człowiek, z czasem nauczyła się szanować swój instynkt. W tej chwili instynkt podpowiadał jej, że Tressy Riddle może okazać się niebezpieczna. Panna Littlething, dobre sobie.

- Czy pan Dixon nie mówił pani, w jaki sposób zmarła pani siostra? - spytał Matt bez ogródek.

Dixon wtrącił pospiesznie:

- Napisałem, zdaje się, że zakończyła życie wkrótce po wydaniu na świat córki. - Posłał Mattowi spojrzenie pełne rozpacz.

- Chce pani usłyszeć całą prawdę? Kiedy mąż wypłynął w długi rejs, pani siostra wzięła sobie kochanka. Murdoch po powrocie do domu zastał żonę w łóżku z noworodkiem. Natychmiast się połapał, że to nie jego dziecko. Zastrzelił żonę, wziął dziecko i przyjechał tutaj, do Point, gdzie zastrzelił kochanka żony, a następnie odebrał sobie życie.

Przez całą minutę w pokoju panowała cisza. Świadomość tego tragicznego wydarzenia przejęła grozą wszystkich czworo dorosłych. Tylko na Annie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Wierząc się w objęciach Rose, zaczęła krzykiem domagać się jedzenia.

- Za jedną chwileczkę, kochanie - szepnęła Rose, kołysząc ją w ramionach. - Panno Riddle, naprawdę bardzo mi przykro - powiedziała i rzeczywiście tak czuła. Niemniej jednak żadna doza współczucia nie mogła zmienić jej zdania, jeśli idzie o Annie.

Tressy Riddle wytarła piękne, lecz całkiem suche oczy nieco przybrudzoną chusteczką.

- Och, moja biedna, najdroższa siostrzyczka. Cat zawsze była taka słaba. Ciągle jej powtarzałam: Cat, musisz się zachowywać jak należy, bo w przeciwnym razie narobisz sobie kłopotów, zobaczysz. Świat to niedobre miejsce dla nas, sierot, a teraz jest jeszcze Annie. - Gwałtowny spazm płaczu zaskoczył ich wszystkich. Nawet Annie umilkła na chwilę.

Rose przesunęła się w stronę drzwi.

- Proszę nam wybaczyć - powiedziała cicho, kołysząc dziecko w ramionach.

- Jeszcze nie, Rose - powstrzymał ją Matt, który, zdaje się, marzył o tym, by być w tej chwili w każdym innym miejscu na ziemi, byle nie tutaj. ^

Właściwie robił wrażenie bezbronny, pomyślała Rose, a jej opiekuńczy instynkt objął również i jego.

- Powinienem już wracać - zauważył urzędnik z widoczną ulgą. - Żona czeka ze śniadaniem.

Postawiłem pani bagaż na ganku, panno Riddle. Matt może wnieść go do środka.

Jej bagaż?

- Jej bagaż? - Matt wypowiedział głośno myśl Rose.

- Nie mogę wprowadzić się do domu Cat, dopóki pan Dixon nie wyrzuci stamtąd tych ludzi, domyślam się więc, że będzie się pan musiał pogodzić z moją obecnością. - Tressy uśmiechnęła się do Matta drżącymi ustami, co nie za bardzo pasowało do przebiegłego wyrazu jej oczu.

- Wciąż pani nie rozumie, prawda? - Matt z ponurą miną przystąpił do dalszych wyjaśnień. - Panno Riddle, pani siostra umarła pierwsza. Ani ona, ani jej mąż nie zostawili testamentu, nie może więc pani niczego odziedziczyć.

272

Majątek należał do Murdocha, a on przeżył żonę, i tyle. Przykro mi, że przebyła pani tak długą drogę na próżno.

Urzędnik przytaknął z emfazą.

- Sam nie wyraziłbym tego lepiej.

- A... ale on ją zabił. Morderca nie może odziedziczyć majątku żony, prawda? To nie byłoby w porządku.

Może i była zachłanną małą naciągaczką, lecz Rose mimo to jej współczuła. Jeśli naprawdę została na świecie sama jedna, należało jej jakoś pomóc, naturalnie w miarę możliwości.

- Matt, może wniesiesz bagaż panny Riddle do środka, a ja przygotowuję dla niej pokój Bess. Powinno jej tam być dość wygodnie przez te parę dni, zanim będzie gotowa do powrotu do... co to było, Beaufort? Słyszałam, że to urocze miasteczko. - Zdobyła się nawet na uśmiech. Niezbyt entuzjastyczny, ale to najlepsze, na co było ją stać w tej chwili.

Tressy Riddle pociągnęła nosem i zamrugęła, powstrzymując niewidoczne łzy.

- Dziękuję pani, panno Littlething. Rose powiedziała:

- Najpierw jednak dam Annie śniadanie, dobrze? Może zechce pani nam towarzyszyć? Ostrzegam panią, jest przy tym sporo bałaganu. Annie uczy się jeść sama.

- Kapitanie Matt, jak pan myśli, czy mógłby pan oprowadzić mnie po okolicy? Chodzi o to, że jeśli zatrzymam się tu przez jakiś czas, muszę wiedzieć, gdzie co jest. - Położyła dłoń na ramieniu Matta i ufnie popatrzyła mu w oczy, nie zwracając uwagi na Rose.

Na widok tej pulchnej małej rączki z paznokciami ogryzionymi do żywego Rose, wbrew sobie samej, ogarnęła kolejna fala współczucia. O Boże, nie pozwól mi popełnić następnego głupiego błędu.

Dobrze, że przynajmniej Annie nic tak naprawdę nie groziło. Tego była pewna.

Matt to inna sprawa. Ta biedna dziewczyna myślała, że on jest kawalerem. Naprawdę powinni ujawnić przed światem swoje małżeństwo. Na samym początku może to być krępujące, bo Rose oszukała nie tylko męża, ale całą wioskę. Na szczęście skrepowanie rzadko prowadzi do śmierci.

Gdyby tak było, już dawno byłaby martwa.

Matt uwolnił ramię i pod pretekstem pójścia po bagaż panny Riddle odprowadził Dixona do dwukółki.

- Chciałbym porozmawiać z panem w innej sprawie, jeśli ma pan parę minut.

- Czyżby zmienił pan zdanie i jest pan gotów objąć moją posadę, kiedy przejdę na emeryturę?

- Doceniam pańską propozycję, ale nie mam odpowiedniego przygotowania. Chodzi o coś innego.

Widzi pan, muszę wiedzieć... to znaczy... - Jak, u diabła, miał się tego dowiedzieć, nie ujawniając, że kobieta, którą wszyscy znali jako panią Littlefield, jest w rzeczywistości panią Powers. Gdy tylko prawda wyjdzie na jaw, Rose w najlepszym razie zostanie uznana za awanturnicę, a on wyjdzie na głupca.

Odchrząknął i rozluźnił kołnierzyk koszuli.

- No cóż, to nie jest sprawa osobista, rozumie pan. Załóżmy, że mężczyzna i kobieta wzięli ślub, a potem obydwójce zmienili zdanie. Jak dużo czasu potrzeba, żeby

rozwiązać małżeństwo? Czy następuje to w momencie wnioskowania, czy procedura zajmuje więcej czasu?

- Cóż, to zależy.

- Zależy?

- Od tego, czy ta hipotetyczna para zmieniła zdanie przed czy po... miesiącu miodowym. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z unieważnieniem małżeństwa, w drugim - z rozwodem. Matt czuł, że twarz zaczyna mu płonąć. Mimo to zawzięcie brnął dalej. Musiał to wiedzieć, a Bagby stanowczo za długo zwlekał z odpowiedzią na jego list.

- Powiedzmy, że wniosek został złożony przed... miesiącem miodowym.

- Hm. - Dixon pogładził policzki, po czym przejechał palcem pod miękkim kołnierzykiem. - To problem prawny, a ja nie mam doświadczenia w sprawach tego typu, rozumie pan, ale przypuszczam, że... wszystko zależy od tego, jak szybko da się załatwić sprawy papierkowe. To kwestia dni. Może trochę mniej. Może dłużej.

Do diabła. Zrobiłby lepiej, gdyby wsiadł na najbliższy statek do Norfolk i otrzymał odpowiedź wprost ze źródła. Wymamrotał pod nosem podziękowanie, zarzucił na plecy wielki kufer podróżny, który wyglądał, jakby za chwilę miał się rozpaść, i na powrót udał się do domu.

W trosce o reputację Rose będzie musiał trzymać się swojego łóżka, póki nie zyska pewności, że wciąż są małżeństwem. Jego męskość wprawdzie natychmiast zaprotestowała, ale dopóki nie pozbędą się tej Riddle, nie mógł sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko. Gdyby padł na nie-

go choć cień skandalu, żaden sąd nie przyznałby mu opieki nad Annie.

Postanowił odczekać trzy dni. Jeśli do tego czasu nie dostanie wiadomości od Bagby'ego, powie Dixonowi, by udzielił im ślubu, i postara się, żeby tym razem nie było żadnych niedomówień.

Jakoś udało im się przebrnąć przez resztę dnia. Panna Riddle zaanektowała Matta, toteż Annie i Rose mogły zająć się swoimi sprawami. Rose patrzyła ze wzgóрка, jak Matt pokazuje nieproszonemu gościowi całe gospodarstwo, nie wyłączając kurnika.

Dziwne, lecz nie była zazdrosna. Wiedziała, że Matt próbuje tylko trzymać tę kobietę z dala od Annie, dopóki nie znajdzie pretekstu do pozbycia się jej raz na zawsze. Oboje zrobią wszystko, co będzie trzeba, by chronić Annie, a jeśli oznacza to przekupienie tej kobiety, żeby stąd wyjechała, na pewno tak uczynią.

Rose, niestety, nie miała niczego, czym mogłaby się posłużyć jako łapówką. Może różowa sukienka.
- Ale nie ty, kochanie. I nie nasz Matt.

Annie obgryzała piąstkę i zaczynała marudzić. Rose niechętnie wstała, otrzepała piach ze spódnicy i podążyła w dół wzgóрка.

On mnie kocha. Te słowa odbijały się echem w jej sercu wciąż i wciąż, jak dzień długi, a na twarzy często pojawiał się cielący uśmiech. Co prawda, Matt nie wypowiedział tych słów, znała go jednak na tyle dobrze, by zdawać sobie sprawę, że nie ma co liczyć na jego wylewność.

Kolacja przerodziła się w cyrk. Kiedy zajrzał Sandy Dixon,

zaproszono go do stołu. Crank, mimo że mieli, **jak** powiedział „towarzystwo”, podał posiłek w kuchni, **jak** zwykle. I jak zwykle Annie rozpryskiwała mleko i rzucała pełne garście jedzenia na podłogę.

Tressy co chwila odsuwała się od wysokiego krzeselka, aż wreszcie prawie siedziała na kolanach Sandy'ego, który wpatrywał się w jej złote loki, zupełnie jakby jeszcze nigdy nie widział włosów w tym kolorze. Rose przyznała w duchu, acz niechętnie, że istotnie są dość niezwykłe.

Raz czy dwa próbowała przechwycić spojrzenie Matta, lecz on unikał jej wzroku, co nie było łatwe, zważywszy, że siedziała naprzeciwko. Nie mówił wiele, a ponieważ Rose była zajęta pilnowaniem, by przynajmniej tyle kolacji Annie znalazło się w jej brzuszku, co na podłodze, bawienie gościa przypadło w udziale Sandy'emu.

Co też zrobił, rozwodząc się nad stanem dróg w słabo zamieszkanych rejonach Karoliny Północnej, podczas gdy Crank od czasu do czasu cytował, swoim zwyczajem niezbyt dokładnie, stosowny werset z Biblii.

Właściwie, pomyślała Rpse, mogło być o wiele gorzej.

Kiedy domownicy udali się wreszcie do łóżek, Rose, ciesząc się na to, co miało niebawem nastąpić, wykąpała się i przebrała w prostą batystową koszulkę o barwie kości słoniowej. Spryskała szczotkę kilkoma kroplami bżowej wody i przeciągnęła nią sto razy po włosach, niespiesznie, zmysłowo, odtwarzając w myśli każde dotknięcie, leniwe spojrzenie, każdy porywający moment minionej nocy. Przykręciła lampę, tak że palił się tylko niewielki płomyk, i wśliznęła się do łóżka w oczekiwaniu na męża. An-

nie marudziła przed zaśnięciem bardziej niż zwykle, niespokojna z powodu obcej osoby w domu. Rose też się to nie podobało, sądziła jednak, że ta sytuacja długo nie potrwa. Kiedy Matt da Tressy do zrozumienia, że nie ma na co liczyć, biedna dziewczyna przeniesie się na zieleńsze pastwiska. Prawdopodobnie skończy się na tym, że Matt opłaci jej rejs, a może nawet da jej trochę pieniędzy, byle się jej pozbyć. Rose też chciała mieć w tym swój udział. Postanowiła, że jeśli jest jakiś taktowny sposób, by podarować dziewczynie różową jedwabną sukienkę, zrobi to. Choć zarówno krój, jak i kolor były zupełnie nieodpowiednie dla Rose, suknia kosztowała majątek. A Tressy ze swoją karnacją wyglądałaby w niej uroczo.

Mogłaby nawet udzielić jej kilku porad w kwestii szukania pracy. Bogu wiadomo, że jej własne doświadczenia nie były szczególnie owocne, ale od tamtej pory wiele na ten temat myślała. Na pewno mogła ostrzec dziewczynę przed kilkoma częstymi pułapkami.

Rose ziewnęła. Co go zatrzymuje? Crank zmył ostatnie naczynie i udał się do swego pokoju całe wieki temu. Biedak przez cały dzień mamrotał coś o Jezabel i lisach w kurniku.

To był długi dzień. Ciągnął się bez końca. Zaraz po śniadaniu Matt został zmuszony do oprowadzenia gościa po gospodarstwie. Sumiennie pokazał jej wszystko z wyjątkiem sypialni i swego gabinetu.

Rose, sądząc po tym, co widziała z daleka, nie przypuszczała, by któreś z nich szczególnie bawił ten obchód.

Ziewnęła ponownie i rozchyliła koszulę przy szyi. Boże,

ależ gorąca noc. Tressy przyszła na kolację w ciężkiej błękitnej sukni z tafty. Gdyby poradziła się Rose, dowiedziałyby się, że to nie najlepszy pomysł. Choć kolor podkreślał barwę jej oczu, a krój był odpowiedni do figury - okrągłości sterczały zarówno powyżej, jak i poniżej ciasno zasznurowanej talii - tafta, z gorsetem czy bez, nie sprawdzała się w tym klimacie zupełnie.

Biedne dziecko. Ostatnie, czego Rose by się spodziewała po sobie, to współczucie dla kobiety, która przybyła tu, by zabrać jej Annie. I, co całkiem prawdopodobne, Matta. Mimo wszystko nie potrafiła zapomnieć o tym, że sama była w podobnej sytuacji.

Nie tak dawno temu nie miała rodziny i środków do życia. Wówczas pojawiła się Bess - Bess i pan Bagby -i Rose dała im się namówić na coś, na co nigdy by się nie zdecydowała, gdyby nie była w rozpacz.

Najwidoczniej Tressy była głęboko przekonana, że postępuje słusznie, przybywając tutaj. Rose miała nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży. Że siostra dziewczyny jednak zostawiła coś po sobie. Może mogłaby znaleźć w wiosce jakąś pracę, a nawet męża...

Ale nie mojego męża, pomyślała stanowczo Rose, żalując, że nie ma przy niej Matta. Żalowała z całego serca, że nie stali się mężem i żoną od samego początku.

I nie moje dziecko, dodała, zapadając w sen.

Matt nie mógł spać. Wyobrażał sobie, że Rose leży w łóżku i czeka. Naprawdę zamierzał postąpić, jak nakazywała uczciwość i powiedzieć jej, że być może nie są już małżeństwem. Zanim jednak zdołał cokolwiek wyjaśnić,

pojawiła się ta Riddle. Przez cały dzień trzymała się go jak rzep psiego ogona. Nie było nawet mowy o tym, by choć na chwilę został z Rose sam na sam.

Honor będzie musiał poczekać, bo on, niestety, nie i mógł. Rose wzburzyła w nim krew, sprawiała, że płonał jak w gorączce, mąciła umysł, aż nie był zdolny do jasne- i go myślenia. Dał sobie trzy dni. Jeśli do tej pory nie nadejdą wieści od Bagby'ego, ożeni się z Rose ponownie, tak jakby pierwsze małżeństwo nigdy nie miało miejsca.

Powziąwszy tę decyzję, wyszedł po cichu na korytarz i udał się do jej sypialni. Słyszał, że są sposoby, by nie zająć w ciąży. Nie chodzi o to, że miałby coś przeciwko temu, jednak nie byłoby to w porządku wobec Rose. Aż za dobrze pamiętał, jak wieść odsunęła się od tej biednej kobiety, żony Murdocha, toteż poprzysiągł sobie, że nie dopuści, by na reputację Rose padł choćby cień.

- Rose - szepnął. Promień księżycy padł na koniec łóżka, wprost na smukłą białą stopę. Ujął ją w dłonie, po czym przesunął dłonią po łydce.

Nawet nie drgnęła. Stopa była chłodna, ale łydka ciepła, a on płonał, bliski wybuchu.

- Rose - szepnął ponownie.

Czekał. Czekał, patrzył i nasłuchiwał, aż złowił uchem leciutkie sapanie, które wydawała z siebie podczas snu. Wówczas, rozczarowany i wciąż boleśnie podniecony, przykrył jej stopę prześcieradłem i po cichu wrócił do siebie.

Mógł czytać. Miał książki, których nawet nie tknął, tyle że gdyby zapalił lampę, panna Riddle mogłaby potraktować to jako zaproszenie. Po dzisiejszym dniu bał się

nastreczyć jej jakakolwiek sposobność do nawiązania bliższych kontaktów.

W takim razie pozostało mu myśleć o „Czarnym Łabędziu”. Zaczął się zastanawiać, jak Peg radzi sobie z naprawą. Potem rozważał różne sposoby pozbycia się Tressy Riddle, a stąd przeszedł do zastanawiania się, w jaki sposób wytłumaczy się ze swego niezwykłego małżeństwa przed Crankiem i Lutherem, nie mówiąc o reszcie świata, a przy tym nie zrobi z siebie durnia.

Zerwał się z łóżka skoro świt i wyszedł na dwór, gdzie wylał na siebie wiadro deszczówki z beczki. Potem, nie zwracając uwagi na to, że pozostali domownicy jeszcze śpią, umieścił spory dębowy pień na bloku i uniósł siekiere nad głową.

Trzask, trzask, trzask. Po obu stronach spiętrzyły się szczapy na podpałkę. Kiedy uznał, że polan jest wystarczająco dużo, wbił siekiere w pniak do rąbania i zaczął układać drewno w sągi, w zastępstwie Luthera, który zwykle się tym zajmował.

Z domu dobiegł go czyjś piskliwy głos, zbyt znajomy po tym jednym dniu. Przeklęta, nieznośna kobieta. Wystarczająco szybko domyślił się, o co jej chodzi. Bynajmniej nie o Annie. To, jak na niego patrzyła i trzepotała rzesami, i to, jak trzymała się jego ramienia i łowiła każde wypowiedziane przez niego słowo, zbyt przypominało mu Glorię.

Ta kobieta przybyła tu w poszukiwaniu jakiegoś naiwniaka i pomyślała, że już go znalazła. Miał ochotę odesłać ją z powrotem do Dixona z poleceniem, żeby trzymała się z dala od Powers Point, ale gdyby to zrobił, mogłaby się

zwrócić przeciwko niemu i próbować z czystej złośliwości odebrać mu Annie. Choć nie znał się za bardzo na prawie, miał wrażenie, że w sądzie miałyby lepszą pozycję niż on. Nie mogło być mowy o tym, by dostała Annie. Dziewczynka należała do niego, a poza tym to by złamało serce Rose, a on wolałby kazać sobie uciąć obydwie ręce, niż skrzywdzić Rose. Powinien był jej wszystko wyjaśnić. Mogliby wówczas tworzyć wspólny front. Wyjaśnić co? Wyjaśnić, jak planowałeś ją uwieść, nie mówiąc jej o tym, że wiesz, kim jest. Tylko po to, żeby móc obserwować, jak ona usiłuje odkupić swoją winę. Nie wziął pod uwagę że Rose sama przyzna się do wszystkiego i że on będzie jej tak bardzo pragnął. Sądząc po objawach, może nawet ją kochał. Właściwie nie wiedział, jak to jest, kiedy się kocha, ale jeśli było to coś takiego jak gorączka, która spalała go od wewnątrz, czy ból w głębi serca na myśl, że mógłby ją utracić, to musiała być miłość. Albo miłość, albo był ciężko, nieuleczalnie chory. Rose obudziła się z bólem głowy. Zdecydowana nie zwracać nań uwagi, szybko nakarmiła i ubrała Annie, wzięła koszyk, koc i książkę i skierowała się na wzgórek, jedyne miejsce, gdzie na pewno będzie sama. Miała sporo do przemyślenia, zanim będzie gotowa stanąć twarzą w twarz z Mattem i jego gościem. Powietrze było całkiem nieruchome. Moskity brzęczały, żaby od czasu do czasu kumkały, a z samego

szczytu

ostrokrzewu skarłowaciałego od wiatru dobiegał melodyjny śpiew przedrzeźniacza, który nie powtórzył ani jednej frazy.

Annie szczebiotała, wymachiwała pulchnymi rączkami i wierzgała małymi bosymi stopkami. Do włosów przylepiła jej się owsianka, ale to mogło poczekać. Teraz Rose chciała pozostać sam na sam z uporczywymi myślami, które prześladowały ją od świtu, a nie były tak miłe jak te, które towarzyszyły jej przy zasypianiu.

Przez cały wieczór z napięciem czekała, że Matt zawiadomi wszystkich o tym, iż oni dwoje są mężem i żoną. Crank już wiedział, była niemal pewna, że jakiś czas temu domyślił się prawdy, ale Matt nie powiedział ani słowa.

Z początku ją to zaintrygowało. Nie widziała żadnego powodu, dla którego miałby utrzymywać ich małżeństwo w sekrecie. Spodziewała się jednak, że wszystko jej wyjaśni, kiedy przyjdzie do jej sypialni, tymczasem on się nie zjawił. Obudziła się tego ranka sama - zraniona, zaintrygowana i trochę zła.

Jeśli zmienił zdanie i doszedł do wniosku, że nie chce jej za żonę, to jedna sprawa, ale nawet jeśli wzięła pod uwagę fakt, iż zupełnie nie znała się na mężczyznach i na tym, co nimi kieruje, nie mieściło się jej w głowie, że ktoś taki jak on związałby się z Tressy Riddle tylko po to, by w ten sposób zyskać większe prawa do Annie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Za gorąco, żeby spać. Za gorąco, żeby jeść. Za gorąco nawet, żeby się ruszać. A już to, że pod nogami bezustannie plątała się obca kobieta, zadająca wścibskie pytania na tematy, które nie powinny jej interesować, sprawiło, że sytuacja stała się nie do zniesienia. Rose dokładała starań, by zachować spokój, ale jeśli się miało tak dużo na głowie, nie było to łatwe. Jak długo ta kobieta zamierzała zostać? Na co czekała? Czyżby na to, że Rose wyjedzie i zostawi jej Annie?

Akurat. Nawet nie potrafiła zmienić pieluszki.

Sandy dzień w dzień przyjeżdżał w odwiedziny. Ponieważ Rose skończyła z lekcjami żeglugi, większość czasu spędzał z Tressy i, mile polechtany tym, że gość kapitana poświęca mu tyle uwagi, rozwodził się o swoich rozlicznych zainteresowaniach i planach na przyszłość.

Rose słyszała to wszystko już przedtem, więc przeproszała towarzystwo i zajmowała się swoimi sprawami. Gorąco czy nie, pewne prace trzeba było wykonać, a z dwojga złego wolała robić pranie, niż patrzeć, jak Tressy flirtuje z Sandym.

Choć ta obezwładniająca pogoda była nie do zniesienia, to nie gorąco martwiło ją najbardziej. Między nią a Mattem coś było nie tak.

Byli już przecież o włos od poinformowania **wszystkich** o małżeństwie... czy naprawdę? Jeśli tak, dlaczego jej unikał? Czyżby powiedziała coś nie tak? Zrobiła coś nie tak? A może zmienił zdanie? Wszystkie rozterki młodości powróciły, by ją prześladować. „Na litość boską, Rose, dlaczego nie przestaniesz wreszcie rosnać? Z pewnością nie odziedziczyłaś urody po mojej rodzinie. Ja zawsze byłam filigranowa”.

Było to w roku, w którym pozbyła się dziecięcej pulchności i wystrzeliła w górę jak tyczka fasoli. Od tamtej pory była za wysoka, zbyt niezręczna, choć matka dokładała starań, żeby zrobić z niej modną lalkę. Kiedy dorosła na tyle, że pozwolono jej na dokonywanie wyborów, nieodmiennie przyjaźniła się z nieodpowiednimi dziewczynkami, podkochiwała się w niewłaściwych chłopcach, wybierała złe kolory i fasony sukien, wbrew radom matki.

Gdy próbowała uchwycić się złudnej nadziei, że pewnego dnia brzydkie kaczątko przeistoczy się w pięknego łabędzia, zdrowy rozsądek podszeptał jej, że z punktu widzenia biologii jest to mało prawdopodobne, wręcz niemożliwe.

Wtem, nagle, całe jej życie się zmieniło. Na swoją obronę mogłaby powiedzieć, że kiedy przedstawiono jej Roberta, który złożył wyrazy współczucia, była młoda, niedoświadczona i wciąż rozpaczała nad utratą rodziców.

Nie potrafiła przypomnieć sobie pierwszych tygodni po wypadku. Pamiętała jedynie, że przyjaciele rodziców byli dla niej mili, a jeden z nich, kawaler w średnim wieku, którego nazywała wujem Haroldem, choć nie był jej, krew-

nym, zaprosił ją nawet, by u niego zamieszkała, co miało pomóc jej znieść te trudne chwile. Na szczęście Robert jej to wyperswadował, utrzymując, że ta propozycja, być może niewinna, nie jest stosowna. Zaoferował się z radą bez cienia krytycyzmu, obejmował ją, kiedy potrzebowała się wyplakać, i dzięki niemu nie czuła się słaba, brzydka czy nadwrażliwa, choć miała wszystkie te cechy w nadmiarze.

Na domiar złego prawnik rodziny przebywał za granicą, a księgi rachunkowe ojca były nawet w gorszym stanie niż księgi babki. Może to słaba strona Littlefieldów.

Podczas całego tego zamieszania był przy niej Robert, oferując pociechę, radę, a wreszcie małżeństwo. Ani razu nie zadała sobie pytania, czemu tak się o nią troszczy, aż było na to za późno.

Była świadoma, że Matt zupełnie nie przypomina Roberta, a jednak zaczynała się zastanawiać, czy również w tym wypadku nie popełniła omyłki. **Była** taka pewna, że wybaczył jej oszustwo.

Potraktował ją jak żonę. Przyszedł do jej sypialni. Dał wszelkie dowody na to, że mu się to spodobało, i Bóg jeden wie, że jej także. Było tak wspaniale, że aż nie do uwierzenia. Nawet teraz wystarczało, że na niego spojrziała, a natychmiast przypominały jej się najdrobniejsze szczegóły ich intymnego sam na sam. Bolesne, pulsujące, rozpaczliwe pragnienie spełnienia, które dalece wykroczyło poza granice jej ubogiej wyobraźni.

Mogła zrozumieć, dlaczego nie przychodził do jej sypialni, kiedy w domu przebywała obca osoba, ale czemu jej unikał?

Bo tak było. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Obrzucał ją szybkim spojrzeniem, mamrotał coś o pracy, którą trzeba wykonać, i znikał. Każde zwierzę w zagrodzie było wyszczotkowane do połysku. Angel też.

Zapas drewna opałowego powinien starczyć im na sto lat. Jeszcze niedawno widok na cieśninę zasłaniało siedem uschniętych dębów, zniszczonych, jak powiedział jej Luther, podczas gwałtownego przypływu. Wczoraj Matt ściał i porąbał ostatni z nich.

Rose usiłowała przekonać samą siebie, że to przeklęte gorąco sprawia, iż Matt tak się dziwnie zachowuje. Ta pogoda działała na wszystkich. Tressy dąsała się. Annie marudziła, ale jej, zdaje się, wyrzynał się kolejny ząbek. Crank zrzędził. Zwykle najsympatyczniejszy z ludzi, od pierwszej chwili poczuł niechęć do Tressy, zresztą nie bez wzajemności.

Dzięki Bogu za Sandy'ego. Nie miał nic przeciwko paplaninie Tressy, więc Rose zostawiała ich, by bawili jedno drugie. Choć ta kobieta irytowała ją nie do wytrzymania, Rose było jej serdecznie żal. Jako ktoś, kto stracił najbliższą rodzinę w tragicznym wypadku, wiedziała, jak tamta musi się czuć. Ona miała teraz Matta i Annie. Biedna Tressy była na świecie całkiem sama.

Annie uderzyła kubkiem o najnowszy ząbek i uśmiechnęła się szeroko, przy czym mleko ulało jej się z buzi. Rose, pogrążona w myślach, machinalnie wytarła jej podbródek. Postanowiła zjeść śniadanie wcześniej niż zwykle, bo było za gorąco, by dało się spać długo po wschodzie słońca.

- Zbudziłam się złana potem - oświadczyła Tressy, która wkroczyła do kuchni w szlafroku, a jej wzburzone włosy tworzyły strzechę, z którą było jej dziwnie do twarzy.
 - Wiem, zawsze tuż po wschodzie słońca jest najgorzej. Nie ma czym oddychać. - Rose, porządnie ubrana i uczesana, obserwowała, jak Tressy atakuje talerz wypełniony smażoną rybą, smażonymi ziemniakami, piklami i biszkoptami. Sama zjadła już tyle ryb i owoców morza, że na ten widok robiło jej się słabo. Crank wczoraj zrobił gulasz z kurczaka, ale w tym upale nikt nie był szczególnie głodny.
 - W łóżku są robaki.
 - Słucham?
 - Cała jestem pogryziona.
- Obydwie kobiety były w kuchni same z Annie. Crank właśnie wyszedł na dwór nabrać wody do kociołka.
- To pewnie moskity. Ostatnio padało, a teraz nie ma wiatru, który by je przegonił.
 - Myślisz, że nigdy w życiu nie widziałam moskita? Te robaki pogryzły mnie na całym ciele, pod gorsetem i gdzie się da.
- Rose zdążyła już wycierpieć swoje z powodu ukąszeń moskitów, ale tylko w tych miejscach, gdzie jej skóra była wystawiona na ataki tych nieznosnych stworzeń.
- Ty nie., no oczywiście, to niemożliwe.
 - Co jest niemożliwe?
 - Cóż, widziałam, jak ty i Sandy spacerowaliście wzdłuż cieśniny wczoraj wieczorem. Czy ty...
 - Czy ja co, panno wścibska? Ściągnęłam sukienkę,

jak tylko znalazłam się poza zasięgiem wzroku, **za krzakami?**

Rose wpatrywała się w nią z otwartymi ustami.

- Nie miałam na myśli.

- Do twojej informacji, panno przemądrzała, po prostu rozmawialiśmy. Siedzieliśmy na trawie za szopą na sieci i opowiadałam Sandy'emu o tym, że zamierzam pracować nad sobą, czytać książki, chodzić do kościoła i tak dalej, a on opowiadał, że będzie naprawiał drogi i szkoły. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby kiedyś został gubernatorem. Może na to nie wygląda, ale jest naprawdę bystry.

- Myślę, że to przystojny młody człowiek, i masz rację, jest bystry. Jest także miły. - Pomimo własnych trosk pożałowała biednej dziewczyny, która drapała najpierw talię, a potem miejsce w zgięciu kolana. - To pewnie pchły piaskowe. Trawa aż się od nich roi. Po śniadaniu zrobię ci okład, ale najpierw, jeśli pozwolisz, doprowadzę Annie do porządku.

Ledwie zdążyła wyjąć Annie z krzeselka, kiedy wrócił Crank. Postawił kociołek z wodą na kuchni, spojrzał na nietknięty talerz Rose, zmarszczył brwi i pokręcił głową:

- Znowu nic-nie zjadłaś, prawda?

- To pewnie przez ten upał.

Ale nie upał był jej największym zmartwieniem, tylko zranione serce.

Panna przemądrzała?

Matt był bliski obłędu. Już nie wierzył, że ta Riddle spróbuje mu odebrać Annie, ale mogłaby się nią posłużyć jako narzędziem szantażu. Coś chodziło jej po głowie. Na-

bierał przekonania, że uwzględniła go w swoich planach. Jego, młodego Dixona i każdego innego wolnego mężczyznę. Nie miała szans na spadek po siostrze, Dixon dokładnie jej to wytłumaczył. A skoro nie zależało jej na Annie, poco siedziała w Point? Przecież jej nie zatrzymywał.

Jak dotąd robił, co mógł, by umknąć konfrontacji. Trzymał się od niej z daleka, ale brakło mu już prac do wykonania i drewna do rąbania. Mógłby wsiąść na statek kursujący przez cieśninę i udać się do Norfolk, zobaczyć, jak posuwa się praca na statku, bał się jednak zostawić ją tu z Rose i Annie, których w razie czego broniłby tylko Crank. Postanowił nie wyjeżdżać, dopóki się nie dowie, o co tej Riddle właściwie chodzi.

Zmoczył koszulę w wiadrze z wodą, którą miał dolać do koryta, wytarł twarz, po czym przewiesił mokrą koszulę na karku, rozkoszując się chwilowym uczuciem chłodu.

Pierwszy byłby gotów przyznać, że zupełnie nie umie postępować z kobietami. Dał tego dowód, kiedy zaplanował zemstę, a skończył na tym, że zakochał się w swej ofierze. Mężczyźni to co innego, żył w męskim świecie od urodzenia. Gdyby Tressy Riddle była członkiem jego załogi, wyrzuciłby ją ze statku jeszcze przed wypłynięciem z portu. Od razu rozpoznał w niej wścibską intrygantkę.

Crank mówił, że przyłapał ją na grzebaniu w szafce w jego sypialni. Twierdziła, że szukała chusteczki do nosa. Matt miał ochotę odwieźć ją do wioski i zapakować na pierwszy statek, który zacumuje na przystani, ale ta kobieta trzymała go w szachu. Jakkolwiek by na to spojrzeć, jej prawa do Annie były większe niż jego.

Musiał być jakiś sposób, do diabła! Gdyby on i Rose

byli małżeństwem... Kłopot w tym, że nie wiedział, czy są małżeństwem, czy nie, a nie będąc tego pewnym, nie miał pojęcia, jaką taktykę zastosować. Był bliski oświadczyć - a w każdym razie wyjaśnić - kiedy Dixon zwał mu na kark tę Riddle. Teraz, za każdym razem, gdy próbował spotkać się sam na sam z Rose, pojawiała się tam Tressy ze swoim odstręczającym wścibstwem i niekończącymi się pytaniami.

„Jak duży jest twój statek?”

„Wystarczająco duży”.

„Ojej, założę się, że kosztował mnóstwo forsy, prawda? Nigdy nie znałam nikogo, kto jest właścicielem statku. A znałam... naprawdę wielu marynarzy”.

Nic dziwnego, że Crank groził buntem, a Rose snuła się po obejściu jak z krzyża zdjęta, skoro musieli znosić tę paplaninę jak dzień długi. Złożyłby jej wygląd na karb letniej chandry, gdyby nie to, że nie była to pierwsza fala upałów od przyjazdu Rose. Gorąco nigdy przedtem jej nie przeszkadzało.

Niewiele jadła. Tak przynajmniej twierdził Crank, który przypisał to temu, że Biblia ostrzega przed jedzeniem ryb i piciem mleka w porze letniej.

Matt nie mógł się nie zastanawiać, czy nie kryje się za tym jakiś inny powód. De czasu potrzebuje kobieta, by się upewnić? Jak dużo czasu mija, zanim pojawią się pierwsze objawy? Czy tydzień wystarczy?

Szczerze żałował, że niewiele wie o kobietach. Wszystkich mężczyzn, powinno się zmuszać do kończenia specjalnych kursów, które pomogłyby im zrozumieć kobiety, to, jak są zbudowane, jak funkcjonują, co różni je od płci przeciwnej.

Od kobiety, która porzuciła go, gdy był dzieckiem, nauczył się, że kobiety ładnie pachną, dużo płaczą i nie są zainteresowane niczym, co mały chłopiec ma do powiedzenia. Kiedy doszedł do wieku męskiego, był zbyt dumny, by zadawać pytania, i obawiał się okazać słabość, ale z czasem nauczył się paru rzeczy od dziwek, z którymi sypiał przez te wszystkie lata. A jeszcze więcej nauczył się od kobiety, która potraktowała go jak głupca, którym zresztą był.

Jego ciotka Bess się nie liczyła. Wymykała się każdemu określeniu. Teraz jednak chodziło o Rose, a on był bardziej zagubiony niż przez całe swoje marynarskie życie.

Następnego ranka Rose z trudem powlokła się na śniadanie i prawie natychmiast tego pożałowała. Zostawiwszy Annie pod opieką Cranka i Tressy, wybiegła z kuchni, z twarzą niemal tak zieloną jak w dniu, w którym przybyła do Powers Point.

Do uszu Matta, który wracał do domu po obrządzeniu żywego inwentarza, dobiegł odgłos szybkich kroków na gołej drewnianej podłodze, a potem trzaśnięcie drzwiami. Zajrzał do kuchni. Grymas obrzydzenia na twarzy Tressy natychmiast zmienił się w uśmiech. Annie właśnie przylepiła jej owsiankę do włosów.

- Co z Rose? - Spojrzał na Cranka, oczekując wyjaśnienia.

- Chyba ma kłopoty z żołądkiem. Wyglądała, jakby kierowała się prosto do burty.

Do diabła, zapaskudził swoje własne gniazdo. Zapłodnił ją, zanim doprowadził do ładu sprawę ich małżeństwa.

Mimo nikłej znajomości zasad obowiązujących w społeczeństwie Matt wiedział, co to oznacza. Miał dowód przed oczami. Annie.

- Nigdy w życiu nie miałam mdłości- oświadczyła Tressy z dumą - Przestań - warknęła na Annie, która wychyliła się z krzeselka, by podzielić się z ciotką porcją owsianki.

Matt odwrócił się ku drzwiom, chcąc udać się za Rose, ale Crank zawołał go z powrotem.

- Zostaw ją w spokoju, kapitanie. Kobiety nie lubią, jak mężczyźni oglądają je w takim stanie, wymiotujące do nocnika. - Widząc wahanie Matta, stary dodał: - Miałem pięć sióstr, wszystkie starsze ode mnie. Jak pan myśli, dlaczego ruszyłem na morze, kiedy byłem nie większy od ko-marzego tyłka? Wciąż jeszcze próbował powziąć decyzję, czy podążyć za nią, czy nie, kiedy Rose wróciła do kuchni, z twarzą bladą jak prześcieradło, ale całkiem spokojna.

- Dzień dobry, Matt - powitała go.

Patrzył na nią uważnie, próbując doszukać się oznak odmiennego stanu. Wbrew poczuciu przyzwoitości podbrzusze mu się napięło na myśl o tym, że może spłodzili dziecko.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział cicho. Stali w drzwiach kuchni, wystarczająco blisko, by się dotykać, ale oboje się tego wystrzegali. Matt chciał wziąć ją w ramiona niekoniecznie po to, żeby się z nią kochać. Chciał tylko ją objąć i obiecać jej, że wszystko będzie dobrze. Nie miał jednak śmiałości, przynajmniej dopóty, dopóki nie będzie pewny, że uda mu się dotrzymać przyrzeczenia.

- Crank mówił, że wybierasz się do Norfolk, zobaczyć, co się dzieje ze statkiem, Matt. - Tressy przerwała napięcie, a w jej piskliwym, nosowym głosie pojawiła się nieśmiała nuta. - Nigdy nie byłam w Wirginii. Słyszałam, że to naprawdę ładne miejsce. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby je zobaczyć.

Rose prześliznęła się i zajęła miejsce przy wysokim krzeselku Annie, a Matt z trudem się powstrzymywał, żeby nie zakląć na głos.

- W najbliższym czasie nigdzie się nie wybieram -burknął wreszcie.

Crank podał mu kubek parującej czarnej kawy, wystarczająco mocnej, aby rozpuścić gwoździe. Zaraz potem dotknął ramienia Rose. Matt zauważył, że Rose pochyliła głowę i na moment oparła policzek na jego powykręcanej ręce. Poczł ukłucie zazdrości.

Co się z nim dzieje? Prawie wyrzucił stąd Luthera, odesłał Johna, a teraz niepokoi się z powodu kolejnego mężczyzny, na tyle starego, że mógł być jego dziadkiem.

- Jest ktoś w domu? - zawołał z dworu Sandy Dixon. Zamilkł na chwilę, strzepując piach z butów, a potem wszedł do środka ze swobodą dobrego znajomego. - Przyniosłem panu list, kapitanie.

Matt skinął głową, czyniąc zadość wymogom uprzejmości, wziął list, zerknął na adres nadawcy, po czym przeprosił towarzystwo i pospiesznie wyszedł z kuchni. Po chwili usłyszeli trzaśnięcie drzwi prowadzących do gabinetu.

Sandy popatrzył od jednego na drugiego.

- To pewnie coś ważnego. Pozwolą panie, że się przysiadę?

Co powiesz, Annie? Masz ochotę podzielić się **ze** mną swoją owsianką? Mamę tego ranka bolała głowa. Domyślałam się, że od upału. Nie czuła się na siłach, żeby przygotować śniadanie.

Crank ledwie zdążył postawić przed nim talerz z rybą i ziemniakami, kiedy wrócił Matt. Zatrzymał się w drzwiach i oznajmił:

- Nie będzie mnie parę godzin. Rose, bądź tu, kiedy wrócę, dobrze?

Zupełnie jakby miała jakiś wybór.

- Zaczekaj, aż się ubiorę. Pojadę z... - Tressy zerwała się z miejsca, po czym opadła na krzesło. - To by mi zajęło najwyżej minutę - dodała, gdy wyszedł z domu i ruszył w stronę zagrody dla koni.

Sandy chwycił za widelec.

- Wczoraj statek przyplłynął tuż przed zmrokiem. Pewnie powinienem był przywieźć ten list wieczorem, skoro nikt nie zgłosił się po pocztę, ale to tylko jeden list. Od jakiegoś prawnika z Norfolk. Pewnie coś w związku ze statkiem.

- Powinniśmy wyrzucić wczorajszy gulasz z kurczaka - powiedziała Rose do Cranka.

- W Beaufort mamy lodówki, a świeży lód dostarczany jest codziennie.

- Elektryczne lodówki to przyszłość - oświadczył Sandy, gotów rozwozić się nad tym zagadnieniem, lecz Rose mu przerwała.

- Nie na wiele by się to zdało, póki nie uda się zainstalować elektryczności. - Wyjęła Annie z krzeselka i przeprosiła zebranych. - Dopóki ta koszmarna pogoda

nie minie, będziesz jadła wyłącznie mleko z puszki i owsiankę, młoda damo.

Usunęła małej mokrą pieluszkę i zdjęła przepoconą nocną koszulkę, wykapała i przypudrowała pulchne, wierzące się ciało, a potem wybrała najprostszą z ozdobnych sukienek, które mężczyźni zamówili z katalogu sprzedaży wysyłkowej. Annie z większości już wyrosła, dzięki Bogu, ale Rose wciąż zbierało się na płacz, kiedy wyobrażała sobie czterech prostych marynarzy, Matta, Cranka, Pega i Luthera, jak zagłębiają się w dział wyprawek niemowlęcych i zamawiają najbardziej ozdobne, najbardziej kosztowne rzeczy, nie zastanawiając się nad ich przydatnością.

- Matt zaraz będzie w domu. Będzie chciał zobaczyć twój nowy ząbek, więc poćwiczmy trochę najpiękniejszy uśmiech.

Dobry Boże, jak kochała to dziecko. Miała pewność, że Tressy wcale na dziewczynce nie zależy, była jednak krewną Annie i gdyby przyszło do sporu, w sądzie prawdopodobnie by wygrała.

Wszystko przez tę straszliwą niepewność, tak samo jak przez tę pogodę i zepsutego kurczaka. To dlatego czuła się tak paskudnie. Z obawą czekała, co jeszcze się wydarzy.

Dlaczego Matt był taki przejęty?

Dlaczego Tressy wciąż tu była?

Rose ociągała się, jak tylko mogła. Przewróciła pościel, wywietrzyła łóżko, zebrała brudne rzeczy Annie, wyniosła parę swoich sukienek na werandę, żeby je wywietrzyć. W tej wilgoci wszystko pleśniało w mgnieniu oka.

Kiedy odwróciła się, chcąc wejść z powrotem do domu,

zobaczyła, że Sandy właśnie odjeżdża. Pewnie powinna była zostać w kuchni i dotrzymać mu towarzystwa, ale nie traktowała go już jak gościa, zwłaszcza że przyjeżdżał codziennie.

Wróciwszy do sypialni, zastała Tressy stojącą przed toaletką. Nie zwracając uwagi na Annie, która siedziała w łóżeczku, pochłonięta żuciem sznurkowej zabawki, kolejnego dzieła Pega, Tressy odkorkowała butelkę z wodą o zapachu bzu i wachała jej zawartość.

- Szukałaś mnie? - spytała uprzejmie Rose.

Tressy gwałtownie się odwróciła, upuściła korek, ale na szczęście nie wypuściła butelki z rąk.

- Nie powiedziałaś mi, że jesteście mężem i żoną - zaatakowała.

Rose otworzyła usta ze zdziwienia, po **czym** je **zamknęła**. Wążąc słowa, powiedziała:

- Ja... wyszłam za męża, zanim tu przyjechałam. - Było to zarazem prawdziwe i niejednoznaczne.

Podniosła korek z podłogi, zatkała butelkę i odstawiła ją na toaletkę. W głowie jej wirowało, jakby próbowała ustalić, z której strony zbliża się niebezpieczeństwo.

- Co się stało? Dlaczego on postanowił je unieważnić? Założę się, że wiem... zmęczyły go te twoje maniery wielkiej damy, prawda? Mężczyzna potrzebuje w łóżku czegoś więcej niż manier, tyle mogę ci powiedzieć, choć nigdy nie byłam mężatką.

Rose instynktownie stanęła między Annie a Tressy. Dłonie jej zwilgotniały, ale głos pozostał spokojny.

- Jeśli masz mi coś do powiedzenia, byłabym ci wdzięczna, gdybyś powiedziała to wprost.

Tressy wyciągnęła przed siebie arkusz papieru. Dokładając starań, by jej słowa zabrzmiały zarówno złośliwie, jak i triumfalnie, oświadczyła:

- Proszę bardzo, czy to nie jest dostatecznie jasne? Znalazłam to przypadkowo, kiedy szukałam... kawałka papieru i ołówka. Domyślam się, że teraz nie będziesz już taka ważna.

Ponieważ Rose nie uczyniła żadnego wysiłku, by wziąć od niej list, Tressy podeszła bliżej i pomachała jej nim przed nosem.

- Cóż, tylko nie mów, że nigdy nie wyświadczyłam ci przysługi. On powie ci, żebyś się pakowała, jak tylko wróci. Wiesz co? Założę się, że pojechał po urzędnika, żeby ten zabrał cię z jego posiadłości. Rose nie zdołała się powstrzymać. Chwyciła list i przebiegła go wzrokiem. Zajęło jej to tylko chwilę, bo list był bardzo krótki.

Szanowny Panie!

Zapewne ucieszy pana wieść, że unieważniłem pańskie małżeństwo z panią Augustą R. L Magruder, tak jak pan sobie życzył, z mocą prawną od dnia dzisiejszego.

Reszta zginęła we łzach, które zamglily jej oczy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nie będę błagać, nie będę, obiecywała sobie Rose w duchu. Stała obok wozu, który Crank zaprzągnął na jej usilne nalegania. Duma, tylko duma, choć stłamszona nie do poznania, pozwoliła jej przetrzymać ostatnią godzinę. Zapakowała sukfóneckę Annie, jedną z tych, z których mała już wyrosła, razem ze swoimi. Ze łzami delikatnie przytuliła do siebie drobne ciało Annie i szepnęła, że ją kocha, po czym położyła ją do łóżeczka, a obok niej ułożyła wszystkie zabawki. Jej własne łóżko pozostało nie zasłane, a wszystkie czarne sukienki, co do jednej, zostawiła w szafie. Jeśli o nią chodzi, mogły sobie tu zgnieć.

- Ależ ja nie mam pojęcia o dzieciach - jęczała Tressy, która wyszła za nią na dwór. Jej pełna zadowolenia z siebie, triumfująca mina powoli ustępowała przerażeniu.

- Crank pokaże ci, co trzeba robić.

Gdyby miała dość odwagi, zabrałaby Annie ze sobą, mimo obaw o przyszłość, ale dziewczynka potrzebowała domu. Poza tym, nie ryzykowałyby oskarżenia o porwanie.

- Pamiętaj, nie można dawać jej mięsa, jeżeli nie jest świeżo przygotowane, a skoro uznasz, że mleko skwaśnia-ło, nawet lekko, otwórz nową puszkę. Nie budzi się w no-

cy, ale z samego rana trzeba jej zmienić pieluszkę. Jeśli zauważysz, że ma czerwoną pupę, posmaruj ją wazeliną albo przypudruj mąką kukurydzianą. - Mówiła z pewną szorstkością w głosie, spowodowaną tym, że za wszelką cenę usiłowała powstrzymać się od płaczu, przeklinania i okrzyków rozpacz.

- Rosie, posłuchaj mnie, źle to wszystko rozumiałaś. Zastanów się - błagał Crank. Sam sprawiał takie wrażenie, jakby miał się za chwilę rozpłakać. Gdyby to zrobił, poszłaby w jego ślady, a nie mogła sobie pozwolić na najmniejszą słabość.

- Jeszcze jedno, Annie potrzebuje nowych sukienek, większych. Falbanki są w porządku, hafty też, ale koronki drapią. Jedwabiu też nie.

Crank skinął głową.

- Jedwabiu nie, koronek nie. Rose, daj temu chłopakowi szansę obrony.

- Powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia, i to tam, gdzie miało to największe znaczenie, u prawnika. - Głowę trzymała wysoko, w oczach nie było łez, nie potrafiła jednak opanować drżenia w głosie.

Crank niezgrabnie poklepał ją po ręku.

- To na pewno jakaś pomyłka. Wyczuwam w tym rękę Bess.

- Ten list przytacza fakty aż nadto wyraźnie, a nie ma w nim mowy o Bess.

- Kto to jest Bess? - wtrąciła się Tressy. Zignorowali ją, jakby jej tu wcale nie było.

- Pamiętaj, Crank, liczę na ciebie. Panna Riddle nie ukrywa, że nie ma pojęcia o wychowywaniu dzieci. Nie

300

jestem przekonana, czy chce się nauczyć, ale jest ciotką Annie. Musimy o tym pamiętać.

- Nie rozumiem, jak możesz sobie tak po prostu wyjechać i zostawić dziecko, po prostu nie rozumiem

- mrucał stary. Niemniej jednak umieścił jej kufer z tyłu wozu. - Moim zdaniem to zwykła dezercja.

- Przestań, Crank. To wszystko jest i bez tego wystarczająco bolesne. Pamiętaj, zawsze będę cię kochać. **I** powiedz Annie, kiedy będzie na tyle duża, by zrozumieć, że gdziekolwiek będę, ją także będę zawsze kochać. - Przełknęła ślinę, przyjęła pomoc Cranka przy wsiadaniu **na** wóz i ujęła lejce. **I** Matta, dodała w duchu. Kochała go na tyle mocno, by mu przebaczyć, ale jeszcze nie teraz. Nie, kiedy ból był tak przerażająco świeży. Gdyby znów się ożenił - a dla dobra Annie prawdopodobnie to uczyni - nie chciała o tym wiedzieć. Może nawet zatrzyma tu Tressy. **Z** pewnością mogła zachwycić urodą, a poza tym była ciotką Annie.

Rose wciąż nie mogła uwierzyć, że położył kres ich małżeństwu, nie dając jej żadnej szansy. Powinien był jej o tym powiedzieć, kiedy wyznała, kim naprawdę jest. Tymczasem zamącił jej w głowie, przyszedł do jej sypialni - sprawił, że uwierzyła, iż pewnego dnia ją pokocha. Wprawdzie tego nie powiedział, ale na pewno jego zachowanie o tym świadczyło.

Przełykając łzy, cmoknęła na mulicę, która sennie ruszyła z miejsca. Modliła się o to, żeby po drodze nie spotkać Matta. Gdyby do tego doszło, a w głębi serca czuła, że tak może się stać, pozostawała jej tylko nadzieja, iż on

będzie miał na tyle przyzwoitości, by pozwolić jej spokojnie odjechać.

A ona będzie miała na tyle rozsądku, żeby skinąć mu uprzejmie głową, zamiast rzucić się na niego i błagać o drugą szansę.

Otarła oczy wierzchem dłoni, wyprostowała się i powiedziała sobie, że nie było innego wyjścia.

Ledwie mogła znieść świadomość, że Matt podjął kroki na drodze prawnej, by się jej pozbyć.

Żar unosił się nad wyjeżdżoną piaszczystą drogą niczym efemeryczny przypływ. Słyszała o mirażach.

Czasami wydawało jej się, że całe jej życie było mirażem. Dom zbudowany na ruchomych piaskach.

Całkiem straciła poczucie czasu. Wtem odległy grzmot sprawił, że uniosła głowę i spostrzegła, że niebo zaciągnęło się chmurami.

O Boże, tylko tego brakowało!

- Ruszaj, mulico, bo obydwie będziemy miały nie lada kłopoty.

Angel z trudem brnęła po piachu. Grzmoty stały się głośniejsze i częstsze. Po kilku minutach spadły pierwsze krople deszczu.

- Pospiesz się, Angel!

Dawno zawieruszyła gdzieś parasolkę, a płaszcz od deszczu, za ciężki, by nosić go latem, spoczywał na dnie kufra.

Pozostało jej tylko modlić się o to, by na przystani czekał statek gotów do odbicia od brzegu. Będzie musiała poprosić kogoś o przetransportowanie kufra na statek

i znaleźć jeszcze kogoś, kto zajmie się Angel i wozem. Może poprosi o to Johna.

W każdym razie miała pieniądze na opłacenie **rejsu**. Crank zmusił ją do ich przyjęcia, kiedy się zorientował, że nie da rady wyperswadować jej wyjazdu. Wzięła je, ponieważ je zarobiła. Przecież Matt obiecał jej wynagrodzenie. Gdyby nie była taka głupia, powinno jej to dać do myślenia. Fakt, - że nigdy nie doszło do zapłaty, można było uznać zarówno za dobry znak, jak i za zły. Tak czy inaczej, nie miało to już znaczenia.

Nagle powietrze przeszła błyskawica, po której niemal natychmiast rozległ się grzmot, wprost nad głową Rose. W powietrzu unosił się piasek, więc pochyliła głowę w obawie, że zostanie oślepiona. Spódnica powiewała jej wokół kolan. Szarpnęła lejcami, uderzając zad Angel i **zawołała**:

- Ruszaj, ty leniwe bydło, bo obie znajdziemy się w tarapatach!

Kiedy Angel usłyszała jej podniesiony głos, zatrzymała się jak wryta.

- Och, na litość boską, tylko nie to - jęknęła Rose. Nie wypuszczając z ręki lejców, zeskoczyła z wysokiego siedzenia, chcąc się przekonać, czy potrafi zmusić mulicę do ruszenia w dalszą drogę. - Nie rób mi tego - ostrzegła. - Nie znów, nie zniosę tego.

- Weź ją za ucho.

Rzuciła lejce, odwróciła się gwałtownie i chwyciła za serce. Mulica wydała z siebie ostry dźwięk, który zabrzmiał jak śmiech szaleńca.

- Ona tego nie cierpi - powiedział spokojnie Matt, który wyłonił się nagle z mgły utworzonej z deszczu i piachu wirującego w powietrzu. - Wdrap się z powrotem na

siedzenie, a ja szarpnę ją za ucho, ale uważaj. Może ruszyć galopem.

I rzeczywiście tak było. Rose trzymała się mocno". Kiedy chmury nad głową otworzyły się, przemokła do nitki. Matt, jadący na koniu obok niej, skulony przed ulewnym deszczem, wskazał wąską drogę, prowadzącą ku cieśninie. Rose udała się w tamtym kierunku. Nie śmiała się przyznać, nawet przed sobą, że w głębi serca liczyła na to spotkanie. To prawda, tłumaczyła sobie, że ostre cięcie to najlepszy sposób rozstania, tyle że to cięcie nie było ostre, było poszarpane i bolesne, a rana po nim goiłaby się całe życie.

Wskazał dużą szopę z pochyłym dachem z jednej strony. Zsiadł z konia, zaprowadził oba zwierzęta pod dach, po czym uniósł ręce i zdjął Rose z wozu, zanim zdołała się odsunąć. Żadne z nich nie powiedziało słowa, ale gdy' Rose otarła się o niego, przypomniała sobie z całą ostrością poprzedni raz, kiedy pomógł jej zsiąść z konia. Teraz, tak samo jak wtedy, bez względu na to, jak bardzo nie-szczęśliwa się czuła, jego dotyk wystarczył, by cała płonęła.

Wysunęła się z uścisku kojących dłoni, trzymających ją za ramiona i zaczerpnęła głęboki, drżący oddech. Zachowuj się, Augusto Rose, nawet nie myśl o tym, o czym myślisz!

- Wejdz do środka, deszcz zacina aż pod dach.

Choć żadne z nich nie mogło zmoknąć bardziej, pod daszkiem było zaledwie dość miejsca dla zwierząt, wozu i sterty drewna. Poza tym nie dało się zachować dystansu. Koszula, teraz niemal przezroczysta, przylegała do ciała

Matta tak, że Rose wyraźnie widziała wszystkie intymne szczegóły, które tak dobrze wbiły jej się w pamięć. **Opalona** skóra, ciemniejsze sutki, a wokół nich jeszcze ciemniejsze kępki włosów.

Matt nabrał powietrza i wyciągnął zza paska koszulę, która opadła mu na biodra. Rose szarpnęła spódnicę klejącą się do ciała.

- Wejdz do środka - powtórzył. Przytrzymał szerokie drzwi i zaprosił ją do ponurego pomieszczenia, w którym unosił się silny zapach drewna. - Nie ma podłogi, tylko klepisko, ale w rogu jest stos wiórów. Możemy tam posiedzieć i poczekać, aż przestanie padać. Zaczniemy **od tego**, że wyjaśnisz mi, dlaczego odjechałaś w takim pośpiechu.

Rose usiadła, ponieważ nie była pewna, jak długo **kolana** ją podtrzymają. To, że usiadła, nie oznaczało jednak, że musiała cokolwiek wyjaśniać. Jeśli już ktoś był komuś winny wyjaśnienie, **to** z pewnością on jej.

Usiadł obok niej - blisko, ale jej nie dotykał. Skrzyżowała ręce na piersiach i zmagala się z gniewem, **bólem** i zakłopotaniem. Miała na tyle doświadczenia, że potrafiła poradzić sobie z każdym z tych uczuć z osobna, lecz gdy owładnęły nią jednocześnie, stało się to dość trudne.

A kiedy w grę wchodził podtekst seksualny, wręcz niemożliwe.

Matt przysunął się bliżej. Pochylił się ku Rose i podniósł głos, tak by było go słychać przez szum deszczu bijącego **o** dach.

- Widziałaś list, prawda?

Nie odpowiedziała, nie musiała tego robić. On wiedział.

- Powinienem był go zabrać ze sobą albo poświęcić trochę czasu na wyjaśnienia, ale chciałem jak najszybciej złapać Dixona i rozpocząć załatwianie formalności.

Popatrzyła na Matta. Był zbyt blisko, tak blisko, że nawet w mrocznym wnętrzu widziała głębokie spojrzenie jego oczu i charakterystyczne skrzywienie warg, kiedy czuł się zakłopotany.

Ona też czuła się niezręcznie i była tak skonfundowana, że nie wiedziała, co powiedzieć.

- Jakich formalności? Sądziłam, że sprawa została załatwiona. Czy twój prawnik nie zajął się wszystkim? -Drżała w mokrej sukni przylepiającej się do ciała i na próżno próbowała zignorować siedzącego obok mężczyznę. Promieniujące od niego ciepło ogarnęło i ją, kusząc, by poszukała schronienia w jego objęciach. Zapachy i; soli i słońca, koni i zdrowego męskiego potu, zmieszane z wonią jałowca, upajały ją o wiele bardziej niż najlepsza woda kolońska.

Robert preferował mocne zapachy. Jeszcze jedno przypomnienie, zupełnie jakby tego potrzebowała, jak bardzo jej mężowie się różnili.

- Przykro mi, że znalazłaś ten list. Chciałbym się wytłumaczyć.

- Co nam z tego przyjdzie? Tak, przeczytałam list. -Nie zamierzała mówić o Tressy. - Słowa nie pozostawiały wątpliwości. Mogłeś mi powiedzieć, zanim ja... to znaczy zanim ty...

- Potraktowałem cię jak żonę.

- Nie zrobiłeś tego - zaprzeczyła szybko.

- Zrobiłem to, czy chcesz w to wierzyć, czy nie. Przyznaję, stało się tak, bo kiedy dowiedziałem się, że to ty jesteś kobietą, którą poślubiłem, chciałem, byś zapłaciła za te wszystkie noce, kiedy przewracałem się na łóżku, **nie** mogąc zasnąć, bo wyobrażałem sobie ciebie, jak leżysz tuż obok, w głębi korytarza. Za każdą chwilę, kiedy musiałem się odwracać, żeby ukryć, w jakim jestem stanie. Za to, że odkryłem, iż przez cały ten czas miałem prawo cię pragnąć. Byłaś moją żoną.

- A więc list nie mówił prawdy? Pan Bagby kłamał, a ty nie prosiłeś go o unieważnienie małżeństwa?

- **wykrzyknęła z gorzkim uśmiechem.**

Matt poruszył się niepewnie, przy czym otarł się ramieniem o jej ramię.

- Prosiłem go o to, ale jak już mówiłem, dowiedziałeś się

właśnie, że mnie oszukałaś. Kłopot w tym, że zakochałem się w tobie, a będąc przekonany, że mam żonę, która znikła bez śladu, nic nie mogłem z tym zrobić. - Wzruszył ramionami i westchnął. - Na swoje wytłumaczenie mam tylko to, że kiedy przyjechałem do domu, byłem wściekły jak diabli.

Zakochał się w niej?

Ogarnęła ją radość, ale Rose nakazała sobie ostrożność.

- W takim razie jaka jest rola pana Dixona w tym wszystkim? Czy słowo Bagby'ego nie było dla ciebie wystarczające?

Skrzywił się. Zauważyła to nawet w mrocznym świetle, sączącym się do wnętrza przez jedyne okienko umieszczone tuż pod powalą. Uniósł jej rękę z kolan i kciukiem zaczął bezwiednie gładzić nadgarstek.

- Jeśli tego dotychczas nie zauważyłaś, nie jestem zbyt dobry, gdy przychodzi do wyjaśnień.
- Zauważyłam. Wydajesz polecenia, a potem wracasz do swoich spraw, przekonany, że wszyscy cię posłuchają bez zadawania dalszych pytań. - Zaczynała odczuwać mrowienie w nadgarstku, lecz nie cofnęła ręki.

Miał czelność się uśmiechnąć.

- Przyznaję się do winy. Ale, widzisz, nie wiedziałem, czy jesteśmy małżeństwem, czy nie, dopóki nie dostałem tego listu. Kiedy dowiedziałem się, że nie jesteśmy małżeństwem, musiałem coś zrobić, i to szybko. Możesz być... to znaczy może spłodziliśmy dziecko, a jeśli tak jest, im prędzej się pobierzemy, tym lepiej.

Przez dłuższą chwilę zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

- Innymi słowy, za pierwszym razem ożeniłeś się ze; mną ze względu na Annie. Teraz znów chcesz ożenić się ze mną z powodu dziecka, które mogę nosić w łonie. Czy właśnie to chcesz powiedzieć? Opierali się o ścianę szopy, otoczeni korzennym zapachem jałowca. Grzmoty oddalały się, błękitno-białe zygzaki błyskawic były coraz rzadsze. Na dworze zawodził wiatr, tworząc ścianę deszczu wokół budynku.

- To chyba wystarczająco dobry powód, mam rację?

- Nie jestem pewna. Wiem, wiem, zgodziłam się na przyjazd tutaj i opiekę nad Annie, żebyś mógł znów wyruszyć na morze, ale...

- Ale... - podsunął.

Ale to było przedtem, zanim nauczyłam się ciebie kochać, dodała w myśli. Zanim nauczyłam się, jak nie zapadać

na morską chorobę, by móc wyruszyć z tobą, dokądkolwiek się udasz, nim nauczyłam się jeździć konno, żebyśmy mogli jeździć razem, kiedy przyjedziemy do domu w odwiedziny.

- Matt, mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego, kiedy wyznałam swoje grzechy, ty nie powiedziałeś mi, że wystąpiłeś o unieważnienie naszego małżeństwa?

- Byłem zły. Pewnie z powodu urażonej ambicji. Już ci mówiłem, chciałem, żebyś zapłaciła za wszystkie moje bezsenne noce.

- Innymi słowy, chciałeś się zemścić. - Urażona **ambicja**, to mogła zrozumieć, bo sama zbyt wiele **razy** cierpiała z tego powodu w przeszłości. Gniew był formą namiętności, a wiedziała aż za dobrze, że Matt jest namiętnym mężczyzną.

Wiedziała też, że, w przeciwieństwie do Roberta, potrafi panować nad uczuciami.

- Wiesz o Annie i o tym, jak doszło do tego, że się nią zaopiekowałem. Takie rzeczy się zdarzają, Rose, zawsze jednak próbowałem...

Pokręcił głową. Rose robiła, co mogła, by pozostać nieporuszona, gdy zaczął mówić o swojej niechęci do małżeństwa, bez względu na to z kim. A potem, kiedy **wreszcie** udało mu się przezwyciężyć tę niechęć, o złości, gdy żona nie zjawiała się w Powers Point.

- Wciąż miałem w pamięci lekcję, której udzielił **mi** Billy i żona Murdocha. Tym trudniej mi było, kiedy **zacząłem** zauważać sekretarkę i towarzyszkę Bess. Przez **zauważanie** mam na myśli... -

Odchrząknął, znów ujął **ją** za rękę i zaczął bawić się jej palcami. - Gdy poznałem **cię**

lepiej, polubiłem cię. To znaczy jako człowieka. Prawdę mówiąc, szukałem twego towarzystwa.

- Masz dziwny sposób okazywania sympatii - powiedziała z przekąsem.

- To dlatego, że... cóż, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy cię polubiłem, ty przestałaś być taka spięta i zacząłem widzieć w tobie... no... kobietę.

- Zdaje się, że to nazywa się pożądanie. - Wydało się jej, że Matt się zarumienił, ale mroczne światło nie dawało pewności. - Ja też cię lubię - powiedziała cicho. Tyle mogła przyznać, nie zamierzała jednak posunąć się ani o krok dalej.

Wsunął ciepłą dłoń pod jej wilgotny rękaw i spojrzał jej w oczy.

- Naprawdę, Rose?

Na moment zabrakło jej tchu, lecz opanowała się i odparła:

- Wiesz... że tak. W przeciwnym razie nigdy bym nie...

- Nigdy co, Rose? Nigdy nie pozwoliłabyś mi, bym się z tobą kochał?

Całe jej ciało ogarnęło napięcie.

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewna. - Uznała, że musi koniecznie zmienić temat, zanim zabmie jeszcze dalej. - Dla... dlaczego chciałeś zobaczyć się z panem Dkonem?

Pieścił jej ramię, przesuwając szorstkimi koniuszkami palców po wrażliwej skórze.

- Już ci mówiłem. Żeby przygotować dokumenty do ponownego ślubu. I żeby mu powiedzieć, że jeśli wciąż chce, abym ubiegał się o posadę po nim, zrobię to.

Odwróciła się tak nagle, że o mało nie uderzyła **nosem** o jego nos.

- Ale... dlaczego?

- Dlaczego chcę się z tobą ponownie ożenić?

- To też, ale przede wszystkim dlaczego przyszło ci do głowy zostać urzędnikiem? I to teraz, kiedy wreszcie odzyskałeś statek?

- Znasz odpowiedź na pierwsze pytanie. To również odpowiedź na drugie. Skoro czuję to, co czuję, raczej **nie** mógłbym ożenić się z tobą, a potem wyjechać i zostawić cię, a to oznacza, że muszę znaleźć sobie pracę na łodzi. I, Rose, równie dobrze możesz dowiedzieć się wszystkiego, skoro oczyszczamy atmosferę. Musiałem obciążyć Point hipoteką, a przedstawiciel władz **nie zarabia wiele**, więc nigdy nie będziemy bogaci.

Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. **Ręka na jej ramieniu znieruchomiała.**

- Rose, powiedz coś. Kocham cię **tak bardzo, że to doprowadza** mnie do szaleństwa. Wystarczy, **że** na **ciebie** spojrzę, a już mam ochotę wejść ci pod spódnicę. **Jak myślisz**, dlaczego trzymałem się z dala od ciebie?

- Ty mnie kochasz? - Wciąż nie mogła w to uwierzyć.

- Do diabła, chyba nie myślisz, że przeszedłbym przez to wszystko z innego powodu. Jak to sobie wyobrażasz? - wybuchnął.

- Ale, Matt... nauczyłam się żeglować, żeby nie dostać choroby morskiej, jeśli zechcesz zabrać mnie ze sobą. To znaczy, niezupełnie się nauczyłam, ale przynajmniej potrafię już siedzieć na łódce unoszącej się na wodzie i żołądek nie podchodzi mi do gardła.

- Zrobiłaś to dla mnie? Skinęła głową.
- Jeśli znów się ze mną ożenisz, chcę, żebyśmy byli razem. Nieważne gdzie.
- Kochanie, jak też o to nie dbam, jeśli tylko będzie tam koja. Na wypadek, gdybyś nie zauważyła, poła koszuli odstaje mi, odkąd tu weszliśmy. Nawet przemoczona do nitki, z włosami zwisającymi na plecach jak szczurze ogony, tak na mnie działasz. - W jego głosie była czułość, rozbawienie i napięcie, wszystko jednocześnie.

Rose, z minuty na minutę coraz bardziej pewna siebie, spytała:

- Jak myślisz, dlaczego mężczyźni noszą obcisłe spodnie, a kobiety długie, szerokie spódnice?
- Chcesz w takiej chwili rozmawiać o modzie?
- Czy jest coś, co wolałbyś robić, czekając tu, aż deszcz przestanie padać?
- Jeśli nie masz przy sobie talii kart, nasze możliwości są dość ograniczone. - Nie przestając mówić, położył ją na posłaniu z wiórów i zaczął szukać guzików przy staniczku sukni.

Rose, która nagle nabrała śmiałości, przesunęła dłońmi po jego torsie, do pasa, a stamtąd do imponującej wypukłości na przodzie spodni. Kiedy drgnął w odpowiedzi, zamknęła oczy i szepnęła bez tchu:

- Jeśli nie chcesz, żebym cię tu dotykała, lepiej powiedz mi to teraz. Kocham to, jak na mnie działasz.
- Możesz dotykać mnie, gdzie ci się żywnie podoba, wszędzie i zawsze, tylko nie czyn mnie odpowiedzialnym za konsekwencje.

Otworzył oczy szerzej, a dłonie nagle mu **znieruchomiały**.

- Konsekwencje - powtórzył. - Rose... czy myślisz... to znaczy, czy jesteś... czy będziemy mieli dziecko? Czy to dlatego było ci niedobrze?

- Nie przestawaj teraz, proszę - nalegała. Wspólnym wysiłkiem podnieśli jej sukienkę do talii i rozpięli jego spodnie i koszulę. Na teraz musiało to wystarczyć. - To kurczak - wydyszała. - No i zastanawianie się, co zrobiłam nie tak. Podnieś tyłek i daj sobie ściągnąć spodnie.

- A ty przypudrujesz mnie mąką kukurydzianą? - mruknął, a przez zmysłowe napięcie dawało się wyczuć śmiech.

Później także się śmiali. Wyczerpani wybuchem namiętności, leżeli zaspokojeni, napawając się myślą o tym, że czeka ich życie pełne miłosnych uniesień.

- Mogę pracować też jako pilot jednostek śródlądowych. To lepiej płatne niż zajęcie urzędnika.

- Kochasz „Czarnego Łabędzia” - przypomniała.

- Tak. Ale nie bez ciebie, Rose.

- Jak myślisz, czy Annie byłaby podobna do Bess, gdybyśmy wychowali ją na pokładzie statku?

- Boże, mam nadzieję, że nie. Jedna Bess w rodzinie wystarczy mi aż nadto.

- Bess jest... inna, ale z czasem można ją polubić, pod warunkiem, że się zrozumie, jak działa jej umysł. Gdyby nie Bess, nigdy byśmy się nie spotkali.

- Nie wierz temu, najdroższa. Nie jestem przesądny,

ale tyle wiem. Spotkalibyśmy się gdzieś, kiedyś, nawet bez pośrednictwa Bess. Takie sprawy są zapisane w gwiazdach.